

Margit Sandemo

CÓRKA MROZU

Saga o czarnoksiężniku tom 14

STRESZCZENIE

Są lata czterdzieste osiemnastego wieku.

Od wielu lat islandzki czarnoksiężnik Móri i jego norweska żona Tiril cierpią prześladowania ze strony złego zakonu rycerskiego. Móri i jego rodzina posiadli wiele informacji wiążących się z tajemnicą Świętego Słońca, wielkiej złocistej kuli o magicznych właściwościach, zaginionej przed tysiącami lat.

Istnieją ponadto jeszcze dwa szlachetne kamienie, które pragnie zdobyć zły zakon. Najstarszy syn Móriego i Tiril, Dolg, młodzieniec o mistycznej, czyniącej go podobnym do elfa urodzie, oraz niezwykłych zdolnościach, odnalazł je oba: niebieski szafir oraz czerwony farangil. Pomógł mu do nich dotrzeć jego tajemniczy duch opiekuńczy, zwany Cieniem, sam nimi bardzo zainteresowany; owe trzy szlachetne kamienie bowiem stanowią klucz, który otworzy Wrota. Nikt jednak, z wyjątkiem Cienia, nie wie, o jakich to wrotach mówią niejasne pogłoski. Niedawno odnaleziono też mapę, która pokazuje, gdzie znajdują się owe Wrota, oraz opowiadające o nich prastare księgi. Rodzina zebrała się, by przestudiować zgromadzone materiały.

Rodzina Móriego i Tiril to następujące osoby:

Dolg, niezwykle młodzieniec o nadprzyrodzonych zdolnościach, lat 23.

Villemann, żądny przygód brat Dolga, lat 21.

Taran, zawsze optymistycznie usposobiona bliźniaczka Villemanna, lat 21.

Uñel, podobny do anioła, istota sprzed wielu tysięcy lat, mąż Taran.

Theresa, księżna, matka Tiril.

Erling, jej mąż, stary przyjaciel Móriego i Tiril.

Rafael, marzyciel, przybrany syn Theresy i Erlinga, lat 23.

Danielle, delikatna, łagodna i bezbronna siostra Rafaela, lat 19.

No i, oczywiście, pies Nero.

Czarnoksiężnik Móri, przekraczając w młodości granice naszego świata ze światem istniejącym obok, sprowadził ze sobą do ludzkiego wymiaru grupę duchów. Wspierają one rodzinę w jej walce z zakonem rycerskim.

1

Stała sama najbliżej grobu. Czuli, że cały czas jest uważnie, choć ukradkiem obserwowana.

Od równiny Vastgöta dał zimny wicher. Z oddali dobiegał ciężki szum koron drzew w lesie Tiveden. Jak zwykle trzymała się całkiem prosto. Ciekawskie, żadne sensacji spojrzenia nie były jednak w stanie przeniknąć przez czarny woal.

- Chowa twarz - szepnęła stojąca z tyłu kobieta, prawdziwy sęp pogrzebowy, jedna z tych, co to zawsze mają gotowy odświętny strój, by włożyć go na pogrzeb któregoś z mieszkańców wioski. - Próbuje nam wmówić, że skrywa łzy.

- O, nie - gniewnie pokiwała głową inna. - Ona skrywa ulgę. Triumf.

- Wróciła do domu - szepnęła pierwsza. - Bo teraz może objąć spadek.

- Oczywiście! Spójrzcie tylko! Taka niby skromna, a wszyscy wiedzą, czego się dopuściła.

- Ma serce z lodu. Prawdziwa Córka Mrozu.

- Pst! - syknął ze złością stojący przed nimi siny z zimna mężczyzna. - Nie dacie w spokoju wysłuchać słowa Bożego? Plotkarki!

Kobiety prychnęły urażone. Jedna, osłaniając dłonią usta, szepnęła do sąsiadki:

- Mężczyźni jej ulegają. Oni wybaczą.

- Tylko jeden nie.

- Tak, tylko jeden. On nigdy nie przebaczy.

- Dobrze jej tak!

Umilkły, lecz wiele osób uczestniczących w pochówku powtarzało w duchu: „Ona nie czuje żałoby. To kobieta pozbawiona uczuć. Nie rozpacza nad śmiercią starego ojca, teraz bowiem dom aptekarza należy do niej. Teraz znów może się tu sprowadzić”.

Pogrzeb dobiegł końca. Pastor podszedł do żałobnicy, by wyrazić współczucie.

Wcale jej nie współczuł, żal mu tylko było zmarłego. Z wielkim wahaniem, wręcz niechętnie wyciągnął rękę. Nie zdołał pochwycić spojrzenia Marii Stenland, nie pozwoliły na to warstwy gęstego woalu, liczył jednak, że jego wzrok jest tak piętnujący, jak przystoi przedstawicielowi Kościoła.

W myślach zgromadzonych ludzi dominowało jedno życzenie: „Można mieć tylko nadzieję, że ojciec ją wydziedziczył”.

Maria Stenland, dziękując pastorowi, wyczuwała wrogość bijącą od niego i od pozostałych. Jeszcze wyżej podniosła głowę.

Szybko opuściła cmentarz, nie poświęcając nawet chwili na zadumę nad grobem.

W pokojach nad apteką Maria przeglądała rzeczy ojca. Dotknęła krzesel wyściełanych ciemną skórą, pogładziła brązowe półki biblioteczek, niepewnie położyła dłoń na klamce zamkniętej szafki z lekarstwami.

Otworzyła ją kluczem, który dała jej - z wielkim wahaniem - gospodyni zarządzająca domem.

Oto słoiczek z resztą pigułek. Drżąca dłoń odruchowo się na nim zacisnęła.

Maria ze stukiem odstawiła pojemnik, zamknęła szafkę i ciężko oddychając usiadła w fotelu ojca.

Upłynęło dużo czasu, zanim wreszcie zdołała dojść do siebie.

Tu nie chodzi o to, by starać się przeżyć kolejny dzień, jak mówi doktor, lecz o poszczególne sekundy. Każda chwila jest koszmarem tęsknoty i bólu, nie kończąca się walką. Teraz starczyło mi siły, ale jak długo wytrzymam?

Jak cudownie byłoby uśmierzyć ból jedną małą pigułką! Wspomnienia...

Wyprostowała się zdecydowana.

Wezmę jedną.

Zaraz jednak opadła w fotel, zgnębiona.

Nie. Wytrzymałam trzy miesiące. Jeden jedyny raz się załamalam, ale wtedy akurat na czas pojawił się doktor i uratował mnie przed zażyciem następnej. I jeszcze następnej.

Są w tej szafce.

Nie! Ta droga prowadzi tylko w jednym kierunku.

I co z tego? Nawet jeśli za przyczyną lekarstw skonam w cierpieniu, któż się tym przejmie?

Nikt.

A może wszystkie pigułki naraz?

Próbowała tego już wcześniej, to było straszne, gorsze niż wszystko inne. Jej serce okazało się silne, nie chciało umierać. Uratowano ją na czas.

Uratowano? Do czego?

Starła się zebrać myśli. Apteka... Co z nią pocznie? Czy powinna ją sprzedać, czy też zatrzymać nieliczny personel? Wiedziała, że żaden z pracowników jej nie lubi, lecz była przecież właścicielką.

Na razie. Oczywiście wszystko zależeć będzie od tego, co jest w testamencie. Od tego, jak brzmiała ostatnia wola ojca.

Weszła gospodyni i Maria prędko znów spuściła woalkę na twarz.

Myśli starszej kobiety dały się wyczytać z każdego rysu jej twarzy:

„Czyżby ona chciała zostać w tym mieście, szalona? Jak zamierza sobie poradzić z niewzruszoną pogardą mieszkańców? Nie myśli chyba rozgościć się w tych pokojach? One są przecież moje. Należy mi się chyba coś w zamian za tyle trudu i pracy dla tego starego zrzędy? Apteka powinna właściwie przypaść mnie, wszak świętej pamięci aptekarz wyuczył mnie zawodu. No cóż, przekonamy się, jaka jest treść testamentu”.

Co mam robić? pomyślała Maria. Gdzie mogę się ukryć? Oto nastąpiła przełomowa chwila.

Księgi Świętego Słońca wkrótce miały zostać otwarte.

Nadchodził kres długiej walki.

Zbliżało się rozwiązanie zagadki Świętego Słońca.

Czarnoksiężnik Móri i jego rodzina zdobyli już prawie wszystkie informacje.

Pozostawało jedynie odnalezienie samego Słońca, a wraz z nim - Wrót. Ustalili, że to, czego poszukują, musi znajdować się na wybrzeżu Morza Bałtyckiego, to

znaczy tego Morza Bałtyckiego, jakie istniało przed około dziesięcioma tysiącami lat. Okres ten zwano epoką Morza Yoldiowego; wybrzeże morskie przecinało wówczas Szwecję mniej więcej na wysokości Tiveden.

Morze Yoldiowe... Tajemnicze „Morze, które nie istnieje”.

Rodzina wiedziała, że Zakon Świętego Słońca już blisko tysiąc lat wcześniej poszukiwał Słońca właśnie w Tiveden. Bez rezultatu.

Dlatego też dzieci Tiril i Móriego, Dolg, Taran i Villemann wraz z mężem Taran, Urielem, pragnęły wyprawić się do Tiveden. Wszyscy mieli jednak świadomość, że ścigają ich, a przede wszystkim również poszukują Słońca, bracia zakonni.

Rodzinie Móriego nie dawała spokoju pewna myśl. Skoro ostatni najszlachetniejszy Lemurowie przekroczyli Wrota przy pomocy Słońca... Czy nie są słuszne przypuszczenia, że zabrali klejnot ze sobą? Przenieśli go przez Wrota?

Czegóż, wobec tego, szukają oni, ludzie, bracia zakonni i rodzina Móriego, Cień i wszystkie bezimienne, milczące istoty, z ufnością czekające, aż Dolg je wyzwoli?

Dolg pytał nawet Cienia o to, czy Słońce wciąż znajduje się w świecie ludzi.

Ale Cień także tego nie wiedział. „Pozostaje nam jedynie mieć nadzieję”, odparł udręczony i zrezygnowany.

Odpowiedź znaleźli w świętych księgach Lemurów.

O wczesnym poranku zasiedli wokół wielkiego stołu w jadalni Theresenhof.

Podnieceni, ledwie mogli się doczekać świtu, który zabarwił na czerwono wierzchołki Alp. Villemann próbował nawet przynieść sobie z kuchni śniadanie i jeść czytając, ale babcia ostro przeciwko temu zaprotestowała. W ogólnym zapale należało zachować jakiś umiar.

Jak się spodziewali, Cień objawił się w pełnej krasie. To przecież była jego sprawa, nikt nie był do tego stopnia zaangażowany w historię Świętego Słońca jak on. Poprzedniego wieczoru położył ręce na znajdującej się w szkatule świętej księdze i teraz, kiedy zechciał, mógł przybierać równie wyraźną postać jak każdy człowiek.

Był niezwykle przystojnym mężczyzną. Zachowywał się wielce dostojnie, nigdy

przesadnie nie gestykulował szlachetnie ukształtowanymi dłońmi, a zwracając głowę w stronę mówiącego, czynił to powoli, z ogromną godnością. Piękne rysy twarzy, tak podobne do rysów Dolga, fascynowały wszystkich. Czasami sami przyłapywali się na tym, że przypatrują mu się z podziwem.

A on w odpowiedzi tylko surowo się uśmiechał. Rozpoczęli od znaleziska najmniej ważnego, od zapisków kardynała.

- Mój ty świecie! - mruknęła Taran na widok drobniutkich, pełnych zawijasów, ściśniętych literek. - Te mu człowiekowi musiało czegoś brakować w doczesnym życiu.

- Ależ, Taran! - zgaśniła ją Theresa, ale nie mogła się powstrzymać od ukradkowego uśmiechu. W duchu przyznała, że właściwie się zgadza ze swoją niepoprawną wnuczką.

Własnoręczne zapiski kardynała nie okazały się szczególnie godne uwagi, jak zresztą przewidział to Cień, stały się jednak źródłem żartów dla zgromadzonych przy stole.

Móri roześmiał się zażenowany.

- Przede wszystkim świadczą o jego zapiekłej nienawiści do Tiril i do mnie, oraz, chwilami, do Theresy...

- Jak mnie tym razem nazywa? - dopytywała się księżna.

- Najchętniej bym to przemilczał.

- Ależ powiedz! Każda obelga ze strony tego człowieka staje się komplementem.

- No, tu na przykład napisał... - Móri naprawdę się zakłopotał. - „Ta stara rozpustnica, która schwytała w sidła mojego bratanka i zmusiła, by oddał jej nasz bez cenny naszyjnik z szafirów! Co on widział w tej kozie?”

- Wielkie nieba! - westchnęła Theresa. - Nie, Elsie, posprzątać możesz później!

- Kozy to bardzo miłe zwierzęta - pocieszył księżnę Uriel i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Móri przejrzał do końca zawile w formie i treści wyzwiska. Zapiski urywają się mniej więcej przed dziesięć laty. To musiało być... Tak, mniej więcej w tym

czasie, kiedy odnalazłeś błękitny szafir, Dolgu. Ale kardynał o tym nie wspomina, najwidoczniej więc księgę prze stał pisać wcześniej. Zapewne wówczas po raz ostatni odwiedził klasztor w Dolinie Łez. Później był już za stary na wspinaczkę po górach.

- Idiotyczne miejsce na kryjówkę - zauważył Ville - mann.

- Chciwość zwyciężyła rozsądek - stwierdziła Theresa. - Chciał mieć pewność, że nikt inny nie dotrze do skarbów.

- Tym samym wykluczył także samego siebie - uzupełnił Villemann. - Ciekaw jestem, co sobie pomyślał, kiedy odkrył, że i dla niego pozostają nieosiągalne.

Taran naśladowała kwaśną minę kardynała.

- Uf, uf - chrząknęła ponuro.

Móri z końca książki wyjął kilka złożonych arkuszy papieru i odłożył je na bok na później. Najpierw musieli uporać się z samym „dziennikiem”.

Cofnął się do miejsca, w którym przerwał.

- Wydaje mi się, że jednak dowiemy się czegoś nowego z tych bazgrołów. - Wzrok mu pojaśniał. - Proszę, proszę.

- Co tam znalazłeś, ojcze? - spytał Dolg.

- Jak pamiętacie, jest spora luka w historii Zakonu Świętego Słońca, od makabrycznej śmierci mnicha von Graben do kardynała. Przerwa licząca jakieś dwieście, trzysta lat. Tutaj są informacje o tym okresie.

- Doskonale!

Co prawda nie tak dużo, jak się spodziewałem. Kardynał odsyła po prostu do „Księgi Królów Zakonu”, której jeszcze nie zaczęliśmy studiować. Wydaje się jednak, że Zakon w czasach między mnichem a kardynałem wiódł dość anonimowy i dekadenski żywot. Wyjąwszy okres pod rządami jednego wielkiego mistrza, Burgundczyka, Louisa de Grotte, w latach tysiąc pięćset dwadzieścia sześć do trzydziści dwa.

Czekali, aż Móri zbierze wszystkie informacje.

Zgromadzenia Zakonu odbywały się w podziemnych salach Burgos, lecz wielcy

mistrzowie sprawiali wrażenie osób o słabych charakterach. Co prawda w tym przypadku określenie „słaby” jest dość dwuznaczne, gdyż poprzedni mistrzowie byli na wskroś źli i okrutni. Być może więc słowo „słaby” w tym kontekście należałoby uznać za komplement?

W każdym razie wielcy mistrzowie zbytnio nie rzucali się w oczy, nie byli wyróżniającymi się osobowościami. Przed dojściem kardynała do władzy cały zakon jakby zapadł w letarg. Wyjątkiem pozostawał Louis de Grotte, bezlitosny, do cna przesycony złem.

- Wydaje się jednak, że przez cały czas zdawali sobie sprawę, iż w ręce Habsburgów „nieprawnie” wpadło zbyt wiele skarbów Świętego Słońca - powiedział Móri. - Przez cały czas trwała „cicha wojna”, ale Zakonowi nie udało się zdobyć nic wartościowego.

- Bo też i my, Habsburgowie - wtrąciła Theresa - chyba nie rozumieliśmy, że posiadamy takie drogocенności, ani też że szpiegują nas bracia zakonni.

- Szukanie po omacku - stwierdził Uriel. - Aż do czasu, kiedy Theresa i Tiril stały się na dobre obiektem za ciekłego polowania.

- Zgadza się - mruknął Móri. Pochylił się niżej nad księgą, zmarszczył brwi.

- Co się stało, ojcze? - cicho spytał Dolg.

Móri wreszcie oderwał oczy od zapisków. Twarz mu pojaśniała.

- Tutaj coś jest! Naszyjnik! Naszyjnik z szafirów, wyjaśnia się jego pochodzenie.

- Bardzo chciałabym się tego dowiedzieć - przyznała Theresa.

Móri musiał przewertować księgę w tył i w przód, zanim mógł skonkludować:

- Za czasów mnicha, w piętnastym wieku, w twierdzy Habichtsburg mieszkał pewien brat zakonny, żaden wielki mistrz, po prostu zwykły rycerz. Zlecił wykonanie naszyjnika dla swej jedynej córki i wygrawerowanie na nim tekstu, który już znamy: „Tam gdzie jastrzębie latają ponad Aare, śpią wielcy mistrzowie”. Uczynił to, aby kolejne pokolenia Habsburgów dziedziczyły tę wiedzę. Ale mnich ze skały Graben uwiódł dziewczynę i przywłaszczył sobie szafirowy naszyjnik. W taki oto sposób klejnot wpadł w ręce rodziny Graben, aż biskup Engelbert oszołomiony

młodzieńczym uczuciem podarował go Theresie.

- Kardynał oczywiście wpadł we wściekłość - złośliwie uśmiechnął się Rafael.

- I to jeszcze jaką! - przyświadczył Móri. - Wiedział, że szafiry kryją tajemnicę, związaną z twierdzą Graben i uśpionymi wielkimi mistrzami...

- Skąd? - przerwała mu Taran.

- Mnie także to zaciekawiło, lecz nic tu o tym nie na pisano. Ale kardynał nie miał pojęcia, co kryje naszyjnik. Nie znał w całości inskrypcji, która doprowadziła nas do ruin twierdzy Graben, podczas gdy on przeszukiwał oddalony od twierdzy zamek Der Graben.

- Dobrze mu tak - powiedziała Danielle.

Inskrypcja była przecież nicią, która zawiodła nas do kamienia Ordogno i dała wiedzę o istnieniu księgi, świętej księgi Lemurów - przypomniała Tiril. Mamy ją tutaj - Villemann ufnie położył rękę na szkatule zawierającej księgę. Cień dyskretnie odsunął je go dłoń, na co chłopak uśmiechnął się z lekko zdziwioną miną.

Cień posłał mu uspokajający uśmiech, jeśli w ogóle grymas na surowej twarzy można nazwać uśmiechem.

- No cóż, nie rozwikłamy sprawy naszyjnika z szafirów - podsumował Erling. - Ale kielich? Skąd on się wziął?

- Nic nam na ten temat nie wiadomo - odparła Theresa. - Przynajmniej na razie.

Trafił w ręce mego rodu, Habsburgów, wraz z kawałkiem klucza do Tierstein - gram.

- Kielich pochodzi więc od Tiersteinów - stwierdził Villemann.

- Tak, lecz nie wiadomo, kto i kiedy go wykonał.

- Może ty wiesz, Cieniu? - spytała Taran. Olbrzym pokręcił głową.

- Nastąpiło to w epoce Lemurów, kielich zrobił ktoś znający naszą legendę.

- To prawda. Pst, wydawało mi się, że kogoś słyszę... Nie, to chyba nic takiego. Zrezygnowali z dociekań nad pochodzeniem kielicha i powrócili do niewyraźnie napisanych memuarów kardynała.

Dość interesujące okazało się prześledzenie jego życia, wspinania się po szczeblach kariery zarówno w hierarchii kościelnej, jak i Zakonu Świętego Słońca. Wyglądało na to, że zawsze daleko mu było do szlachetności. Wynikało to ze sposobu, w jaki postrzegał samego siebie już w latach nauki, kiedy kształcił się na księdza, i później, gdy piął się coraz wyżej. Jego komentarze wywoływały przy stole zduszone chichoty, aż Móri musiał uciszać innych, ale po prawdzie sam się także przy tym bawił.

Na kolejnych stronach wprost roilo się od inwektyw i obraźliwych komentarzy pod adresem innych uczniów i kandydatów oraz pochwał i uwielbienia dla samego siebie (tej opinii nie podzielał nikt poza nim). Kardynał wyklinał wszystkich, którzy ośmielali się stanąć mu na drodze albo mu się sprzeciwić.

Dość wcześnie dotarły do niego słuchy o Zakonie rycerskim, jego ojciec był, zdaje się, jednym z braci, i nie potrafił utrzymać języka za zębami, bo przecież członkom Zakonu zabraniano choćby słowem wspominać

O istnieniu tajnego stowarzyszenia. Później, kiedy umacniała się pozycja syna w Kościele i jego nazwisko zaczęło być sławne, on również został wybrany do Zakonu Świętego Słońca. Nastąpiło to po śmierci ojca i między wierszami dało się wyczytać ciche: „Nareszcie!”

Teraz rozpoczęła się wspinaczka na szczyty hierarchii zakonnej...

Przez długą chwilę zgromadzeni wokół stołu w jadalni w Theresenhof nie mogli zapanować nad wzburzeniem.

Dowiedzieli się o części poczynań kardynała von Graben, mających na celu doprowadzenie go na tron Zakonu Świętego Słońca. Rozumiało się samo przez się, że został wybrany do Zakonu, spełniał wszak warunki: był bogaty, sławny i pozbawiony skrupułów. Zakon na każdego członka musiał też mieć haczyk, a to w przypadku von Grabena okazało się wcale nietrudne, przepychał się wszak przez życie łokciami. Drobne morderstwo tu i ówdzie... Wystarczyło.

Ale, ale... Zapiski nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do tego, że kardynał zamordował również poprzedniego wielkiego mistrza. W sekretnym dzienniku

stało to czarno na białym.

Von Graben sam więc objął stanowisko wielkiego mistrza i przez wszystkie lata uparcie trzymał się swej pozycji. Bez wątpienia zdołał wyrwać Zakon z trwającego przez ostatnie lata uśpienia, lecz za jaką cenę? Pozbywał się niewygodnych rycerzy, a także osób postronnych. Bezwzględność znów stała się znakiem rozpoznawczym Zakonu.

Wynurzenia kardynała okazały się prawdziwym studium zła, pogardy, zazdrości, nienawiści i samouwielbienia.

Móri i jego rodzina nie znaleźli w nich nic przydatnego.

Z pewnością „Księga Królów Zakonu Świętego Słońca” była pod tym względem o wiele więcej warta.

Najpierw jednak należało przejrzeć złożone arkusze.

Papier był niezwykle gruby i sztywny, niemal jak pergamin. Móri rozłożył pierwszą kartę.

- Ależ... - zająknął się rzuciwszy okiem na tekst. - Ależ to wszak...

- Co takiego? - pytali jedno przez drugie.

- „Ródskinna”.

- Ojej! - westchnął Villemann.

- Nie pamiętacie? - z zapalem włączył się Dolg. - W tajemnych, podziemnych salach znaleźliśmy księgę. To przecież była „Ródskinna”. Czyż nie wyrwano z niej kilku kart?

- Rzeczywiście, masz rację. Właśnie one leżą przed nami. Uważam, że powinniśmy się teraz rozejść. Musicie mi dać czas na przetłumaczenie ich, tekst jest po francusku, potrzebna mi więc będzie pomoc Erlinga i Theresy. Tu są straszne rzeczy, nie chcę nikogo z was niepotrzebnie w to wciągać. Na jakiś czas się rozstali z zamiarem ponownego spotkania się po południu. Villemann, wychodząc, o mały włos nie potknął się o nową pokojówkę Elsie; zbierała paprochy z podłogi. Dolg uśmiechnął się i mruknął, że dziewczyna ma oko na Villemanna, ale brat w odpowiedzi tylko prychnął.

Spotkali się ponownie, kiedy popołudniowe słońce opuściło już okna jadalni, a prace na dworze weszły w spokojniejszą fazę.

- I jak, ojcze? - zagaiła Taran, opierając się łokciami na stole i pochylając w przód. Wszyscy zauważyli, że powaga stanu małżeńskiego wywarła na nią dobry wpływ. Wcześniej nie potrafiła sobie znaleźć miejsca, teraz u boku Uriela wydawała się spokojna i szczęśliwa. Zachowała jednak cięty język, stanowiło to nieodłączną część jej natury.

- No cóż - rzekł Móri z pochmurną miną. - Wraz z Erlingiem i Theresą przejrzeliliśmy arkusze pergaminu z na leżącej do Zakonu „Ródskinny”, które kardynał tak chciwie zachował dla siebie. Sporo różności tam znaleźliśmy.

- O, tak - potwierdziła Theresa.

- Odczytaliśmy na przykład kilka naprawdę paskudnych zaklęć. Powiedziałbym, że to prawdziwa czarna magia, spalę te okropności, gdy tylko się ze wszystkim uporamy. Dolgu, pamiętasz wyprawę na skałę Graben, wraz z Erlingiem i jeszcze dwoma ludźmi?

- Oczywiście! Spieszyliśmy, by przywrócić cię życiu.

- Właśnie. Niewiele wówczas miałeś lat, byłeś zaledwie małym chłopcem. Znalazłem tu wyjaśnienie niektórych trudnych do wytłumaczenia zdarzeń, jakie wtedy miały miejsce. Wiem już, jak to było z tą wielką niebieskoczną muchą plujką, i z pukiem, i z nietoperzem. Wszystkie trzy istoty wysłał kardynał. Wśród wielu innych są tutaj czarodziejskie formuły, niezbędne do ich zaklęcia.

- A to dowodzi, że w owym czasie von Graben musiał wciąż mieć te arkusze przy sobie - wtrącił Erling. - I wdrapał się do klasztoru w Dolinie Łez ostatni raz już po ze słaniu na nas tych okropnych przekleństw. Może ziemia zaczęła mu się palić pod nogami i uznał, że powinien ukryć swe skradzione skarby?

- Uf! - Dolg zdrzął na wspomnienie podróży do skały Graben. - Pamiętam te zwierzęta. Nie pojmuję, jak mógł tak wykorzystać niewinne istoty.

Pozostali przyglądali mu się ukradkiem.

Dolg, samotny, pomyślała Tiril, czując, jak serce ściska jej smutek. Dolg... Słowo

to w języku Lemurów oznaczało samotnika, tak powiedział im Cień. Określenie to może dotyczyć drzewa, kamienia szlachetnego lub człowieka, kogoś, kto zawsze jest sam.

Dolg. Dziecko smutku, do którego nigdy nie mogła dotrzeć, chociaż być może właśnie ona rozumiała go najlepiej. Ona i Villemann. Obaj bracia zawsze byli sobie bliscy, przynajmniej na tyle, na ile w ogóle ktoś mógł się zbliżyć do Dolga. Nagły skurcz bólu i strachu przeszył ciało Tiril, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jeden z jej synów ma zostać złożony w ofierze.

Lub będzie wystawiony na wielkie poświęcenie.

Oczywiście, powinna w tej roli widzieć Dolga, lecz ostatnio i w Villemannie pojawiło się coś nieokreślonego, trudnego do uchwycenia. Oczy rodzinnego wesółka wyrażały smutek i samotność.

- Nie, Elsie - oświadczyła lekko zirytowana Theresa. - Nie będziemy teraz nic więcej jeść, masz wolne aż do jutra! Oj, Tiril, twoje myśli zawędrowały daleko. Tiril ze ściśniętym sercem zdała sobie sprawę, że ma złe przeczucia. Obaj synowie, zdumiewający Dolg i jej mały Villemann, planowali wyjazd.

Nie może puścić trojga swoich dzieci, musi jechać z nimi!

Nad tym jednak zastanawiali się już wcześniej. Wszystko przemawiało za tym, że Tiril powinna zostać w domu.

Postanowiła skupić się na relacji Móriego.

- Odkryliśmy, skąd kardynał mógł wiedzieć, że w naszymyjnku jest jakaś tajemnica. Wyjaśniła to właśnie „Ródskinna”. - Móri wychylił się ku słuchaczom. - Musicie pamiętać, że księga powstała w Czarnej Szkole na Sorbonie, której uczniami byli zarówno biskup Gottskalk, jak i mnich Wilfred von Graben. Siejący grozę Tomas de Torquemada również maczał w tym palce, ale naszymyjnki jest młodszy. Szafiry pochodziły od Habsburgów z Habichtsburga, to mnich je skradł i musiał dostrzec inskrypcję, sporządził bowiem niewielki aneks do księgi. „Tak. więc przeklęte jastrzębie znają tajemnicę Graben! Nie wiedzą jednak, że mam ich drogocenne szafiry!”

Kardynał musiał przeczytać dopisek, choć nie rozumiał jego sensu. Mnich najwyraźniej nie zdążył nikomu opowiedzieć o inskrypcji.

- A srebrny kielich? - dopytywała się Taran. - Czy coś tam jest na jego temat?

- Zaledwie króciutka wzmianka. Mnich, a tym samym również kardynał, wiedzieli o jego istnieniu i o tym, że wpadł w ręce wroga.

- Wroga... Chodzi chyba o Habsburgów, prawda?

Możemy tak przypuszczać, chociaż nie prowadzono otwartej walki. Habsburgowie wszak nie zdawali sobie sprawy, że są „wrogami” zbrodniczego zakonu. Przejrzeli również pozostałe arkusze z „Ródskinny”, lecz nie znaleźli już nic więcej istotnego dla ich sprawy. Zaraz więc zabrali się do „Księgi Królów Zakonu Świętego Słońca”.

Otwierali ją w napięciu. Móri spytał, czy ktoś inny ma ochotę poczytać zamiast niego, ale zarówno Erling, jak i Theresa mieli kłopoty z odcyfrowywaniem drobnego pisma, a młodzi się wzbraniali.

- Najstosowniej, abyś ty czytał, ojcze - stwierdził Dolg, a pozostali jednogłośnie przyznali mu rację.

Móri wrócił więc do swojej roli, trochę podbudowany komplementem.

- Proszę, proszę - mruknął zadowolony już po pierwszej stronie. - Posłuchajcie! „Miejsce tej księgi jest w świętych salach Deobrigula. Niech się strzeże niepokorny, który ośmieli się ją stamtąd zabrać!”

- Oczywiście! - śmiał się Uriel. - To musiała być pierwsza decyzja, jaką podjął kardynał, kiedy tylko do szedł do władzy.

Móri zaczął czytać. Musieli przebrnąć przez mnóstwo suchych faktów, list długich jak lata, spisano tu bowiem nie tylko imiona wielkich mistrzów z wielu stuleci, lecz także wszystkich braci zakonnych, aż do czasów prawie współczesnych, kiedy to kardynał von Graben ukrył księgę.

- Szkoda - mruknął Rafael. - Przydałaby nam się li - ; sta obecnych członków.

- Racja - przyznał Móri. - Ona jest dla nas najważniejsza. Bardzo by mi na niej zależało, zamierzałem bo - « wiem unieszkodliwić owych dwóch przystojnych

czarnych rycerzy za pomocą magii imienia. Ale znalazłem | tutaj coś innego.

Posłuchajcie!

Usadowili się wygodniej, oczekując w napięciu. „W dawno minionych czasach najzdolniejszemu ze złotników nakazano wykonać kielich ze srebra, kielich okryty tajemnicą tak wielką, że jego twórców po wypełnieniu zadania natychmiast zgładzono...”

- Och! - jęknęła Theresa. - Sądzę, że zręczni złotnicy przynieśliby światu większy pożytek niż źli rycerze.

- Słuszna uwaga - pokiwał głową Móri i podjął: - „Kielich opowiadał historię ostatnich chwil Słońca. Ślad srebrnego klejnotu urywa się w Tiersteingram, twierdzy, o której nic poza nazwą nie wiadomo. Nie leży ona na ziemiach Tiersteinów. W owym właśnie tajemniczym zamczysku znajdował się kielich, podobnie jak trzecia część jakiegoś klucza; ten miał jakoby wpaść w ręce rodu, którego nazwiska wciąż nie znamy”.

- Za to nam nie jest obce - oświadczyła Danielle. - Habsburg.

Theresa pokiwała głową.

- „Powiadają, iż osobą, która zleciła wykonanie srebrnego kielicha, był ni mniej, ni więcej tylko Robert le Diable, książę Normandii, słynny bohater minionych dni świetności...”

- Bohater? Powiedziałbym raczej, że bezwzględny, żądny krwi tyran - mruknął Erling.

Wtrąciła się Theresa:

- Członkowie Zakonu w bliższych nam czasach mu sieli chyba wiedzieć, że kielich znajduje się w posiadaniu mojej rodziny. To przecież jasne!

- Owszem, ale przyjrzyjmy się, kto uczynił ten zapisek o kielichu - przypomniał Móri. - A był to... Zobacz my... Pedro Okrutny z Kastylii. Żył w czternastym wieku, czyli dość dawno temu.

- Wobec tego już rozumiem - pokiwała głową Theresa. Taran wysiliła się na błyskotliwy wniosek:

- Chociaż znamy imiona wielu złych, okrutnych i głupich wielkich mistrzów, tylko niektórzy z nich ma ją dla nas znaczenie, prawda?
- Kogo masz na myśli? - życzliwie spytał Móri.
- Hm, Ordogno Zły - Taran wyliczała na palcach.
- Hrabowie von Tierstein. I wprawdzie na wspomnienie Tomasa de Torquemady włos jeży się na głowie, dla nas jest on nieistotny...
- Ha! Nieistotny? - parsknął śmiechem Villemann.
- Szkoda, że on tego nie słyszy! Wściekłby się!
- Bez wątplenia! Następnie mamy mnicha Wilfreda von Graben, ten jest ważny. I... no tak, kardynał.

Z uznaniem przyjęli podsumowanie Taran, a dziewczyna dostojnie pokiwała głową, chcąc ukryć radość z pochwały.

- Zagadka kielicha jest więc już rozwiązana - stwierdziła Tiril. - Czytaj dalej, Móri! Mąż przewrócił kartkę. - Ojej!
- Co się stało?

Móri przebiegł wzrokiem po stronie, kilkakrotnie przeczytał ją po cichu.

Rodzina i przyjaciele czekali w milczeniu. Wiedzieli, że tekst trudno odcyfrować, bo przecież spisywali go różni ludzie, czasami w odmiennych językach. Ten fragment jednak został napisany po niemiecku, Tiril stwierdziła to, zerknąwszy mężowi przez ramię.

Wreszcie Móri podniósł wzrok.

- To historia Słońca!
- Tutaj? W tej księdze? - zdumiał się Cień pełen nie dowierzenia. Owszem, w formie, jaką zna Zakon. Cień powoli się rozluźniał.
- Ach, tak! Czytaj więc, chciałbym ją usłyszeć. Teraz w jego głosie dały się słyszeć nutki rozbawienia.
- Tak - przyznał Móri z uśmiechem. - O ile wolno mi pokusić się na zgadywanie, jest ona bardzo, ale to bardzo uproszczona.
- Pamiętajcie o jednym - wtrącił Dolg. - Ordogno Zły zdołał odczytać świętą księgę

Słońca! Tę, której my jeszcze nawet nie otworzyliśmy.

- To prawda. Wielką niewiadomą pozostaje tylko, ile miał ochotę ujawnić.

- Owszem, ale nie możemy zapomnieć, że Tiersteinowie wiedzieli, gdzie należy szukać.

Móri pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, że ich wiedza o miejscu ukrycia Słońca pokrywa się z tym, co napisano tutaj. Ale pozwólcie mi przeczytać!

Rozpoczął:

- „W zaraniu dziejów zniknęła najszlachetniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek stworzono na ziemi: błyszcząca kula z metalu, którego nikt nie potrafi opisać ani zrozumieć. Kula posiadała właściwości tak niezwykle cenne, że nie znajdzie się człowieka, który nie pragnąłby jej posiadać.

Skąd się wzięła, nie wie nikt. Powiadano, że zesłały ją gwiazdy. Ale cóż może przybyć z owych zimnych punkcików na niebie, tak odległych od naszej Ziemi? Święte Słońce nie miało jednak sobie równego.

Lud, który je posiadał, zwany był Lemurami...”

- Proszę, proszę - burknął Cień. - Mimo wszystko wiedzieli aż tyle!

- To przecież nic nowego - przypomniał Villemann. - Nie pamiętacie inskrypcji na ścianie w lochach w Tiersteingram? „...IMVR...” Hrabiowie znali słowo „lemur”.

- Masz rację - pokiwał głową Cień. - Czytaj dalej, Móri, to zaczyna być interesujące.

- Bardzo delikatnie powiedziane - uśmiechnął się Móri. - Słuchajcie, co dalej:

„Lemurowie byli słabym ludem, dlatego musieli ulec zagładzie...”

Cień poderwał się gwałtownie, aż poruszyło się wszystko, co leżało na stole.

- Co takiego? - krzyknął. Nigdy jeszcze nie widzieli go tak rozgniewanego. - Słaby lud? Tak ośmielają się o nas mówić ci nędznicy? Co im wiadomo o procesie rodzenia się Ziemi? O czasach, kiedy morze zamienia się na miejsca z lądem, kiedy światy zapadają się w otchłań morską, a na ich miejsce powstają nowe!

Chciałbym się przekonać, jak potrafiliby sobie wówczas poradzić ci nędzni

rycerze?

Nikt nie sprzeciwiał się Cieniowi. Po pierwsze, nie mieli śmiałości, po drugie, w pełni się z nim zgadzali.

Kiedy olbrzym nieco się uspokoił, Móri mógł powrócić do lektury.

Dotarli do długiego fragmentu, nie wnoszącego nic nowego, bo opisującego kwestie dobrze już znane rodzinie czarnoksiężnika. Autor tekstu wkrótce jednak poruszył znacznie ciekawszy temat:

Właściwości Świętego Słońca.

Wyjaśniało to, dlaczego bracia zakonnicy z taką determinacją poszukiwali klejnotu.

Wspomniano tu o Wrotach, lecz tylko przelotnie. Podobno ten, kto zechce, będzie mógł przejść przez jakieś wrota do baśniowej krainy, w której istnienie członkowie Zakonu najwidoczniej nie bardzo wierzyli. Znacznie ważniejsze dla nich było wykorzystanie wszelkich możliwości, jakie dawało Słońce w świecie ludzi. Władza! Władza bez granic!

- Głupcy! - prychnął Cień. - Na co komu władza? Mądrość, oto co daje Słońce.

Ale... bez wątpienia władzę również.

- Jak to? - spytała odrobinę zniecierpliwiona Taran.

- To jest tutaj napisane - odparł Móri. - I przyznam, że to dość straszne. Słońce znosi śmierć...

- Ojej! - westchnęła Taran.

Cień podniósł rękę w geście ostrzeżenia.

- Nie całkiem. Pamiętajcie, że wtedy, przed dziesiątkami tysięcy lat, umarłem. A mimo to dalej istniałem. Jeśli chcę, potrafię - jak teraz - żyć jak zwykły człowiek. Mogę również postanowić, że będę przebywał w świecie duchów, jak to było dotychczas. Czas i przestrzeń nie mają dla mnie żadnego znaczenia, przemieszczam się za pomocą siły myśli. Ale mogę także zdecydować się na całkowitą śmierć. Na niebyt.

Móri podniecony powiódł wzrokiem po twarzach bliskich.

- Nie rozumiecie, jaką niesłychaną, niczym nie ograniczoną władzę daje

możliwość pokonania śmierci w ten sposób? W zależności od własnego widzimisię ukazywać się lub pozostawać niewidzialnym! Jakież korzyści mogą dzięki temu osiągnąć źli ludzie!

- Tak, tacy jak rycerze - pokiwała głową Theresa. - Rzeczywiście, od tej myśli wprost kręci się w głowie.

Milczeli w zadumie.

Dolg patrzył na Nera, który zajął fotel w pobliżu swoich ukochanych państwa. Dolg nigdy nie potrafił pojąć, jak to się dzieje, że psy potrafią leżeć w takiej pozycji, jaką przyjął teraz Nero: z łbem spuszczonego niemal do samej podłogi. Czy cała krew nie spływała mu wtedy do głowy? Albo, jeszcze gorzej: kiedy układał łeb na poręczy fotela wrzynającej mu się w gardło. Pies jednak jak zwykle spał spokojnie, chwilami nawet lekko pochrapywał. Kochany stary Nero!

Myśli Dolga powróciły do Słońca i rycerzy.

Dotarli do niego wypowiedane z mocą słowa Cienia:

- Zrozumcie, najważniejsze, co daje Słońce, to mądrość. Ja wprawdzie nie należałem do najzaciejszych obywateli Lemurii, byłem jedynie wojownikiem, wyżej postawieni potrafili o wiele więcej niż ja. Ale i ja posiadałem w pewnym stopniu zdolność patrzenia poprzez woal historii i wszechświata. Potrafię, choć być może nie idealnie, zobaczyć, co dzieje się gdzieś daleko, czy też, jak ja to nazywam, „czytać w księdze czasu świata”. Słyszę, kiedy Dolg mnie wzywa, czasami również, gdy i wy inni potrzebujecie mojej pomocy. Ale nie jestem doskonały, nie taki, jak tamci, poprzedni. Natomiast to, co mnie najbardziej przeraża w związku z zakonem rycerskim...

Umilkł, zamyślił się, potem wziął głęboki oddech.

- Słońce wzmacnia cechy człowieka. Dlatego tyle wymagałem od Dolga, pragnąłem, aby wyrósł na dobrego człowieka. I tak też się stało, wielkie znaczenie miało w jego przypadku również wychowanie. Wiem także, że wy wszyscy obecni w tym pokoju zaliczacie się do ludzi najlepszego rodzaju. Natomiast bracia zakonni...

- Jasne - dokończył za niego Erling. - Oni są źli. A Słońce uczyniłoby ich jeszcze gorszymi.

- Wprost przerażającymi.

Taran odezwała się z niezwykłą jak na nią pokorą:

- Bardzo ci jesteśmy wdzięczni, Cieniu, za to, że wy stawiasz nam taką dobrą opinię.

Zgodnie jej przytaknęli.

- W pełni na to zasłużyliście - uśmiechnął się Cień.

- Przyjrzymy się teraz dalszemu ciągowi historii.

Ale w „Księdze Królów Zakonu” niewiele więcej zdołali wyczytać. Wszystkich zdumiało, jak mało w gruncie rzeczy wiedzieli bracia zakonni. Oczywiście fakt, że Słońce przyciąga bogactwa do osoby, na którą padnie jego światło, stał się istotną przyczyną, dla której rycerze tak go pożąдали. Życie wieczne, zdolność stawania się niewidzialnym, władza i bogactwo. Czego więcej może pragnąć człowiek? Każdy otrzymał zadanie przepisania z „Księgi Królów” tego, co uzna za przydatne. Tylko Móri prosił, by go zwolniono z tego obowiązku, pisał tak niewyraźnie, że sam nie zawsze potrafił odczytać własne bazgroły. Podzielił się zapiskami z Tiril. Cień nie potrzebował żadnej książki, Nerowi także wybaczone nieumiejętność pisania. Pozostali sporządzili własne kopie.

Zajęło im to cały dzień, pragnęli jednak uporać się z wszelkimi drobiazgami, zanim zabiorą się do najważniejszego: odczytywania schowanej w skrzyni świętej księgi Lemurów.

Kiedy wracali do jadalni, Elsie słała za Villemannem powłóczyście spojrzenia.

Theresa, zamykając drzwi, westchnęła ciężko:

- Villemannie, musisz jej wyraźnie powiedzieć, jak się sprawy mają. Biedna dziewczyna, zakochała się po uszy!

- Nie chcę nikogo ranić - zmieształ się Villemann.

- Rozumiem, ja też nie lubię zwalniać służących, ale jej pełno wszędzie!

Biedaczka, taka dobra i miła, ale nie najmądrzejsza i...

Tego ostatniego wcale nie jestem taki pewien - oświadczył zamyślony Dolg. - Jest coś w jej spojrzeniu, co... Nie, nie potrafię tego wytłumaczyć. Chodźcie, zacznijmy studiować księgę Lemurów. Ogromnie jestem jej ciekaw!

- A kto nie jest? - uśmiechnął się Erling.

Ale czuł się bardzo nieswojo. Wcześniej czytał o wielkim mistrzu, który żył w XVI wieku, Louisie de Grotte. Był to renesansowy książę w najgorszym rozumieniu tego słowa, rzucał swoich wrogów dzikim zwierzętom na pożarcie, nabijał ich głowy na pal. Los jednak spletał mu figla, Burgundczyk zginął śmiercią równie okrutną, jak sam zadawał swym przeciwnikom: rozwścieczony tłum wrzucił go do dołu pełnego wygłodzonych dzików.

Dzięki Bogu, że czasy chociaż trochę się zmieniły!

Mieli teraz tabliczkę z kodem, lecz jej wędrówka poprzez epoki pozostawała oddzielną tajemnicą. Cień twierdził, że tabliczka zniknęła na wiele stuleci przed tym, jak Ordogno Zły zdołał odczytać runy świętej księgi. Ale skoro mu się to udało, musiał mieć kod, chociaż Cień temu zaprzeczał. Inna sytuacja nie była jednak możliwa, nikt nie mógł odczytać księgi nie znając kodu, nikt, nawet Cień, który wszak sam był Lemurem.

Od czasów Ordogno wszelki słuch o kodzie zaginął. Informacje posiadane przez Zakon musiały pochodzić z przekazów ustnych, powtarzanych z pokolenia na pokolenie. Współcześni rycerze na pewno nie czytali wielkiej księgi.

Otwarta pozostawała też kwestia hrabiów von Tierstein. Z jakiego powodu mieli kopię bezcennej księgi w swojej twierdzy daleko na Północy? Musieli ją przeczytać, bo inaczej skąd wiedzieliby, gdzie szukać Słońca?

Móri przypuszczał, że Tiersteinowie postąpili dokładnie tak, jak kardynał kilka stuleci później: Ukryli księgę, by nikt inny jej nie oglądał. W taki sposób księga zniknęła dla świata. Ale kod...?

Od czasów Tiersteinów nikt o nim nie słyszał. Dopiero kardynał von Graben ukrył go w klasztorze w Dolinie Łez.

- Cieniu - podsunął Dolg. - Czy nie możesz zajrzeć do „księgi czasu świata”?

Cień zamyślony popatrzył na Dolga. Znów zgromadzili się wokół wielkiego stołu w Theresenhof. Upłynęło już kilka dni od czasu, kiedy zebrali się przy nim pierwszy raz, i dopiero teraz nareszcie byli gotowi zająć się świętą księgą Lemurów.

- Niezły pomysł, Dolgu - odparł Cień swoim głębokim głosem. - Nie twierdę, że nie próbowałem już wcześniej, ale wtedy nie szukałem kodu, lecz księgi. Mogłem tylko mniej więcej prześledzić jej losy, bo niestety pozostawała poza moim zasięgiem. Aby nikt niepowołany jej nie dotknął, wiele razy zamykano ją za pomocą magii. Pierwszy uczynił to nasz szlachetny król, później Ordogno Zły swymi czarnymi zaklęciami. Inni nikczemnicy z Zakonu także próbowali. Ale kod... Nie poświęciłem mu zbyt wiele uwagi, teraz więc spróbuję. Muszę się cofać w czasie, zacząć od tu i teraz.

- Rób tak, jak twoim zdaniem będzie najlepiej - spokojnie powiedział Mór i. Cień odchylił głowę w tył i przymknął oczy. Wszyscy czekali w milczeniu.

- Klasztor - zaczął olbrzym niewyraźnie. - Przez wiele lat. A wcześniej: Zakon Świętego Słońca, sale pod twierdzą Deobrigula.

Pokiwali głowami; właśnie tego się spodziewali. Cień przez długą chwilę nie wypowiedział ani słowa. Zauważyli tylko, jak marszczy brwi. W końcu oświadczył:

- Kod od czasów Ordogno znajdował się właśnie tam.

- Bardzo prawdopodobne - mruknął Erling. - Tiersteinowie najwidoczniej wypożyczyli go sobie na miejscu i odczytali księgę, którą później zabrali, a kod zostawili.

Tak, Erlingu, masz rację - odparł Cień, nie otwierając oczu. - Musicie pamiętać, że pomiędzy Ordogno a najstarszym hrabią von Tierstein było zaledwie kilku wielkich mistrzów. Wszak to okres niecałych stu lat. W tym czasie żaden z rycerzy nie zorientował się, jak bezcennej wartości rzecz posiadają.

- A ci, którzy przyszli po Tiersteinach, nie rozumie li, czym jest kod - rzekł uradowany Villemann. - Bo nie mieli już księgi.

Cień oświadczył z lekką ironią:

- Jeśli wygłosiliście już wszystkie błyskotliwe uwagi, to może pozwolicie mi dalej

działać? Chciałbym jeszcze bardziej cofnąć się w czasie, w epokę przed Ordogno Złym.

- Masz nasze przyzwolenie - powiedział Villemann z udawanym dostojeństwem i wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Cień. Nera tak ucieszyły te odgłosy, że podszedł do stołu i mierzając ogonem patrzył na ludzi z wyczekiwaniem. Dolg pogłaskał go serdecznie; nie chciał, żeby pies czuł się odrażony.

Umilkli, w pokoju zapadła cisza, podczas kiedy Cień się koncentrował.

Ujrzeni grymas zdumienia przemykający po jego twarzy, ale dopiero po długiej chwili otworzył oczy i przemówił:

- Pamiętacie zapewne, że w posiadaniu Ordogno zna laż się jeden z naszych dwu zagubionych znaków Słońca, które dwaj rzymscy dowódcy znaleźli w eleganckim domu w Rzymie mniej więcej sto lat przed waszą rachubą czasu. Właściwie chyba przez cały czas byliśmy ciekawi, w jaki sposób znak Słońca wpadł w ręce Ordogno, prawda?

- Nie da się temu zaprzeczyć - powiedział Rafael. Wyraz twarzy Cienia świadczył o tym, że przed oczy ma ukazują mu się kolejne wizje.

- Ujrzałem fale ludów nordyckich zalewających Rzym i Hiszpanię po śmierci Kwintusa Ursusa. Pamiętacie chyba, że został on pochowany pod Aix, gdzie znaleźliście drugi znak Słońca. Jego przyjaciel centurion natomiast najwidoczniej zdołał powrócić do Rzymu. Przywiózł wiele trofeów z bitwy pod Aix. Później wysłano go do Hiszpanii, która wówczas nie była jeszcze zjednoczonym królestwem. Przybył do Leon - nazwa oznacza wszak legion - i tam został trybunem legionu rzymskiego. On właśnie posiadał drugi z naszych znaków Słońca oraz łup wojenny zdobyty na teutońskim wojowniku: nasz kod.

- Ojej! - westchnęła Danielle.

- Tak. W taki oto sposób oba te klejnoty po jego śmierci znalazły się w królewskiej twierdzy w Leon i wiele stuleci później wpadły w ręce Ordogno Złego.

Villemann bawił się leżącą na stole tabliczką, wyczyszczoną i wypolerowaną do połysku.

- Sporządzono ją z bardzo kosztownych tworzyw - zauważył. - Ale pewnie nikt i tak nie rozumiał, co to jest.

- Używano jej jako zabawki dla niemowląt - krótko wyjaśnił Cień, najwyraźniej uważając takie postępowanie nie za świętokradztwo.

- Dobrze, więc to już wiemy - podsumował Rafael. - A przed centurionem? Kim był ów barbarzyńca z pól nocnych krain?

- To żadna ważna osoba, po prostu teutoński wojownik. Pozwólcie mi cofnąć się w czasie jeszcze dalej!

- O, tak - ucieszyła się Theresa. - To takie interesujące! Sama chciałabym móc w taki sposób wędrować przez wieki!

Cień posłał jej dość ostre spojrzenie.

- Wy również będziecie to potrafili, jeśli odnajdziecie Słońce.

W grupie wokół stołu podniósł się lekki szum.

Cień znów się skoncentrował, czekali na jego relację.

- Ach, jakże te plemiona wokół Morza Bałtyckiego ze sobą walczyły - mruknął. - Kod wędrował od jednego ludu do drugiego. Teraz... teraz wróciłem niemal... Urwał zdumiony.

- Ależ... - zająknął się. - Nie, to niemożliwe!

- Co takiego? - ośmieliła się zapytać Taran.

Ku ich zdumieniu Cień wybuchnął śmiechem. Z początku z niedowierzaniem, potem z coraz większą rezygnacją. Nagle uderzył w stół pięścią, aż Nero poderwał się i zaniósł histerycznym ujadaniem.

- Co się stało, Cieniu? - dopytywał się Uriel.

- To nie może być prawda - rzekł z uśmiechem, kręcąc głową. - To nie może być prawda, a jednak jest. Całkiem o tym zapomniałem!

Coraz bardziej zdziwieni czekali na wyjaśnienie, wreszcie Cień zdołał się opanować.

- To ja - oświadczył lekko zdesperowany. - Ci, którzy zniknęli, zostawili kod na brzegu. A ja, teraz samotny, zabrałem go i pobiegłem przed siebie. Kiedy

„umarłem”, tabliczka została w wiosce, w której mieszkałem, w rękach tego prymitywnego plemienia.

- Właśnie, co to był za lud? - spytał Móri, kiedy opadło zdumienie i ucichły śmiechy.

- Nie wiem - pokręcił głową Cień. - To było tak strasznie dawno temu. Tamci ludzie byli prości, można po wiedzieć, że przypominali wręcz małpy. Musieli jednak stanowić zaczątek któregoś z plemion nordyckich zamieszkujących okolice Bałtyku, to jedyne, co mogę stwierdzić.

- Znamy więc już historię kodu - podsumował Móri. - A teraz, przyjaciele, powinniśmy zabrać się do księgi!

Ja też tak uważam - przyznał Cień.

W jednej chwili zdali sobie sprawę, w jakim napięciu czekali na ten moment.

Zdecydowali, że to Cień jako najbardziej godna tego osoba powinien wziąć do ręki kod i otworzyć wielką księgę. Poznali po nim, że w pełni się z nimi zgadza.

Ostrożnie wyjął księgę ze szkatuły i położył ją na stole.

- Dolgu i Villemannie, wynieście z pokoju szafir i farangil, bo strasznie dużo robią wokół siebie zamieszania - powiedział głosem schrypniętym z podniecenia.

Miał absolutną rację. Oba kamienie załśniły grą kolorów, na której widok dech zapierało w piersiach, cała jadalnia zapłonęła odcieniami czerwieni i błękitu, nie dawało się wprost patrzeć na księgę, bo oślepiały roztańczone barwy.

Dwa kamienie zostały złożone w kasie pancерnej Erlinga i wreszcie Cień otworzył księgę. Taran zauważyła, że jego pięknie ukształtowane dłonie ledwie dostrzegalnie drżą z podniecenia. Był to zaiste niezwykły moment dla człowieka z rasy tak starej, że na samą myśl o tym mogło się zakręcić w głowie.

Cień delikatnie, powoli i w skupieniu przeglądał księgę. Wreszcie oderwał od niej wzrok.

- Nie pojmuję ani słowa - oświadczył.

- Bo też i chyba wcale tak nie miało być - błyskawicznie odparł Villemann. - Po pierwsze, jesteś późnym potomkiem istot, które napisały księgę, a po drugie, tekst

jest przecież zakodowany.

- Wiem o tym. Podaj mi kod, Urielu. Niegdyś anioł spełnił prośbę.

Rozpoczęła się żmudna praca, bowiem w tabliczce stanowiącej kod znajdowały się ruchome czworokąty. Nie wystarczyło przyłożenie jej do stronicy księgi, należało także wypróbować wszelkie możliwe kombinacje, a tych było niemało. Czworokąty dawało się unieruchomić w żądanej pozycji. Byle tylko natrafić na właściwą!

Kiedy zapadł zmierzch, musieli się poddać.

- Jutro rano od nowa przystąpimy do dzieła - rzekł wyraźnie znużony Móri - Teraz wszyscy są zbyt zmęczeni

Taran wyprostowała się i poczuła, że ojciec ma rację. W głowie jej się kręciło, przez moment miała wrażenie, że zaraz straci równowagę.

- Wszystko będzie dobrze - Villemann usiłował pocieszać wyraźnie zmartwionego Cienia. - Na pewno nam się uda.

- O, tak - odpowiedział olbrzym. - Na pewno. Co innego mnie niepokoi.

- A co?

- Że nie rozumiem języka. Musicie wiedzieć, że żyłem wiele tysięcy lat po napisaniu księgi.

Słowa te zmartwiły zebranych. Pomyśleli o tym, jak niewiele współcześnie żyjący Norwegowie rozumieją z języka, którym posługiwano się w Norwegii tysiąc lat wcześniej.

Nie mówiąc już o istniejących kiedyś, a teraz wymarłych dialektach i językach. A Księgę Świętego Słońca napisano przecież na wiele, wiele tysięcy lat przed przyjściem Cienia na świat.

Nie była to budująca myśl.

Na ten dzień jednak musieli zakończyć pracę.

Błagalnie popatrzyli na Cienia.

Zrozumiał ich niema prośbę i rzekł z uśmiechem:

- Nie, nie będę się nad tym głowił w nocy - obiecał. - Nie spróbuję złamać kodu ani

też potajemnie czytać.

Dziękujemy - szepnęła Taran z ulgą. - Tak bardzo chcielibyśmy uczestniczyć w rozwiązywaniu tej zagadki. - Wiem - powiedział Cień życzliwie. - To tkwi w waszej naturze. Życzę wam wszystkim dobrej nocy. I dziękuję za wspaniały dzień!

Zobaczymy się jutro.

Bracia zabrali Nera na wieczorny spacer. Przez jakiś czas wędrowali przez łąki w milczeniu, a pies jak zwykle biegł zygzakiem od drzewa do drzewa, przystając przy zaroślach i interesujących zagłębieniach w ziemi.

- Trudno będzie się z tym wszystkim rozstać - zauważył Villemann. - Właśnie teraz, wczesną wiosną, Theresenhof jest najpiękniejsze. Posłuchaj tylko drozda śpiewaka i słowika. I szumu wezbranych wiosennych wód rzeki.

- Tak - przyznał Dolg. - Ty także przeczuwasz, praw da? Przeczuwasz ostateczne rozstanie. Nigdy więcej już tego nie zobaczymy.

- Owszem. Czy postępujemy źle, Dolgu?

- Nie. Robimy to, co powinniśmy. Przystanął.

- Ale rzeczywiście nigdy jeszcze Karnten nie było takie piękne, wprost boleśnie piękne. Spójrz, jak mgły igrają nad rzeką! I ta delikatna jasna zieleń, która jakby nie śmiała jeszcze wyglądać na świat. Góry, wciąż białe po zimie, i mroczny zielony las poniżej.

Villemann był w stanie jedynie kiwać głową. Czuł ściskanie w gardle i bał się cokolwiek powiedzieć.

- Chodź, Nero! - zawołał Dolg.

Ku uldze Villemanna i głos brata nie zabrzmiał przejrzyście. O dziwo, następnego ranka przy nakrytym do śniadania stole pojawili się wszyscy. Nie zdarzyło się to od lat, pomyślała z lekkim rozgoryczeniem Theresa. Rafael zawsze lubił długo spać, a z Taran bywało różnie. Raz potrafiła do południa nie opuszczać łóżka, to znów wstawiała o świcie i była prawdziwą udręką dla innych, których chciała tak samo wcześnie obudzić. W takich sytuacjach odgrywała rolę najzdrowszego i najzwawszego człowieka pod słońcem i potrafiła być naprawdę nieznośna.

Prawdę powiedziawszy, Theresa wolała jej późniejsze wstawanie.

Moja ukochana rodzina, pomyślała teraz wzruszona.

W ten jasny, ciepły wiosenny poranek wyjątkowo udało jej się zatrzymać najbliższych przy śniadaniowym stole przyzwoicie długo, a to dlatego, że omawiali historię przedmiotów, o których nie zdążyli porozmawiać w poprzednich dniach. Trochę ich to wyciszyło. Theresa z radością zauważyła także, że przyłączył się do nich i Cień.

- Historia mapy jest dość prosta - rozpoczęła. - Przechowywano ją w świątyni w mieście Lemurów do czasu, kiedy skradł ją Sigilion. Zabrały mu ją później wielkie latające jaszczury i ukryły w swojej grotcie. Tam znaleźli ją Madragowie, podzieloną na cztery części, których używali jako amuletów. Teraz mapa jest w naszym posiadaniu. Czy to, co mówię, jest słuszne, Cieniu?

- Jak najbardziej. Proszę kontynuować, łaskawa księżno.

Tylko Cień zwracał się do Theresy z takim szacunkiem. Ona wysoko sobie ceniła ową dworność, z gracją i bardzo po kobiecemu skłoniła teraz głowę.

- Nie poruszyliśmy też dotychczas kwestii losu kamieni. Poprawiaj mnie, Cieniu, jeśli popełnię jakiś błąd. Pod czas waszej ucieczki na Północ, kiedy Lemuria uległa za głądzie, ostatni szlachetni Lemurowie zabrali ze sobą trzy święte kamienie. Ponieważ zagrażało im niebezpieczeństwo, ukryli niebieski szafir na „wysepce” wśród moczarów i pozostawili Strażniczkę, aby nad nim czuwała.

Cień skinął głową. Theresa podjęła:

- W dalszej bezplanowej wędrówce musieliście dotrzeć na Islandię. Tam nawiązaliście kontakt z elfami i Starcem i właśnie tam zostawiliście drugi kamień, farangil.

- Uznaliśmy to za konieczne, nasza sytuacja bowiem stała się naprawdę rozpaczliwa, byliśmy ogromnie wycieńczeni i obawialiśmy się, że wkrótce zabraknie nam sił. A ponieważ elfy również okazywały zainteresowanie farangilem, dla pewności pozostawiliśmy przy nim troje Strażników, tak by ani elfy, ani Starzec nie mogli dotrzeć do kamienia.

Villemann miał wiele wątpliwości.

- Ale dlaczego kardynał nie wiedział o istnieniu szafiru i farangila? Dlaczego wiedział o tym biskup Engelbert, a kardynał nie?

Cień odparł:

- Jeszcze raz do głosu dochodzą Habsburgowie, mój niecierpliwy przyjacielu, oraz pojawiający się niemal wszędzie hrabia von Tierstein Starszy. Przekazał historię trzech klejnotów swoim synom, lecz ten z synów, który pozostał na Tiersteingram, umarł bezpotomnie, drugiemu najwidoczniej cała historia uleciała z pamięci i w ten sposób opowieść o niebieskim i czerwonym kamieniu przetrwała tylko w linii Habsburgów.

- No tak - westchnęła Theresa. - Przebiegły Engelbert podsłuchał opowiadania mego ojca.

- Chciałbym coś uściślić - wtrącił Móri. - Drugi z synów hrabiego von Tierstein niczego nie zapomniał! Pamiętacie, co opowiadał nam Heinrich Reuss? Słyszał wszak o dwóch towarzyszących Słońcu kamieniach od Georga Wetleva, który przecież był potomkiem syna von Tiersteina. Oczywiście starali się zachować to w tajemnicy.

- Masz rację - przyznał Erling. - Ale ród Wetlevów już wymarł.

- Tak.

- Czy mogę mówić dalej? - spytała Theresa. Pokiwali głowami, przy rozmowie zapomnieli prawie o jedzeniu.

- Czy tak naprawdę zastanawialiśmy się nad historią świętej księgi? - spytała księżna. - Tej, z której usiłuje my wydrzeć tajemnice? Co wiemy o jej losach?

- Całkiem sporo - stwierdził Móri. - Sądzę jednak, że Cień będzie musiał uzupełnić naszą wiedzę.

- Dobrze - zgodził się ich niezwykle przyjaciel. - Jak już wspomniałem, utraciliśmy ją w końcowym etapie naszej wędrówki. Skradły ją nam dzikie plemiona z Północy.

- Tak, mówiłeś o tym - potwierdził Dolg.

Złodzieje wkrótce się zorientowali, że księga przy nosi nieszczęście, pochowano ją więc z jednym z wodzów. Długo, długo później, już w waszej rachubie czasu, rabusie, którzy ograbili grób, znaleźli księgę, bo przecież jej nie da się zniszczyć. Wpadła w ręce Herulów nad Bałtykiem. Ich ówczesny wódz, Visislav, miał żonę o imieniu Tiburnia z Nors Vei, czyli z Norwegii. Tiburnia zapragnęła księgi i spotkał ją marny koniec. Herulowie, Wandalowie, a później Goci przekazywali księgę w spadku kolejnym pokoleniom, nie rozumiejąc, że wszelkim nieszczęściom winna jest właśnie ona. Księga stała się świętością, wprawdzie nikt nie rozumiał z niej ani litery, lecz odczuwali wobec niej niezmierny szacunek i strach. Wszystkiego tego dowiedziałem się dzisiejszej nocy, czytając księgę czasu świata.

Wiedzieli już, że oznacza to wędrówkę w pamięci, Cień bowiem potrafił „pamiętać” wydarzenia, chociaż sam nigdy ich nie przeżył. Zdawali sobie również sprawę, że gdyby znaleźli Słońce, oni także posiadliby tę zdolność. Znajomość tego, co nadnaturalne, była bowiem jedną z właściwości, jakimi obdarzało Słońce.

Cień podjął opowieść:

- Z Wandalami i barbarzyńcami księga przywędrowała na południe. Dość dobrze znamy jej los, a jeszcze lepiej od czasu, kiedy zły czarnoksiężnik Ordogno znalazł ją w murach miejskich Leon. Stało się to w dziesiątym wieku, a ponieważ niemal jednocześnie w tajemnym pomieszczeniu w zamku odkrył jeden z dwóch znaków Słońca i kod, mógł odczytać księgę, właśnie za pomocą kodu i przy znacznym udziale magii - bez tego za nic by mu się to nie udało. Nie znał jednak języka ani nawet naszych znaków. Potem założył Zakon Świętego Słońca. Podobne stowarzyszenie istniało już w starożytnym Rzymie, utworzone przez dwóch dowódców po odnalezieniu przez nich znaków Słońca. Ale to była ledwie pierwsza, nieudana próba.

Wraz z Ordogno rozpoczęła się długa epoka zła. To, co kiedyś w krainie Lemurów było piękne i czyste, zbrukali teraz twardzi, okrutni ludzie.

- No tak, bo wszystko to, co reprezentuje Słońce, przyciąga także podejrzane indywidua - wtrąciła Tiril. - Władza, bogactwo, nadprzyrodzone zdolności, a

zwłaszcza umiejętność stawania się niewidzialnym...

- Zapominasz o czymś. - Cień wbił w nią wzrok. - O mniej lub bardziej wiecznym życiu, o zwycięstwie nad śmiercią.

- Tak - westchnęła Tiril. - Masz rację. To chyba jedna z głównych przyczyn zainteresowania rycerzy złocistą kulą.

- A przecież nic nie wiecie o Wrotach - mruknął Cień. Dolg podniósł rękę.

- Jeszcze coś, Cieniu: Elfy i inne duszki przyrody, pół - Lemurowie, czyli błędne ogniki, duchy - one wszystkie posiadają już te nadprzyrodzone zdolności, którymi obdarza Słońce: życie wieczne, zdolność przemieszczania się w dowolny sposób i stawania się niewidzialnym. Mogą też posiadać skarby, jakich tylko zapragną - dodał z uśmiechem. - A jednak rozpaczliwie tęsknią za Świętym Słońcem.

Dlaczego? Czy to ma jakiś związek z Wrotami?

Popatrzyli na Cienia, dumnego ze swego podopiecznego, który umie wyciągać logiczne wnioski.

- Oczywiście! Właśnie one najbardziej tęsknią za Wrotami.

- To znaczy, że chcą opuścić nasz świat? - spytał Móri. - Z jakiej przyczyny?

Cień odetchnął głęboko, odchylił się nieco w tył i mocno chwycił rękoma za krawędź stołu.

- Ponieważ mają już szczerze dość ludzi i zniszczeń, jakie oni poczynili na tym pięknym świecie.

Milczeli.

- Potrafię to zrozumieć - cicho powiedziała wreszcie Theresa.

Cień podniósł się.

- Powrócimy do odczytywania księgi? Czeka nas mozolna praca.

Wszyscy wstali od stołu. Kiedy ucichło szuranie przysuwanych krzeseł, odezwał się Villemann:

- Czy mogę zadać kłopotliwe pytanie?

- Chętnie słyszę takie pytania z twoich ust, drogi Villemannie - z uśmiechem odrzekł Cień. - Pytaj więc, na pewno to zniosę!

Zatrzymali się, patrząc na wyraźnie zdenerwowanego Villemanna.

- Mówisz, że Ordogno zdołał odczytać księgę za pomocą magii, inaczej by sobie z tym nie poradził. Nam, pomimo całej naszej dobrej woli, się nie powiodło.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Owszem, ale to zajmuje okropnie dużo czasu, prawda? Czy nie moglibyśmy... pokusić się o... choćby małą, maleńką czarnoksięską sztuczkę?

Zapadło milczenie. Villemann ciągnął desperacko:

- Mam na myśli jakieś dobre, nikomu nie szkodzące zaklęcie. Jest wszak wśród nas tak wielu czarnoksiężników, na przykład ty, Cieniu, i ojciec, Dolg, Nauczyciel i Hraundrangi - Móri.

Cień skierował na Móriego pytający wzrok. Villemann dodał pospiesznie:

- Założą się, że Ordogno poświęcił wiele lat na od czytanie księgi, chociaż nie zawsze korzystał z dopuszczalnych środków. I wkrótce potem umarł.

- Właśnie - oświadczył po namyśle Uriel. - Wiem, że nie wszystko, co łączy się z magią, jest złe, ale zastanawiam się, czy księga w ogóle chce mieć do czynienia z czarami.

- To może być niebezpieczne! - zawtórowała mu Taran.

- No tak - zgodził się Rafael. - Przecież to wiemy. Księga dalej rozsiewała wokół smutek i śmierć, życzyła bowiem sobie, aby pozostawiono ją w spokoju, i nie chciała mieć styczności z ludzkim złem. Aż do czasów Tiersteinów sto lat później. Wraz z nimi zniknęła kopia księgi i wszelka wiedza o Świętym Słońcu, pozostały jej dynie pogłoski i mgliste wspomnienia. Ale wiecie, wy daje mi się, że Villemann ma rację. Odrobina magii, spokojnej i szanownej, nie zaszkodzi.

- Bardzo skomplikowana wypowiedź, Rafaelu - stwierdził Erling, kiwając głową. Przybrany syn trochę przygasł, ale przyznawał mu rację.

Theresa także nie mogła zebrać myśli, błędzących gdzieś daleko:

- Wraz z Tiersteinami trzy części klucza rozproszyły się po świecie i przez to Habsburgowie zostali wciągnięci w całą tę historię. Poznali wiele tajemnic, niebezpiecznie wiele. Dowiedzieli się o istnieniu kamieni, o...

- Thereso - cicho zganiał ją Erling. - Chodzisz własny mi ścieżkami. O tym już przecież rozmawialiśmy.

Księżna drgnęła.

- Och, przepraszam, głośno myślałam. O czym mówicie?

Villemann wciąż usiłował przekonać Cienia:

- Może księga pragnie zostać odczytana... Właśnie przez nas. Właściwie jesteśmy całkiem mili, przynajmniej czasami.

Móri nadal się wahał, patrzył na Cienia. Olbrzym skinął głową.

- Rzeczywiście, odnalezienie właściwego ustawienia kodu może potrwać dni, ba, nawet miesiące, a kiedy je znajdziemy... No cóż, zapewne tabliczkę trzeba będzie przesuwac i obracać, każdą stronę badać po kawałku, a to znów może zabrać kolejne miesiące.

- Najlepiej by było, gdybyśmy wyruszyli w podróż latem - oświadczyła Taran. -

Rozumiem jednak, że się wahacie. Duchy i czary nie mają właściwie nic wspólnego z księgą.

- No właśnie, zwłaszcza po tym, jak Ordogno najprawdopodobniej obudził jej gniew, kiedy posłużył się czarną magią - naiwnie powiedziała Danielle. Nikt jednak nie zareagował na jej przekonanie o tym, że księga jest zdolna myśleć i czuć, i już samo to warte było uwagi.

- Masz rację, kochana Danielle - przyznał Cień. - Wzdragam się przed użyciem w tej sytuacji podobnych środków. To nie uchodzi! A mimo wszystko nie mamy czasu na...

Urwał zamyślony. Czekali na jego decyzję, świadomi, że zabrnęli w ślepią uliczkę i jedynie czas - jak długi, trudno powiedzieć - może przynieść rozwiązanie zagadki księgi. Albo magia.

- W jaki właściwie sposób Ordogno zdołał złamać kod za pomocą czarnej magii? - spytała Theresa. - To wydaje się niepojęte.

- Czarna magia potrafi czasem działać bardzo skutecznie - odpowiedział Cień. -

Ale jest szkodliwa, za wsze szkodliwa. Może Ordogno zaklął księgę tak, aby nikt

więcej nie mógł jej odczytać?

- Tak właśnie się wydaje - mruknął Móri. Cień zwrócił się do Dolga.

- A co ty o tym sądzisz? Dolg odparł zamyślony:

- Może powinniśmy spytać szafir i farangil? One na pewno mogą nam udzielić odpowiedzi.

Możesz zadawać kamieniom pytania? - zdziwiła się Tiril. - Jak one mogłyby odpowiedzieć?

Ale Cień kiwnął głową, Móri także.

- Być może zdołają oczyścić księgę z czarnych galdrów Ordogno - rzekł Móri, prawdziwy Islandczyk.

- Spróbuj, Dolgu - zachęcił chłopaka Cień. - Ville - mannie, idź z bratem po kamienie! To nic, że w pobliżu świętej księgi urządzają taką orgię barw.

Chłopcy wyszli z pokoju wraz z Erlingiem, który musiał otworzyć szafę.

Zaraz za drzwiami jadalni natknęli się, rzecz jasna, na Elsie. Dziewczyna stała zmieszana z wysoką szklanką w dłoni.

- Chciałam ją wstawić... Do kredensu. Zabłąkała się... Nadszedł kres cierpliwości Erlinga. Mocno ujął Elsie za ramię i podprowadził do drzwi skrzydła kuchennego.

- Zostaniesz tutaj, Elsie! Wiemy, że lubisz Villemanna, ale nic nie zyskasz, nie odstępując go nawet na krok. Pozwól nam teraz pracować w spokoju, przestań ciągle przeszkadzać!

Zraniony wzrok pokojówki poruszył serce Villemanna.

- Może niepotrzebnie potraktowałeś ją tak brutalnie - powiedział nieśmiało. - Szkoda mi dziewczyny.

- Musimy mieć spokój do pracy - odparł Erling, a Dolg w milczeniu pokiwał tylko głową.

Villemann czuł się przyparty do muru. Poza litością nie żywił żadnych uczuć do Elsie, nie całkiem młodej już panny o nieładnej cerze, spojrzeniu zawsze uciekającym przed oczami rozmówcy i zaciśniętych wąskich ustach. W roli pokojówki okazała się prawdziwą katastrofą. Babcia Theresa przyjęła ją

niedawno, usłyszawszy jakąś budzącą współczucie historię, ale już zdążyła pożałować swojej decyzji.

Villemann z westchnieniem zniecierpliwienia poszedł do gabinetu Erlinga. W tym czasie pozostali z rezygnacją przyglądali się zamkniętej księdze i czworokątnej tabliczce kodu, która leżała obok i drwiła z nich swą niezgłębianą tajemnicą. Ani Móri, ani Cień nie mieli ochoty uciekać się do magii. Nie w tej sytuacji, nie teraz. Uznali, że stosując czary naruszyliby godność świętej księgi, a przecież już kiedyś zbezczeszczono ją w ten sposób. Choć oczywiście czarnoksiężnicy z grupy Móriego nie posługiwali się jak Ordogno podłymi i czyniącymi zło zaklęciami.

Zgromadzonych w jadalni ogarnęła bezradność. Znaleźli się już tak blisko celu i nie zdali ostatniego egzaminu.

Wydawało się jednak, że Móri, Dolg i Cień czują, iż święta księga nie życzy sobie więcej żadnych skrótów i pokrętnego działania w rodzaju stosowania czarnej albo białej magii. A może... Nie mieli pewności. Może życzyła sobie czego innego? Może właśnie magii, lecz w jakiejś nieznannej formie?

Wrócili obaj chłopcy wraz z Erlingiem.

Pokój natychmiast zalało światło bijące od dwóch szlachetnych kamieni. Co więcej, do uszu ludzi dotarł ów głęboki, wibrujący ton, który Dolg słyszał już wcześniej, kiedy kamienie znajdowały się w pobliżu czegoś mającego fundamentalne znaczenie w historii Słońca. Ziemia pod ich stopami niepokojąco zdrząła, a lśniące czarnym blaskiem oczy Cienia świadczyły o tym, że wzmógł czujność.

- Coś się dzieje - szepnął.

- Czy kamienie chcą odpowiedzieć? - równie cicho, niemal bez tchu spytała Danielle.

- Nie wiem - odparł straszliwie spięty Dolg. - Otwórz księgę, Cieniu!

Olbrzym usłuchał. Wibracje się wzmogły, przerodziły w huk. Światło stało się wręcz nieznośne. Migotało coraz ostrzej. Danielle musiała zasłonić oczy.

Nie powinniśmy byli zabierać stąd kamieni, pomyślała Tiril. Ale skąd mogliśmy wiedzieć? Kto zresztą wytrzyma te błyski?

Przeżycie było niezwykle silne, nie mieli też pewności, czy postępują słusznie.

Błędnym eksperymentem mogli wszystko zepsuć.

Spostrzegli, że Cień także się waha, mocno zacisnął wargi, znieruchomiła postać świadczyła o nieznośnym napięciu. Oto nadeszła jego chwila, nikt bardziej niż on nie pragnął rozwiązać zagadki Świętego Słońca, a przecież nie wiedział, co właściwie się dzieje.

Nawet osoby najmniej zaangażowane w całą sprawę, Rafael, Danielle i Uriel, stały jak zamurowane. Niezwykła doniosłość chwili udzieliła się wszystkim, lecz nikt nie rozumiał, co kamienie pragną im przekazać.

Kiedy nic więcej się nie wydarzyło, Dolg poprosił cicho:

- Połóż kod na pierwszej stronie, Cieniu!

Oczywiście już wcześniej zaglądali do księgi i stwierdzili, że znaki w niej w ogóle nie przypominają liter pisanych ręką człowieka, nawet tak dawnych jak pismo klinowe. Rozpoznali jednak kilka symboli, które Dolg przerysował ze skalnych ścian, szkatulek i innych miejsc, w których je napotkał, symboli mających związek z dawną zaginioną Lemurią. Cień mówił, że zna większość z nich, chociaż i dla niego były prastare. Teraz jednak, kiedy stały w bezładnym szyku, nie dostrzegał w nich żadnego sensu.

Na życzenie Dolga położył tabliczkę z kodem pośrodku pierwszej strony.

Pokrywała zaledwie niewielką jej część.

- I co dalej? - zastanawiał się Móri.

Gry blasków nie dawało się już dłużej wytrzymać.

- Kamienie, Villemannie - cicho polecił Dolg. - Dotknij księgi sza... Nie! Dotknij szafirem kodu! Ja wezmę farangil.

Uczynili to jednocześnie, czerwony kamień z prawej, niebieski z lewej strony.

Nikt nie spodziewał się takiego rezultatu.

Usłyszeli kilka lekkich trzasków, następujących szybko po sobie. To przesuwwały

się malutkie kwadraciki kodu. Wreszcie się zatrzymały w określonej pozycji. Ale więcej nic się nie wydarzyło. Dolg zamienił się z Villemannem na kamienie.

- Spróbuj czytać, Cieniu - szepnął Dolg. Olbrzymi duch opiekuńczy pochylił się nad księgą, lecz zaraz się cofnął.

- Zabierzcie kamienie, światło mnie oślepia.

Gdy tylko kule zostały odsunięte na bok, ich blask przygasł.

- Niestety - rzekł Cień po chwili. - Nic mi to nie mówi.

Dolg, nie wypuszczając z rąk niebieskiego szafiru, przymknął oczy i starał się wyczuć, w czym tkwi błąd.

- Jesteśmy na właściwej drodze - mruknął. - Ale czegoś brakuje. Czego?

Kiedyś, dawno, bardzo dawno temu.... - zaczęła wolno Tiril.

Natychmiast popatrzyli na nią. Stała jak pogrążona w transie, nie zwracając uwagi na ich obecność.

- Co się stało, Tiril? - spytał Móri. Złapała go za rękę.

- Pomóż mi - szepnęła. - To jakieś dawne, bardzo dawne wspomnienie. Starsze niż Dolg. W biegu lat wielokrotnie powracało, lecz nigdy do niczego nie pasowało. Aż do tej pory.

- Spróbuj nam to wyjaśnić - poprosił Móri łagodnie, nie tracąc cierpliwości.

Tiril się skoncentrowała. Lekko odwróciła się w stronę Cienia i pozostałych.

- Jest tu coś, co mi się nie podoba. Zauważyliście, że ta gwałtowna, niespokojna gra światła odzwierciedla raczej przerażenie niż szczęście? I to pomimo bliskości księgi

- Masz rację - przyznał Cień, a pozostali pokiwali głowami. - Ale opowiedz nam o swoim wspomnieniu, to wydaje się bardzo interesujące.

- Dobrze - mówiła do wszystkich, ale bezpośrednio zwracała się do Mórego. - Pamiętasz... duchy wiele razy powtarzały, że ja... Mówię teraz o czasach przed na rodzinami Dolga... że jestem przez nich wybrana? Że mam być ich pośredniczką?

- Tak, mnie także mówiły, że masz być ich... Jak to określić? Narzędziem?

- Tak, coś w tym rodzaju. A raz przyśnił mi się pewien sen, bardzo rzeczywisty.

Śniło mi się, że duchy sto ją wokół mnie, i gdy się obudziłam, byłam przekonana, że wciąż tam są. Ale przy moim łóżku nie było nikogo. We śnie przyszedli do mnie tylko trzej: Nauczyciel, Nidhogg i Duch Utraconych Nadziei.

I co było dalej? - spytał w napięciu Móri. - Co ci się śniło?

- Właśnie wtedy mi to powiedziały. Użyły określenia „pośredniczka”. Rozumiem teraz, że mówiąc to miały na myśli, iż ja dam im Dolga. A potem wręczyły mi ja kiś osobliwy przedmiot.

Wszyscy nastawili uszu.

- Wyjaśnij, co to było - poprosił Cień. Tiril przygryzła wargę.

- To wyglądało na kawałek węgla brunatnego.

- Węgiel brunatny? - zdumiał się Móri. - To przecież to samo, co surtarbrand. Ależ jego miejsce jest na Islandii! Właśnie na węglu brunatnym my, czarnoksiężnicy, ryjemy nasze galdry, zaklęcia.

- Mnie także wydało się to dziwne - powiedziała Tiril onieśmielona. - Ten kawałek węgla brunatnego wręczył mi Nauczyciel. Pamiętam, że kiedy wzięłam go do ręki, ogarnął mnie strach tak wielki, że wprost zakręciło mi się w głowie. Węgiel parzył mi dłoń, a kiedy się obudziłam, rozbrzmiewający we śnie okrzyk triumfu, przypominający wycie wilków, przeniósł się do mojego świata. W pokoju jednak nie było nikogo. Ręce także miałam puste.

- Dobrze, ale co chciały od ciebie duchy? Dlaczego ci to dały?

- Wyjaśniły mi to we śnie. „Czekają”, powiedziały. „Czekają od dawna, od bardzo dawna. Teraz zbliża się chwila ich wyzwolenia”.

Kiedy nie dodała nic więcej, Móri wykrzyknął odrobinę zniecierpliwiony:

- Dobrze, i co dalej?

Tiril popatrzyła na niego niepewnie, widać było, z jakim trudem usiłuje przypomnieć sobie dawny sen i go zrozumieć.

- Duch Zgasłych Nadziei oświadczył: „My także czekamy”. Poprosiłam o wyjaśnienia, a wtedy odezwał się Nauczyciel: „Zatrzymaj to do chwili, gdy właściwy człowiek będzie tego potrzebował”. Spytałam, skąd będę wiedzieć, kto

to jest. „Po prostu zrozumiesz”, odparł. I na tym sen się skończył.

Kiedy ucichły zdumione szept, Móri zadał pytanie:

- Czyżby nadeszła odpowiednia chwila?

- Nie może chyba być kiedy indziej - spokojnie od parł Dolg. - Co to była za runa, mammo?

- Właściwie jej nie widziałam - przyznała Tiril. - Tylko czułam.

- Ojczy, czy możesz przynieść swoje czarnoksięskie runy?

Móri skinął głową i wyszedł. W czasie jego nieobecności Cień i Tiril popatrzyli sobie w oczy. Spojrzenie olbrzyma pozostawało niezgłębione, a jednak Tiril zdołała w nim wyczytać napięcie i podniecenie, jakie go ogarnęło teraz, kiedy nadchodził kres jego długiej wędrówki i poszukiwań na Ziemi.

Odezwała się cicho:

- Duchy musiały wiedzieć, że gdzieś, w jakimś miejscu, istnieje ratunek także dla nich, i wyznaczyły Dolga, aby go odnalazł. Ty bowiem pojawiłeś się później, prawda?

- Nie, uczestniczyłem we wszystkim od samego początku, tyle że one o mnie nie wiedziały. Nie zdawały sobie także sprawy, na czym polega ratunek. Ale ten twój sen... świadczy o tym, że zapewne ujrzały ową możliwość w jakiejś wizji.

Oczywiście nie w pełni wyraziście, nie przypuszczam, aby zobaczyły, że będziemy tak tu dzisiaj stać. Wiedziały jednak, że taka chwila nastąpi.

Tiril pokiwała głową. Wrócił Móri i nie było czasu na dalszą rozmowę.

Położył na stole kilka brunatnoczarnych kawałków węgla. Na każdym widniała wryta runa.

- Nie wziąłem tych mniej istotnych, tylko te, które moim zdaniem mogą mieć znaczenie. A tak, przy okazji, chciałem wam powiedzieć, że nigdzie nie widziałem Elsie. Nareszcie się zniechęciła.

Tiril podeszła do stołu obejrzyć czarnoksięskie runy. Z wahaniem podnosiła je po kolei i odkładała. Próbowwała dotykiem odszukać ten o właściwych rozmiarach, wreszcie wybrała jeden kawałek i zacisnęła go w dłoni. Zaraz jednak wypuściła

surtarbrand z ręki, krzyżąc z bólu.

- A więc to ten - wolno powiedział Móri. - Tego właśnie się spodziewałem.

- Jesteśmy w tym samym miejscu, od którego zaczęliśmy - rzekła zamyślona Tiril.

- Wracamy do twoich run, Móri. W ostatnich latach niewiele się nimi posługiwałeś.

Uśmiechnął się, trochę nieobecny duchem.

- Rzeczywiście, przy tak wielu potężnych sprzymierzeńcach nie było to potrzebne.

Ale teraz moja dawna znajomość czarów znów się przyda. Bardzo mnie to cieszy.

- Wkład duchów - stwierdził Erling. - One zawsze czuwały nad tobą, Móri. A

zwłaszcza nad Dolgiem, do którego stworzenia się przyczyniły.

- Owszem, wszyscy brali w tym udział - przyznał Cień. - Nawet ja.

Dolg, uznawszy, że poruszają nieprzyjemne, zanedo osobiste kwestie, zadał pytanie:

- Co to za runa, ojczy?

- Niezwykle potężna - odrzekł Móri. - To krzyż Ro ta, przeciwko czarnej magii i złym duchom.

- Aha - pokiwał głową Rafael. Popatrzyli na niego.

- Co to za „aha”? - dopytywała się Theresa.

- Wiemy już, dlaczego ani szafir, ani farangil nie chciały zbliżyć się do księgi.

Kamienie się jej boją, tak jak zauważyła to Tiril. Odstraszają je złe zaklęcia czy też czarodziejskie formuły, którymi nasycił księgę Ordogno. Ta księga została zaklęta, Cieniu! Musimy usunąć czar.

- Poeta ma rację - stwierdził Cień. - Móri, zajmiesz się tym?

- Dobrze. - Móri podniósł czarnoksięską runę. Nie sparzył się o nią tak jak Tiril, która tym właśnie sposobem miała rozpoznać właściwy kawałek węgla.

Móri skierował się do księgi, ustąpili mu z drogi. Widzieli, że porusza wargami, odmawiając długie islandzkie zaklęcia. Opuścił magiczną runę na rozłożoną księgę, tą stroną, na której wyryty był symbol.

Villemann i Dolg z kamieniami w rękach trzymali się z tyłu. Pokój zalewało niesamowite światło w odcieniach błękitu, czerwieni i fioleto.

Usłyszeli dobywający się z księgi lekki syk, który wkrótce zmienił się we wściekle parskanie. Z pergaminowych stronic podniósł się niebieskawy słupek dymu.

- Boże, chyba księga nie płonie? - przeraziła się Danielle. Brat uciszył ją szeptem. Głos Móriego nabrał mocy. Czarnoksiężnik jednym ruchem przycisnął magiczną runę do księgi. Rezultat tego działania okazał się niezwykle gwałtowny, jakaś potworna siła odrzuciła Móriego w tył.

Księga trzęsła się, jak gdyby chciała strącić leżącą na niej runę. Móri znów podbiegł do stołu i z całych sił przycisnął klocek węgla brunatnego do stronic księgi. Villemann i Taran gotowi byli przysiąc, że usłyszeli słaby krzyk, dobiegający gdzieś z daleka, spoza granic czasu. Kamienie, ze swej strony także usiłujące zwalczyć przekleństwo, zabarwiły powietrze odcieniem purpury. Cuchnęło siarką.

Aż wreszcie... Powoli hałas ucichł, kolory zbladły, rozwiął się dym i zniknął odór. Rozległ się jeszcze ostatni bezradny jęk i księga była oczyszczona.

Uplynęła długa chwila, zanim ośmielili się odetchnąć z ulgą.

Kamienie lśniły teraz przytłumionym, niewypowiedzianym pięknym blaskiem. Dolg i Villemann podeszli do stołu i położyli je po bokach księgi, od której biła teraz złocista poświata, jaką widzieli już w bibliotece w Hofburgu. Przecudne połączenie barw.

- Sądzę, że możesz teraz wypróbować kod - oznajmił Móri słabym głosem.

Cień postąpił o krok naprzód. Położył prostokątną tabliczkę na otwartej stronicy.

Ale kod poruszył się wiedziony własną wewnętrzną siłą, dłonie Cienia mogły tylko go słuchać. Znalazłszy odpowiednie miejsce, tabliczka się zatrzymała.

Cień odczytał słowa, jakie ukazały się w otwartych kwadracikach. „To, co ukryte, zostanie ujawnione”, wyrzekł i zmarszczył brwi. Potem zdjął kod z księgi.

Wszyscy spostrzegli, co się stało.

Słowa w księdze powoli blakły. Zamiast nich pojawiały się nowe.

Cień zaczerpnął oddechu.

- Ten tekst potrafię odczytać - oznajmił przejęty. - Mogę odczytać bez trudu każde

słowo! Przyjaciele, jesteśmy u celu!

Czekali, aż wieczorne słońce zawędruje poza białe zasłony w jadalni

Theresenhof. Zjedli już obiad, cały dwór ogarnął spokój. Służba i inni pracownicy mieli wolne, a ponieważ był sobotni wieczór, większość zamierzała pewnie wybrać się gdzieś na tańce.

W domu panowała cisza.

Rodzina znów zasiadła wokół stołu. Przekąski i napoje czekały gotowe, liczyli bowiem, że wieczór się przeciągnie.

Cień popatrzył na nich z powagą.

- Muszę was przygotować na to, że język może się okazać dość niezrozumiały, przyjaciele. Spróbuję co nie co wyjaśniać, bo może się nie nadawać dla waszych współczesnych uszu.

- Na pewno to zniesiemy - stwierdził Rafael.

- Nic jeszcze o tym nie wiesz. Na szczęście księga nie jest tak strasznie długa, jak się tego obawiałem. Bałem się, że na czytaniu upłynie nam wiele miesięcy. Znaki jednak są duże i kolejne strony dadzą się dość szybko odczytać.

- Podglądałeś?

To Villemann nie zdołał się powstrzymać.

- Nie - surowo odparł Cień, ale i on nie umiał zachować powagi. - Przejrzałem ją tylko, nie czytając. Czy możemy zacząć bez następnych impertynenckich pytań?

- Moim zdaniem tak - oświadczyła Taran.

W pokoju zapadła kompletna cisza, przerwał ją dopiero głęboki głos Cienia:

- „Księga ta, nasz bezcenny skarb, poświęcona jest Tobie, Ty wielkie Słońce.

Padły na nią Twe promienie, sycąc ją Twoją mocą. Czytać księgę mogą jedynie ci, którzy są tego godni. Niech się strzeże niegodny, który spróbuje złamać to prawo! Zaraza i śmierć porwą go w swe szpony...”

- Ciekawe, na co umarł Ordogno - mruknął Dolg. - On jedyny czytał oryginał.

Danielle w duchu powtarzała pytanie: Czy ty się nie boisz, Cieniu? Odpowiedź

jednak nasuwała się sama: nikt inny nie był bardziej godny przeczytać księgę niż

Cień.

Mimo wszystko jednak się bała, nie o los Cienia, lecz swój własny i wszystkich innych zgromadzonych przy stole. Czy oni na to zasłużyli? A ona? Mimowolnie zerknęła na gołe przedramiona, sprawdzając, czy przypadkiem już nie wykwitają na nich ohydne wrzody, ale na razie wszystko wyglądało w porządku. Chociaż... Ten mały siniak od spodu... Serce jej zamarło, ale w końcu przypomniała sobie, że przed dwoma dniami uderzyła się dość mocno o drzwi sypialni, kiedy zbyt pośpiesznie z niej wybiegała. Ujrzała przecież, że nadjeżdża Leonard.

Świat znów wrócił do ładu.

Cień przerwał.

- Nie, tak się nie da. Czy zgadzacie się, abym czytając uprościł trochę tekst?

- Tak chyba będzie najlepiej - jednogłośnie oświadczyli Móri i Theresa.

- Doskonale! Wobec tego czytam dalej: „Działo się to w tym czasie, kiedy Dagild - Płomień Dnia, jeszcze się nie naro...” - Więcej powiedzieć nie zdążył, bo sam sobie przerwał. - To bardzo dziwne!

- - Co cię tak zdumiewa? - spytał Dolg.

Ostatni Lemur popatrzył na nich. Nietrudno było zauważyć, jak bardzo go wzrusza dźwięk jego własnej mowy, jak blisko swojego królestwa poczuł się w tym momencie. Tiril proponowała, aby sprowadził pozostałych Lemurów, Strażników, a może również Madragów z zameczku myśliwskiego, lecz Cień wolał się z tym wstrzymać do czasu, aż dowiedzą się czegoś więcej o księdze.

Podjął rozmowę.

- Najpierw muszę chyba wyjaśnić, że w naszym języku on wcale nie nazywał się Dagild. Jego prawdziwe imię jest bardzo długie i trudne do wymówienia, więc po prostu je przetłumaczyłem. Znaczy ono mniej więcej: „Ten, którego oblicze jaśniej niczym dzień, a serce płonie dobrocią dla najmniejszego stworzenia”. Z tego właśnie utworzyłem imię Dagild.

- Bardzo pięknie - przyznała Theresa. - Ale co cię tak zdumiało?

- To, że ujrzałem jego imię zapisane w księdze. Dagild był jednym z naszych

legendarnych królów, pierwszym, jakiego mieliśmy. Żył w czasach niesłychanie odległych, także z punktu widzenia mojej rachuby czasu. Szczerze powiedziawszy, nie przypuszczałem, aby Dagild był czymś więcej niż... no właśnie, legendarnym władcą. Nie wierzyłem w jego istnienie! Dobrze, będę czytał dalej. „Działo się to w tym czasie, kiedy Dagild jeszcze się nie narodził, a brat jego matki był pasterzem na Gondwanie...” No tak, w Karakorum dowiedzieliście się, że wielki obszar lądu, obejmujący waszą dzisiejszą Afrykę i Amerykę Południową oraz naszą minioną Lemurię, no sił nazwę kontynentu Gondwany. I pamiętajcie, że znacz nie teraz upraszczam tekst, omijam wszelkie zawile sformułowania i usiłuję przetłumaczyć go na wasz język.

„Pewnej nocy pasterz odpoczywał pod gwiazdami. Księżyc zimnym blaskiem oświetlał góry, a on leżał na posłaniu z trawy, jego trzoda spała nieopodal. W jednej chwili pasterza, Dagildowego wuja, obudziły dochodzące z bliska gardłowe okrzyki. Serce zmroził mu strach, wiedział bowiem, iż równiny zamieszkują prymitywne istoty, nie gardzące ludzkim mięsem. Ciekawość jego okazała się jednak silniejsza niżli lęk, podpełził więc do krawędzi półki skalnej. Lękał się też o swe zwierzęta. Gdyby dzicy zmierzali do miejsca jego spoczynku, byłby zmuszony porzucić stado.

Okazało się jednak, że dzicy rozbili obozowiska u podnóża skały. Pasterz spostrzegł, że oszalamiają się napojem ze sfermentowanego mleka, i domyślił się, że wkrótce zapadną w sen. Tak też się stało i wuj Dagilda już przygotowywał się do opuszczenia niebezpiecznego miejsca, gdy zauważył, że dzikie plemię pojmało jeńca. Istota została zamknięta w niezwykle mocnej klatce, zrobionej z pni drzew, ale pasterz z góry dostrzegł przez sklepienie klatki świetlistą postać.

Pasterz, tak jak i jego siostrzeniec Dagild, był dobrym stworzeniem. W jego gorącym sercu znalazło się miejsce dla wszystkich bezbronych istot na świecie. Przekonawszy się, że dzicy zasnęli, podkraść się i narażając własne życie zdołał przeciąć gałęzie zamykające otwór klatki i uwolnić biedaka, który zapewne zakończyłby żywot zjedzony przez okrutników, którzy go pojмали. Pasterz nie

zdażył przyrzeć się więźniowi, dał mu tylko znak, by ten szedł za nim. Zaczęli wspinać się po zboczu, często musiał pomagać nieznanemu.

Dopiero na płaskowyżu przyjrzał się obcemu i serce mu zadrżało. Przed nim w blasku księżyca stał niezwykle wysoki człowiek o pięknej twarzy, w jasnych, zwiewnych szatach. Z oblicza biła wielka inteligencja i niesłychana życzliwość. Najdziwniejsze jednak były oczy tego mężczyzny, podobnych pasterz nigdy jeszcze nie widział...”

Cień podniósł wzrok znad tekstu. ,

- Musicie pamiętać, że w owych czasach byliśmy dość prostym plemieniem, być może najbardziej cywilizowanym w naszym świecie, ale do tego niewiele było potrzeba, żyliśmy wszak wśród przypominających raczej zwierzęta ludów. Ale wróćmy do tego, co tu napisano:

„Obcy nie przemówił do pasterza, lecz i tak nietrudno go było zrozumieć. Poprosił, aby pasterz wraz z trzodą poszedł za nim.

Pasterz nie wyczuwał zła w tym człowieku, sprawiającym wrażenie, że nie jest ziemskiej natury, usłuchał więc jego zachęty. Najpierw jednak dał mu znać, że zauważył, iż obcy jest ranny.

Nieznajomy odpowiedział mu na swój niezwykły sposób - myślą, jak zorientował się pasterz - chociaż przemawiali do siebie każdy w swoim języku. Owszem, był rzeczywiście ciężko ranny, lecz tutaj nie miał żadnych możliwości wyleczenia obrażeń, dlatego powinni się pospieszyć. Pokazał pasterzowi jedną z ran: z przedramienia wycięto kawałek ciała.

Cóż za bestie, oświadczył wstrząśnięty pasterz. Rozumiał, że mężczyzna musi być ranny także w nogi, poruszał się bowiem z trudem. Pasterz podjął niezgrabne próby przyjścia mu z pomocą, lecz tamten tylko pokręcił głową i dał mu do zrozumienia, że muszą stąd odejść jak najprędzej.

Powędrowali przez góry, za nimi poszły zwierzęta...”

Villemann podniósł rękę.

- Zaczekajcie moment! Zwierzęta, mówisz? To się działo tak dawno temu, że

chyba jeszcze przed czasem Madragów?

- O tak, dużo wcześniej. Czy ktoś jest w domu? Wy dawało mi się, że...

- O jakich więc zwierzętach jest mowa? - nie dawał za wygraną Villemann.

Cień podniósł głowę i cierpliwie uśmiechnął się do młodego chłopca, którego zawsze wysoko cenił, prawie równie wysoko jak swego podopiecznego, niemal przybranego syna, Dolga.

- Musisz wiedzieć, wspominali wszak o tym także na si przyjaciele Madragowie, że już wtedy istniały udomowione zwierzęta. Praprzodkowie dzisiejszych krów i owiec, świń, koni i kóz od jakiegoś czasu istnieli na ziemi, a człekokształtne plemiona żyjące ówczasie na uczyły się je oswajać i wykorzystywać. Pies, na przy kład, to bardzo stary gatunek, ale w części świata Sili - nów całkiem obcy, dlatego właśnie na jego widok tak bardzo się wystraszyli.

Nero, słysząc słowo „pies”, zaraz się poderwał i podszedł do Cienia po pieszczotę. Lemur, zaskoczony i rozbawiony, pogłaskał Nera po łbie. Zdarzyło się to po raz pierwszy i Dolg na ten widok bardzo się wzruszył.

Zauważyli, że Cień, czytając i tłumacząc, często musi szukać odpowiednich słów. Z wyrozumiałością przyjmowali przerwy, bo zapewne niełatwo było uczynić zawiły język Lemurów zrozumiałym dla współczesnych, trzeźwo myślących ludzi.

Cień wrócił do lektury:

- „Wreszcie dotarli do niewielkiej doliny i mężczyzna się zatrzymał. Wytłumaczył pasterzowi, że wyprawił się samodzielnie i został napadnięty przez złe istoty.

Później nakazał pasterzowi patrzeć w stronę, którą wskazał mu ręką, i ten ujrzał więcej takich wysokich, pięknych postaci, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Obcy rozmawiał z nimi i na oczach przerażonego pasterza jedna z istot wyjęła jaśniejącą niebieską kulę i przyłożyła ją do ręki rannego. Pasterz ujrzał, jak rana się zmniejsza, zamyka, aż nagle była uleczona. Zagoiły się także wszystkie pozostałe skaleczenia”.

Villemannowi zaparło dech w piersiach. Gwałtownie i głośno westchnął, co rozbawiło zebranych. Taka chwila odprężenia bardzo się jednak przydała

wszystkim, nawet Cieniowi.

Olbrzym czytał im całą noc. Nikomu nie wpadło nawet do głowy, że przydałoby się im trochę snu. Dopiero o świtaniu, kiedy pierwsze promienie słońca znów zajrzały do jadalni, Theresa nieco oszołomiona pokręciła głową i oświadczyła:

- Ależ, moi drodzy, za moment przyjdą służące!

Rozstali się wówczas, ale wcześniej ustalili, że spotkają się ponownie o zmierzchu.

Dolg szedł do swego pokoju pogrążony w myślach. Wiele się tej nocy dowiedzieli.

Pasterz zaprosił obcych do swego prostego obozowiska - jego plemię nomadów żyło w tej dzikiej krainie - a oni pochylając głowy dziękowali mu za życzliwość okazaną jeńcowi. Poszli wraz z pasterzem, a po drodze opowiedzieli mu, że poszukują istot sobie podobnych, lecz aż do spotkania z nim zdołali znaleźć jedynie stworzenia przypominające zwierzęta. Twierdzili, że mają szczególny powód, by mu towarzyszyć.

W obozowisku wzbudzili rzecz jasna zdumienie wśród pobratymców pasterza, on jednak uspokoił swoich współplemieńców tłumacząc, że mają do czynienia z przyjaźnie nastawionymi istotami, które w dodatku posiadają szlachetny kamień o uzdrawiającej mocy. Padli wtedy na kolana i oddali cześć obcym. Nie podobało się to ani pasterzowi, ani też jego gościom, plemię zaprzestało więc podobnych praktyk.

Obcy zostali z nimi przez cały rok, jak bowiem wyjaśnili, taki był ich cel. Pasterz, którego z całego ludu poważali najbardziej, dowiedział się, że plemię powinno udać się na wschód, osiedlić się tam, gdzie ziemia styka się z morzem, i nazwać swój kraj Lemuria.

Plemię usłuchało tej rady, bo wielka była potęga nieznanymi istot. Po drodze jednak zdarzyło się oczywiście to, co zdarza się wśród wszystkich grup ludzi... Niektórzy członkowie plemienia mieli gorszy charakter niż inni. Obcy prędko to odkryli, a pasterz zauważył, że ci ludzie zostali „odsiani”. Niektórzy stali się bezpłodni, innym, z przyrodzenia złym, przydarzały się śmiertelne wypadki.

Jeszcze innych, nawet pomimo ich niemądrego zachowania, obcy postanowili oszczędzić i umożliwili im poprawę, poddając ich działaniu niebieskiego kamienia. Natomiast ci, którym przydarzyło się nieszczęście... Pasterz nie miał pewności, lecz tuż przed każdym przypadkiem śmierci wydawało mu się, że widzi blask czerwonego kamienia, który nieznajomi starali się przed nim ukrywać.

Obcy byli tacy piękni, tacy dobrzy, i pasterz zapalał miłością do jednej z ich kobiet. Zdarzało się, że mężczyźni i kobiety z grupy nieznajomych łączyli się z ludźmi z plemienia pasterza, zresztą zdawało się, że właśnie taki jest ich cel. Pasterz miał siostrę, powszechnie uznawaną za bardzo pociągającą, o jej względy zabiegał ten obcy, którego pasterz uratował.

Nieznajomi zostali przez rok. Nauczyli plemię budowy domów, wykorzystywania zasobów naturalnych, naleźli też idealne miejsce na osadę. Było to miejsce, na którym później wzniesiono święte miasto Lemurów, prawdziwy cud piękności.

Tego roku w Lemurii przyszło na świat tyle dzieci, ilu przybyło obcych. Dzieci o niezwykłych, całkiem czarnych oczach, obdarzone większą inteligencją, niż mieli jej wszyscy starsi członkowie plemienia razem wzięci. Nieznajomi przed

odejściem obdarowali pasterza wieloma cennymi przedmiotami. Dali mu dwa szlachetne kamienie, niebieski szafir i czerwony farangil, a także mapę z emalii i złota, wskazującą, gdzie znajdują się Wrota. Wrota prowadzące do królestw obcych. A wreszcie, i przede wszystkim: plemię otrzymało Święte Słońce.

Nigdy wcześniej go nie widzieli. Obcy objaśnili im właściwości złocistej kuli, prosząc, by ją chronili i czcili, a czeka ich pomyślność.

Plemię przyrzekło, że tak się stanie. Zbudowano okazałą świątynię, w której umieszczono skarby.

W chwili, kiedy obcy ich opuszczali, ich kobiety zdążyły już urodzić dzieci mężczyznom z plemienia, a plemienne kobiety - dzieci obcych. Kobieta pasterza dała mu córkę, podczas gdy jego siostra powiła syna. Obcy oświadczyli, że właśnie tego chłopca plemię powinno wynieść na króla, jako że był on wyższego rodu niż pozostali. Miał nosić imię Dagild.

- To znaczy, że wszystkie dzieci zostały? To Theresa spytała nie bez żalu w głosie.

- Tak. Były darem i ofiarą obcych dla plemienia. Obcy mieli za zadanie odszukać szlachetny lud i jeszcze bardziej go uszlachetnić. Nie oczekiwali, że spotkają tak prymitywne szczepy, lecz miłosierdzie okazane przez pasterza i jego szlachetny uczynek, w którym ryzyko wał własne życie, przesądziły o ich wyborze. Dolg rozmyślał o tym wszystkim idąc do swego pokoju. Rzucił się na łóżko w ubraniu. Wielu przysłuchującym się opowieści Cienia nie podobało się eliminowanie z plemienia osobników o słabym charakterze.

- Rozumiem waszą niechęć - rzekł wtedy Cień. - Ale w tym przypadku było to naprawdę konieczne. Oni mieli zadanie do wykonania, nie mogło się im nie powieść.

- Dobrze, ale dlaczego?

- Jeszcze do tego nie doszliśmy.

Pewnego dnia obcy po prostu zniknęli bez pożegnania, ale plemię, nazywające się już teraz Lemurami, dowiedziało się wszystkiego, co mogło się im przydać. Kiedy dotarli do tego momentu, nastał świt i Cień przerwał czytanie.

Powieki Dolga opadły. Zasnął o jasnym poranku, chociaż ptaki świergotały za małymi szybkami okna.

Daleko, na zimnej Północy, gdzie dni robiły się już dłuższe i zaczęły przybywać wędrowne ptaki, Maria Stenland zdecydowanym krokiem szła ulicą. Opuściła dom pierwszy raz od pogrzebu ojca. Musiała załatwić kilka drobnych sprawunków.

Wkrótce miał zostać otworzony testament. Gospodyni ojca oczekiwała tej chwili z niecierpliwością, wyraźnie dając przy tym do zrozumienia, że niczego bardziej nie pragnie, niż żeby Maria wyniosła się do wszystkich diabłów. Wówczas ona sama mogłaby przejąć dom.

Maria puszczała mimo uszu jej aż zanadto wyraźne aluzje. Między obydwoma kobietami panowała atmosfera lodowatego zimna.

Z kamienną twarzą skrytą za cieńszą już woalką, z wysoko podniesioną głową, maszerowała Maria szybkim krokiem wzdłuż ulicy swego dzieciństwa. Oczywiście

widziała, że jej dawne szkolne koleżanki przechodzą na drugą stronę, byle tylko jej nie spotkać. Starsze panie na jej widok szeptały coś sobie na ucho, a jeśli były same, obrzucały ją od stóp do głów piętnującym spojrzeniem.

Maria tylko wyżej podnosiła głowę i szła dalej.

W sklepie ledwie ją obsłużono, lecz ona chłodno i spokojnie wyjaśniła, co chce kupić, postanawiając nie zważać na niemłą oziębłość, z jaką ją potraktowano.

Ponieważ był piękny wiosenny dzień, przysiadła na chwilę na ławce, którą niedawno wystawiono w parku. Od lat już nie odwiedzała miasta, chciała zobaczyć, co się zmieniło, a co trwało jak przedtem.

Sporo pozostało po starym, lecz widziała także wiele nie znanych twarzy. Ci ludzie nawet nie spoglądali w jej stronę. Na ławeczce nieco dalej w alejce siedziały dwie matki z dziećmi; Maria zorientowała się, że rozmawiają o niej.

Poznała je, były tylko trochę od niej starsze.

Dzieciństwo Marii upłynęło dość spokojnie. Jako córka aptekarza miała zapewnioną swojego rodzaju ochronę, zaliczała się do „lepszych” obywateli miasta. Wszystko zmieniło się w roku, kiedy skończyła piętnaście lat, i od tamtej pory życie bardzo jej się skomplikowało.

Siedem lat temu. Zaledwie siedem lat... I cały świat się odmienił.

Żółte kwiatki złoci i ziarnopłonu wychylały główki na trawniku. Poczula, że od siedzenia trochę zmarzła, i już miała wstać, kiedy podbiegło do niej jedno z dzieci.

Dziewczyneczka wdrapała się na ławkę.

Maria popatrzyła na małą, potem zerknęła na matki, pochylone ku sobie, z wyczekiwaniem obserwujące ją i dziecko.

- Dzień dobry - z rezerwą zwróciła się Maria do dziewczynki. - Jak masz na imię?

Mała nie odpowiedziała, tylko próbując pochwycić jej wzrok za woalką, spytała:

- Masz dzieci?

Maria popatrzyła na matki, które z triumfującymi minami odsunęły się od siebie.

Bez słowa wstała i czym prędzej opuściła park.

W domu gospodyni stała w salonie z rękami założonymi na brzuchu.

- Adwokat przyjdzie jutro - oznajmiła ze zwycięską miną.

Maria nie odpowiedziała. Poszła prosto do swego pokoju i zamknęła drzwi.

Na nocnym stoliku leżały dwa listy. Bardzo jej się to nie spodobało; gospodyni nie ma prawa wchodzić do jej sypialni, pozwala sobie naprawdę na zbyt wiele.

Pewnie przebywa w tym domu od tak dawna, że czuje się już jego właścicielką.

Maria wiedziała, że kobieta szpera po jej szufladach, wprawdzie robi to dyskretnie, lecz i tak pozostawia ślady.

listy...

Poprzedniego dnia także nadszedł jeden, w środku był tylko obsceniczny obrazek, nie narysowany co prawda wprawną ręką, lecz z pewnością jego autorem nie mogło być dziecko. Wrzuciła go do kominka. Dzisiaj już go tam nie znalazła.

Doskonale potrafiła sobie wyobrazić, jak pewna dama wygląda zmiętą kartkę i triumfuje.

Postanowiła bardziej uważać.

Z niechęcią otworzyła pierwszy list.

Rzecz jasna, nikt go nie podpisał.

Wiemy, co zrobiłaś. Nie chcemy cię tutaj. Przynosisz wstyd naszemu pięknemu miastu. Odejdź stąd, inaczej czekają cię nieprzyjemności.

Wielu

Z kamienną twarzą wzięła do ręki drugi list. Napisano go bardziej wyrobionym charakterem pisma, lecz treść była podobna:

Proszę pani!

Niech pani zawróci ze złej drogi, zanim będzie za późno. Pani dusza zgnije w Piekło, jeśli nie zwróci się ani do Boga i nie będzie Go prosić o łaskę, miłosierdzie i odpuszczenie win za cierpienia, jakich przyczyniła pani innym. Myślenie wyłącznie o sobie to cecha przynależna Diabłu. Proszę okazać skruchę, póki jeszcze jest na to czas.

Ktoś, kto dobrze pani życzy

- Serdeczne dzięki - łodowatym tonem powiedziała do siebie Maria. - Dobrze

wiem, jak to jest z tymi życzeniami.

Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie wierzący w istnienie diabła i jego przerażającą podłość, piszą jego imię wielką literą.

Wolnym ruchem zdjęła z szyi chustkę i rozpięła płaszcz. Przysiadła na brzegu łóżka.

Do tamtego większego miasta nie miała po co wracać. Wymówiono jej przecież posadę w pracowni krawieckiej.

„Nie możemy już pani dłużej zatrudniać”, oświadczyła właścicielka. „Pani zimny sposób bycia odstrasza klientki. Było wiele skarg. A pani... nie poprawiła się pomimo ostrzeżenia. Dlatego przykro mi, muszę panią zwolnić”.

Ojciec nie żyje. Nikt jej tutaj nie chce.

Jaki wybór jej pozostawał? Jakie inne wyjście?

Żadnego.

Pigułki w szafce z lekarstwami...

Gospodyni zapukała do drzwi pokoju, tak podstępnie dyskretnie, że właściwie można to było odczytać jako uwłaczające.

Przyszła jakaś pani, pragnęła rozmawiać z Marią.

Przedstawiła się jako przewodnicząca „Związku Szanowanych Żon i Matek”.

„Wstyd dla całego rodzaju kobiecego. Drwina z wszystkich przyzwoitych kobiet na świecie, z tego, co symbolizuje kobiecość, łagodność i ciepło...”

Maria słuchała w milczeniu. Gospodyni, żadna skandalu, stanęła w otwartych drzwiach, z uszami prawdopodobnie rosnącymi z ciekawości.

Kiedy wreszcie owa zacna „żona i matka” wyrzuciła z siebie wszystkie pogardliwe słowa, zasłaniając się troską o inne niewiasty w mieście, Maria spytała krótko:

- Czy coś jeszcze?

Dama popatrzyła na nią urażona, po czym obróciła się na pięcie, zabrała śnieżnobiałe jedwabne rękawiczki, haftowaną sakiewkę i wymaszerowała, trzymając się tak prosto, że omal nie przewróciła się do tyłu.

Maria nie zatroszczyła się o to, by odprowadzić ją do drzwi.

Wróciła do swego pokoju, zanim gospodyni zdążyła wtrącić kolejną zjadliwą uwagę.

Maria położyła się na łóżku i z zamkniętymi oczami oddychała głęboko. Wszelkie uczucia i emocje powoli wygasały, zresztą opanowała tę sztukę do mistrzostwa. Uczucia i emocje nie są dobre, one tylko dręczą duszę. Maria nie chciała mieć duszy.

Przyłożyła dłonie do piersi i poczuła, jak mocno wali jej serce. To uparte, silne serce, które zwyciężało wszystko.

Chęć zażycia, tabletek zdawała się krzyczeć. To takie proste. Wystarczy tylko wstać i je przynieść. Zasnąć, zniknąć.

Ale silne serce nie chciało się poddać.

Następnego dnia przybył adwokat i Maria przygotowała się na przeżycie koszmaru. Wcale nie chciała mieszkać tutaj, w mieście, gdzie ją opluwano, lecz dom ojca stanowił jej ostatnią deskę ratunku. Nie miała innego miejsca, gdzie mogłaby się podziać.

W odczytywaniu testamentu uczestniczyło jeszcze kilkoro ludzi: notariusz, najbliższy współpracownik z apteki i jakaś dama w żałobnej woalce. Gospodyni przyglądała się jej z niepewnością, najwidoczniej nie bardzo wiedziała, jak ma rozumieć obecność tej pani.

Maria też nie pojmowała, co ją tu sprowadza.

Testament przyniósł parę niespodzianek.

Maria została w nim pominięta, tak jak się spodziewała. Ale chodziło o co innego. I... nastąpiły nieoczekiwane okoliczności, nie mające bezpośredniego związku z testamentem.

Adwokat wyjaśnił, że rodzinny dom dawno zmarłej małżonki aptekarza w lasach na północnym wschodzie miał przypaść właśnie jej.

Maria nie miała pojęcia, że zagroda wciąż znajduje się w posiadaniu rodziny. Bywała tam w dzieciństwie, jeszcze za życia matki, w odwiedzinach u babci i dziadka. Wraz ze śmiercią matki tak wiele się zmieniło, kontakty ze staruszkami

się urwały.

A teraz adwokat oświadczył, że Maria odziedziczyła zagrodę, i to już dawno temu, w chwili śmierci dziadków!

Ojciec utrzymywał to w tajemnicy. A przecież ona tak źle się czuła w wielkim mieście.

Tak, ojciec zawsze lubił gromadzić pieniądze i nieruchomości, chociaż wcale z nich nie korzystał.

W jego ostatniej woli nie było wzmianki o zagrodzie, nie on pozostawił ją Marii.

To adwokat znalazł w stosach dokumentów aptekarza stary, sporządzony przez dziadków testament na jej rzecz.

Fakt, że ojciec tak zdecydowanie się od niej odcinał, był dla Marii niczym zimny prysznic. Czy naprawdę było między nimi aż tak źle?

Spokojnie przyjęła wiadomość, że jej prawa przechodziły na trzecie pokolenie, niczego innego się nie spodziewała.

Natomiast fakt, że przez tyle lat przemilczał prawdę o leśnej zagrodzie, był znacznie trudniejszy do przełknięcia.

Zaraz jednak podniosła głowę. Zagroda oznaczała dla niej ratunek! Miała teraz gdzie mieszkać, to najważniejsze. Daleko od ludzi. To dobrze. Nikt tam jej nie zna.

Pracy się nie bała, to bezdomność spędzała jej sen z powiek.

Teraz ten problem się rozwiązał.

Rozmyślania Marii przerwał wybuch wzburzonej gospodyni. Krzyczała piskliwie:

- Co takiego? Ale chyba ten dom będzie mój?

- Przykro mi - chłodno odparł adwokat. - Wkrótce dojdziemy także do pani, Sofio Andersdotter.

Dom wraz z apteką przypadł tajemniczej zawołowanej damie, która na tę wieść ledwie skinęła głową, jakby o wszystkim już wcześniej wiedziała.

„Mojej wieloletniej przyjaciółce, pani Dorothei Rosenberg”, przeczytał adwokat. .

- Co takiego? Pani Rosenberg? - krzyknęła gospodyni. - Nie słyszałam, żeby świętej pamięci aptekarz bo daj raz wspomniał o takim nazwisku.

- My... nigdy nie spotykaliśmy się tutaj - dobiegł stłumiony głos zza woalki.

Maria usiłowała sięgnąć pamięcią wstecz. Owszem, pani Rosenberg istniała w jej przeszłości. Kilkakrotnie widziała, jak ojciec podczas spacerów po mieście zdejmował kapelusz na widok tej pani, zatrzymywał się i zamieniał z nią kilka słów. Teraz, po namyśle, Maria musiała przyznać, że właściwie rozmawiali dość długo. Czasami wspólnie udawali się na przechadzkę, kiedy indziej każde odchodziło w swoją stronę, lecz przede wszystkim Marii w pamięci utkwiły ich ciepłe, świadczące o bliższej znajomości uśmiechy.

Wówczas wcale się nad tym nie zastanawiała. Teraz dotarło do niej, że ojciec miał trwający przez wiele lat romans.

Aptekarz cieszył się powszechnym szacunkiem. O pani Rosenberg Maria nie wiedziała nic, ojciec jednak nie uznał za stosowne utrzymywać z nią oficjalnych stosunków czy też ją poślubić. W ich małym miasteczku z mieszkańcami o wąskich horyzontach umysłowych status wdowca był zawsze wyższy niż kogoś, kto ożenił się powtórnie.

Dla Marii nie miał większego znaczenia fakt, że dom przechodził w obce ręce, zwłaszcza teraz, kiedy ona sama miała gdzie zamieszkać. Na chwilę tylko trochę zrobiło się jej żal gospodyni, która nie potrafiła nad sobą zapanować.

- A co ze mną? - wołała. - Czy to ma znaczyć, że tak się mordowałam dla tego zrzędy za nic? I to podczas gdy on zadawał się z chciwymi, rozwiązłymi kobietami?

Adwokat musiał się bardzo starać, aby uspokoić obie rozsierdzone panie.

Kiedy wreszcie jakoś się mu to udało, powiedział:

- Sofio Andersdotter, zakładam, że otrzymywała pa ni od zmarłego odpowiednie wynagrodzenie?

- Owszem, ale...

- Proszę pamiętać, że wcale nie pani najbardziej ucierpiała na tym zapisie!

- Ja sobie poradzę - szepnęła Maria. - Niczego więcej nie oczekiwałam, prawdę mówiąc, jestem wręcz pozytywnie zaskoczona. Majątek mego ojca przeszedł na

właściwe osoby, na nic się nie skarżę.

Adwokat przyglądał się jej długo, badawczo. Chyba niedawno zjawiał się w mieście, pewnie niewiele o niej wiedział.

- A teraz pani, Sofio Andersdotter... Gospodyni wyprostowała się na krześle jak struna, usta zacisnęła w wąską kreskę.

„Mojej starej wiernej gospodyni...”

Określenie „stara” nie przypadło jej do gustu, ale otrzymała niewielką sumkę, nie więcej niż potrzeba, by najadać się do syta jeszcze przez kilka lat.

Ojciec Marii zawsze był skąpy. Sofia Andersdotter otarła oczy chusteczką.

Kiedy się rozstawali, adwokat po cichu zwrócił się do Marii:

- Przykro mi, że została pani wykluczona w testamencie.

- Wszystko w porządku - odparła krótko. - Popełniłam kiedyś głupstwo, błąd, który później przerodził się w tragedię i skandal.

Ponieważ nic więcej nie wyjaśniła, prawnik dodał:

- Proszę, aby przyszła pani jutro do mojego biura, jeśli tylko pani może. Chodzi o spadek po pani matce, powinien już dawno zostać wypłacony, lecz nie mogliśmy usta lić pani miejsca pobytu. To odrębna sprawa spadkowa.

- Spadek po... po matce? Nie wiedziałam...

- Nie jest to wielki majątek, ale pozwoli pani na pewną niezależność.

Maria na moment oniemiała.

- Dziękuję - powiedziała wreszcie. - Przyjdę jutro.

Niewiele spano w Theresenhof w te dni i noce, kiedy odczytywano księgę, świętą księgę Lemurów.

Służbę powiadomiono, że rodzina życzy sobie mieć spokój w jadalni. Nie było z tym kłopotu, wszyscy bowiem, którzy mieszkali i pracowali w Theresenhof, bardzo dobrze się rozumieli i poważali nawzajem.

Mimo to jednak dwa albo nawet trzy razy komuś z rodziny wydawało się, że słyszy podejrzane dźwięki w pobliżu. Trzykrotnie Rafael nagłym szarpnięciem otwierał drzwi do hallu - siedział najbliżej - nikogo jednak za nimi nie zaskoczył. Słyszał

wprawdzie czyjeś oddalające się kroki, lecz chociaż usiłował przeprowadzić śledztwo, na nikogo nie mógł skierować podejrzeń.

Dźwięki te obudziły w nich niepokój. Villemannowi polecono odbyć poważną rozmowę z Elsie, lecz chłopak cały czas odkładał ją na później. Życzliwy młody człowiek miał wiele wyrozumiałości dla nieszczęśliwie zakochanej.

Oprócz tych sporadycznych przerw w olbrzymiej jadalni w tych dniach panowała prawdziwie zagęszczona atmosfera. Wszystkim szkoda było czasu na jedzenie i spanie, napięte nerwy zdawały się wyczuwalnie drżeć. Ich stan można przyrównać do sytuacji, kiedy próbuje się złapać na haczyk przedmiot, który wpadł do wąskiej jamy i w każdej chwili można go wypuścić, a wtedy zniknie na zawsze w przepastnej głębi.

Pobledli, twarze im się wyciągnęły. Pewnego dnia Tiril musiała zwrócić uwagę swoim niepoprawnym dzieciom, aby trochę o siebie zadbały, umyły włosy i zmieniły ubranie, bo trudno już na nie patrzeć.

W największym pośpiechu spełnili prośbę matki, po czym znów ich uwagę przykuła księga...

Okazało się, że jest to w pewnym sensie kronika, w której odnotowywano tylko najważniejsze wydarzenia w historii ludu.

Wyraźnie z niej wynikało, że losy Lemurów potoczyły się pomyślnie. Królestwo rozrastało się i kwitło. Inne gatunki zwierzęce i człekokształtne zatrzymały się w rozwoju bądź wyginęły, natomiast Lemurowie rozwijali swe umiejętności i wiedzę. W mieście powstawały budynki niczym zbytkowne pałace, dzieciom zapewniano kształcenie, stale doskonalono rozmaite techniki, poszerzano wiedzę.

Największym szacunkiem cieszyli się potomkowie tajemniczych obcych, traktowano ich jako samo jądro ludu. Pilnie starali się oni utrzymać swoją rasę w czystości, tylko w wyjątkowych przypadkach łączyli się z tymi, w których żyłach płynęła zaledwie odrobina krwi obcych, a odrobinę jej mieli wszyscy. W tych czasach obcy dawno już wyeliminowali złe cechy wśród tubylców i pozwolili im tworzyć pary i się rozmnażać. Ale jądro stanowili ci najprawdziwsi, oni łączyli się

tylko ze sobą.

Theresa miała ochotę wtrącić parę słów na temat zbyt bliskiego pokrewieństwa, ale to przemilczała.

Lemurowie byli bardzo długowieczni, ale nie nieśmiertelni. Najświętsi z nich natomiast posiadali zdolność dalszego życia po śmierci, swoistego dobrowolnego istnienia na ziemi w formie duchowej.

W tym momencie odezwała się Theresa:

- Chwileczkę, Cieniu! Historia mówi, że ty byłeś wojownikiem...

- Tak?

- A wojownicy to potomkowie tych, którzy łączyli się z niżej stojącymi w rozwoju ludami, niemal jeszcze małpami. Stąd pewien gatunek małpiatek nosi nazwę lemurów.

Cień popatrzył na nią. Łagodnie i surowo zarazem.

- Owszem, tak mówi historia. Ale gdybyśmy my, Lemurowie, łączyli się z żalosnymi półludźmi, którzy żyli w tamtej epoce, także stalibyśmy się barbarzyńcami. Nie, księżno, ja po prostu wywodziłem się z prostsze go rodu w Lemurii. Nie zaliczałem się do świętych, w których żyłach płynęło więcej krwi Lemurów.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że moje słowa cię nie uraziły?

- Ależ nie! Byłem „półświęty”, ale, jak widzicie, wciąż żyję.

Czytał dalej.

Okres świetności trwał bardzo długo. Ponieważ jednak skorupa ziemska była w ciągłym ruchu, następowały kolejne katastrofy, ląd podnosił się i opadał w morze, zdarzały się też wybuchy wulkanów, a nad siłami przyrody Lemurowie nie mieli władzy.

W księdze opisano ze szczegółami straszne zdarzenie z Sigilionem, znalazła się tam także długa opowieść o katastrofie, jaka nawiedziła świat, w wyniku której powstał łańcuch Himalajów. Nic z tego jednak nie miało znaczenia dla dalszych planów Cienia i rodziny czarnoksiężnika.

Wreszcie wyjawiony został cel przybycia obcych.

Mieli oni podwójne zadanie: umożliwić ludziom udanie się do świata obcych, gdyby życie na Ziemi stało się zbyt nieznośne, a jednocześnie obcy postanowili stworzyć na Ziemi piękne królestwo na wypadek, gdyby ich świat uległ zagładzie.

- Brzmi to rozsądnie - stwierdził Villemann.

- Bardzo rozsądnie - uzupełnił Cień.

- Teraz można zrozumieć tęsknotę elfów, zmarłych Lemurów, żywych i zmarłych cierpiących ludzi za Wrotami - powiedziała Tiril.

- I moją - dodał Dolg zamyślony. Cień popatrzył na niego uważnie.

- Tak, Dolgu. Masz to we krwi. Podobnie jak ja i wszyscy, którzy byli błędnymi ognikami.

- To znaczy, że obcy w pewnym sensie chcą nam po moc - zastanawiała się Danielle.

- Tak. Nie ma ich już na Ziemi, ale zostawili otwarte drzwi.

- Jesteś pewien, że nie ma ich gdzieś blisko nas? - spytała Taran.

Cień odwrócił głowę w jej stronę, przez chwilę patrzył na dziewczynę z uśmiechem, lecz zachował milczenie.

Jego zagadkowa reakcja powiedziała im chyba więcej niż słowa.

Zwięźle opisano wszystko dobre i piękne, co znajdowało się w owym drugim świecie, w świecie obcych. Rodzina sporo już wiedziała o niesamowitych właściwościach, jakich się tam nabywało, o przyjemnym, spokojnym życiu, a teraz usłyszała o rządzących tym światem prawach i przywilejach. Prawa wydawały się niezwykle rozsądne, gdyby mieszkańcy Ziemi umieli się im podporządkować, świat stałby się o wiele lepszy. Jedno natomiast dla rodziny Móriego okazało się zupełnie nowe: Wrota oczyszczały. Tym, którzy przez nie przechodzili, dawały bystrzejszy, bardziej otwarty umysł, czystsze myśli, wyższą inteligencję, a przede wszystkim dobroć. Bo przecież intelekt nie jest gwarancją dobroci.

- Ale rycerze nie wspominali o Wrotach - przypomniał sobie Uriel. - Nie ma o nich ani słowa w pismach Zakonu Świętego Słońca.

- Wzmiankowano o nich ze dwa razy, ale jako o ciekawostce - odpowiedział Cień.

- Braci zakonnych nie interesowały inne światy. Oni pragnęli i nadal pragną rządzić tutaj. Poprzez nadprzyrodzone zdolności chcą zdobyć władzę, bogactwo i wieczne życie na tym świecie.

- I gotowi są deptać po swoich trupach, byle tylko zająć jak najwyżej - dodała Danielle.

Brat poprawił ją:

- Jak można iść po nieśmiertelnych trupach?

- Oni nie staną się nieśmiertelni, Rafaelu - rzekł Cień. - Nie oni. Ale jeśli dostaną Święte Słońce, mogą żyć straszliwie długo.

- Nie dopuścimy do tego - zapewnił Villemann.

- Amen - zakończył Rafael.

Pod koniec książki następowała długa opowieść o beznadziejnej wędrownicy garstki Lemurów, która pozostała z całego ludu. Historię tę znali już od Cienia.

Ale na jaw wyszedł niezmiernie istotny element!

Dowiedzieli się nieco więcej o tym, w jaki sposób i dlaczego Lemurowie musieli po drodze zostawić w różnych miejscach dwa towarzyszące Słońcu kamienie, i jakim smutkiem przepelniła ich serca konieczność pozostawienia przy nich Strażników do czasu, kiedy znów wrócą, lecz te informacje nie były im już tak bardzo potrzebne.

Ważniejsze okazały się ostatnie zapiski w księdze. Jeden z Lemurów najwidoczniej pełnił rolę pisarza:

„Nasz wspaniały król miał rację. Zbliżamy się do tej części Ziemi, gdzie znajdują się Wrota, jedyne, których położenie znał po tym, jak zły Sigilion przed tysiącami lat skradł mapę. Przygotowujemy się teraz do przejścia w świat naszych obcych przodków...”

Dalej następował opis całego rytuału, dzięki któremu Wrota miały się otworzyć!

Ale nie dość na tym, księga zawierała jeszcze inne wiadomości:

„Wprawdzie naszym pierwotnym zamiarem było zabranie Słońca do nieznannej

krainy jako podziękowania za wypożyczenie złocistej kuli, którą zostawili nam nasi przodkowie, obcy, lecz obiecaliśmy czwórce nieszczęsnych Strażników, że ze względu na nich zostanie ono tutaj. Musimy zapewnić im możliwość udania się za nami przez Wrota do świata, który obcy odmalowali nam w tak wspaniałych barwach. Tam wszystko jest po dwa - kroć piękniejsze, lepsze i bardziej wolne od zła niż tutaj. Słońce musi zostać na Ziemi również przez wzgląd na dwa pozostałe kamienie. Wszystkie trzy należą do siebie nawzajem.

Wkrótce dotrzemy do zamieszkałej okolicy, widać to po śladach. Być może znajdziemy tu ludzkie istoty, które udzielą nam pomocy?”

Na tym tekst się urywał. Wkrótce potem owe „ludzkie istoty”, na których pomoc liczyli Lemurowie, musiały skrać księżę.

Villemann oszołomiony pokręcił głową.

- Zaczekajcie, zaczekajcie! Zdanie na początku było okropnie długie i zawile, ale nie może chyba oznaczać nic innego, jak...

Oczy Cienia błyszczały z radości.

- Tak, że Słońce znajduje się na Ziemi. Nigdy nie śmiałem wypowiedzieć tego na głos, ale właśnie ta wątpliwość budziła we mnie największy niepokój i lęk przez tyle tysięcy lat!

Rozległy się głębokie westchnienia ulgi, a Villemann, głośno krzyząc „hurra”, porwał roześmianego Cienia do tańca. Dolg na widok poczynañ brata zaniemówił. Kiedy poruszenie trochę minęło, Móri ogłosił swoją małą sensację.

- Mam jeszcze coś do dodania - oświadczył z szerokim, pełnym nadziei uśmiechem. - Zaczekacie na mnie przez chwilę?

Wyszedł i zaraz wrócił, niosąc szeleszczący, suchy arkusz zrolowanego pergaminu i kilka kartek.

- Zachowałem to na ten moment - oświadczył z du mą. - Chociaż, prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że taka chwila nadejdzie. Jak wiecie, zawsze marzyłem, że właśnie ja poprowadzę wyprawę na Północ. Omawialiśmy to jednak już wcześniej, Tiril i ja zostajemy w domu...

Nie zdołał ukryć rozczarowania i bólu w głosie, nikt jednak się nie odezwał, bo dyskusje na ten temat uznano już za zakończoną.

Móri ciągnął:

- Pojedzie was więc czwórka młodych: Dolg, Villemann, Taran i Uriel. I Ciebie.

- I Nero - dodał Dolg.

- Tak, Nero. Ale w jaki sposób...

- Chwileczkę - Ciebie podniósł rękę do góry. - Będzie nas jeszcze czworo.

Popatrzyli na niego zdziwieni. W oczach Móriego zapłonęła nadzieja, lecz Ciebie prędko ją zgasił.

- Nie zajdziemy donikąd bez czworga Strażników z mego plemienia. To dla nich pozostawiono Słońce.

Tylko oni mogą się do niego zbliżyć

- A co z nami? - poderwała się urażona Taran.

- Jeśli pójdziemy z nimi, także je zobaczymy. Ale bez nich... Wątpię, aby udało nam się otworzyć cokolwiek, nawet przy odprawieniu wszelkich właściwych rytuałów.

- Marna wiadomość - pokręcił głową Villemann. - To znaczy, że mogą doskonale poradzić sobie bez nas?

Ciebie uśmiechnął się do chłopaka.

- W to też wątpię. Wszyscy będą potrzebni, obie strony. Ale przerwałem ci, Móri, co chciałeś powiedzieć?

Móri nie odejmował rąk od leżących na stole kartek.

- W jaki sposób zamierzacie odnaleźć Tiersteingram?

- O, to dla nas pestka - beztróska odparła Taran.

- Z całą pewnością nie - zaprotestował Móri surowo. - Erling, Tiril i ja możemy o tym zaświadczyć. Nam pomagał dobrze znający okolice mieszkaniac, a jednak nie obeszło się bez błądzenia w głębokim lesie.

- Możemy tak jak wy poprosić o pomoc tego człowieka - podsunął Villemann.

Móri potrząsnął głową.

- Nie był to młodzieniaszek, wątpię, aby jeszcze żył. Ale mam coś dla was, zaraz zobaczycie. Przerysowałem w kilku egzemplarzach to, co jest na tym zwoju pergaminu.

Pochylili się nad stołem.

- Co to za zwój? - z ciekawością spytała Tiril. - Mam wrażenie, że go poznaję, ale...

- Ja też - przyznał Erling. - Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Dawno temu, prawda? Od Móriego wprost biła duma.

- Pamiętacie zwoje, które znaleźliśmy w tajemnej niszy w Tiersteingram?

- No tak, ale...

- Zachowałem ten pergamin, właśnie z myślą o powrocie w to miejsce. To mapa całej okolicy, wraz z nie dużą, bardziej szczegółową, najbliższego otoczenia zamku. W jaki sposób wpadła w ręce Tiersteinów, czy też może sami ją sporządzili, nie wiem. To mapa... Rozdzielcie kopie między siebie. Tu widzicie Wener i Wetter, prawda?

- No tak, zgadza się.

- Między nimi rozciągają się lasy Tiveden.

- Ale wszystko ucina się nad jakąś kreską.

- To oczywiście brzeg morza! „Morza, które nie istnieje”. A za nim ciągnie się łądolód!

- Masz rację, Móri. A ten krzyżyk - uradował się Rafael - to musi być Tiersteingram.

- Właśnie. Albo raczej miejsce, gdzie spodziewali się znaleźć Święte Słońce. To przecież oni akurat w tym miejscu wzniesli zamczysko.

Danielle już miała na końcu języka okrzyk „Jezu!”, jak miał w zwyczaju mówić Leonard, ale prędko się poprawiła na „ojej”.

Villemannowi nie wszystko pasowało.

- Przecież wy tam byliście! I nie zauważyliście nawet śladu Słońca.

- To prawda - przyznał Móri. - Ale w owym czasie nie słyszeliśmy o jego istnieniu.

Nie wiedzieliśmy o niczym.

- Czy ta mapa się zgadza, Erlingu? - spytał Dolg po chyłony nad swoją kopią.

- Co do joty - odparł Erling. - Mamy tu Trolltiven, wraz ze źródłem ofiarnym Stenkallan i całą resztą. Zaznaczona jest nawet droga do cywilizacji, chociaż prowadzi na wschód. My przyszliśmy z zachodu.

- Proponuję, abyście trzymali się mapy - orzekł Móri. - Droga od zachodu jest o wiele dłuższa. Będziecie się posuwać wzdłuż brzegu Wetter na północ. Zyskacie na czasie, pojedziecie przez Szwecję, zamiast nadkładać drogi przez Norwegię.

- Doskonale - ucieszyła się Taran. - Ojciec, ta mapa jest naprawdę 'wspaniała.

- Na co więc czekamy? - ożywił się Uriel. - Wyruszamy najszybciej jak się da!

- Do Tiveden! - zakończył Dolg.

Móri stłumił westchnienie. Tak bardzo przecież pragnął im towarzyszyć.

Dzień po wyruszeniu grupy młodych w podróż wydarzyło się coś bardzo przykrego.

Daleko od domu, lecz na terenach należących do dworu, znaleziono pokojówkę Elsie. Powieszoną.

- Dobrze, że Villemann się o tym nie dowiedział - rzekła Tiril. - Nie podobała mi się ta dziewczyna. Służyła najpierw u Amalie, ale tam zwolniono ją za wsadzanie nosa w nie swoje sprawy. A tę łzawą historię wymyśliła pewnie sama.

- Nie bardzo to rozumiem - denerwował się Erling. - Villemann nie zdążył jej wyznać, że ciąży mu jej uwielbienie, nie miała więc żadnych powodów, by targnąć się na życie.

- Może po prostu dziewczynie było przykro z powodu jego wyjazdu - podsunęła Theresa.

Na twarzy Móriego rysowała się niezwykła powaga.

- To nie z powodu Villemanna. Przyjrzałem się miejscu wypadku. Elsie nie powiesiła się sama.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Co ty mówisz, Móri? - w głosie Erlinga zabrzmiała trwoga. - Do czego

zmierzasz?

Wcale nie interesował jej Villemann. Po to, by powiesić ją na drzewie w taki sposób, jak to zrobiono, należało użyć wielkiej siły.

- Chcesz powiedzieć... - zaczęła Tiril.

- Elsie zrobiła swoje. Ktoś dowiedział się już tego, czego chciał, i Elsie przestała być potrzebna.

Popatrzyli po sobie. Otwierały się nowe, straszne perspektywy.

Nad bagniskiem mroczny cień wieczoru, wszystko ciche, zamglone i puste.

Ołowiane niebo bezszelestnie siąpi lodowatym deszczem.

Ni jałowca, ni pagórka w zieleni, Ni też zbocza ubranego we wrzos. Barwa śmierci spowiła w swe szaty łożę podmokłego mchu.

Na ciężkich od deszczu skrzydłach wzbił się jastrząb, głodny i samotny. Las, milczący i mroczny, z ciemności wpatruje się w nicość pustki.

I tylko na zachodzie, daleko, ponad martwym grzebieniem skał, nieprzystępnym, nagim, śliskim deszczem, lśni ostatnia, blada resztką dnia.

Tutaj spokój dla myśli zmęczonych. Tutaj w ciszy króluje niepamięć, nie zmacona nadzieją, która bez kotwicy płynie ku spienionym grzywom życia fal.

Nocny wiatr może tutaj schłodzić gorący popiół bolesnej namiętności. Tutaj żal można ukryć o zmierzchu, rumieniec wstydu na wychudłym policzku.

Tutaj zmysły mogą zerwać więzy ostatnie, co łączą smutek i życie. Stąd wiedzie droga do mrocznej krainy do krainy wiecznej nicości.

Gustaf Fróding „Nad bagniskiem”

Maria Stenland z wysiłkiem pokonywała ostatnie wzniesienie. Za sobą w wózku ciągnęła cały swój dobytek.

A oto i chata w lesie. Nazywali ją zagrodą, chociaż było to prawdziwe gospodarstwo, co prawda niezbyt duże. Gdyby ktoś zechciał, mógł tu hodować całkiem sporo zwierząt.

Spodziewała się zapadniętych, zrujnowanych zabudowań, lecz wszystko

wyglądało jak kiedyś, gdy odwiedzała babcię i dziadka. Wiedziała, że jeden z sąsiadów na życzenie rodziny doglądał zagrody, i najwidoczniej sumiennie wywiązywał się z obowiązków.

Zagroda leżała w wielkim odosobnieniu. Od najbliższych sąsiadów oddzielał ją las. Maria zamierzała od razu w pierwszych dniach przejść się wzdłuż granic posiadłości, aby zorientować się, ile ma ziemi. Bawiła się tu jako dziecko, znała pastwisko, na które wypędzano krowy, niewielkie jezioro, położone nieco poniżej posiadłości, ogród, las, no i górę, do której nie pozwalano jej się zbliżyć. Nikt tam nie chodzi, twierdziła babcia. Dlaczego? dopytywała się Maria. Tam straszy, usłyszała w odpowiedzi. Wtedy nie rozumiała znaczenia tego słowa, ale teraz na wspomnienie uśmiechnęła się ironicznie. Daleko jej było do wiary w duchy. Wzięła się w garść. Nie może sobie teraz pozwolić na żadne sentymentalizmy, takie jak wspomnienia z czasów, które dawno minęły. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

Była już przy wale otaczającym chatę. Budynek należałoby wprawdzie nazwać raczej domkiem, był bowiem całkiem spory, a jednak w myślach zawsze nazywała go zagrodą lub chatą, takie określenie wydawało jej się bardziej na miejscu. Wschodząca trawa... Przyłaszczki pod dębami, strumyk. Szemrał tak samo jak dawniej. Niewielki pomost, przy którym babcia prała, także się zachował. Maria gwałtownie obróciła się na pięcie i popatrzyła na brzoźowy zagajnik. Potem skierowała wzrok na chatę.

Budynek utrzymany był dobrze. Niedawno, może nawet w zeszłym roku, został odmalowany na czerwony chłopski kolor. Zabudowania gospodarcze również prezentowały się całkiem nieźle.

Palcami sztywnymi z niepewności wyluskała duży klucz z kryjówki pod schodami, o której powiedział jej adwokat. Wsunęła go w zamek.

W twarz buchnęło jej zatęchłe powietrze, odór nie zamieszkanego domu. Sąsiad zapewne nie zaglądał tu od wielu dni, może nawet przez całą zimę. Na parapetach leżały zaschłe muchy.

Będzie musiała postarać się o kota.

Nie, żadnych zwierząt. Zwierzęta sprawiają tylko, że człowiek łagodnieje. Żadnych zwierząt!

Posprzątała co nieco, wpuściła do środka słońce i świeże powietrze i rozlokowała dobytek, a potem poszła do sąsiada. Ścieżka wiodła tak samo jak kiedyś, gdy nią szła, trzymając spracowaną rękę babci. Ścisnęła ją mocno, bo akurat w tym miejscu las wydawał się taki mroczny...

Już jutro obejdzie granice posiadłości. Być może będzie musiała zwrócić się o pomoc do sąsiada, bo nie wszędzie zaznaczono je dostatecznie wyraźnie.

Sąsiad, kiedy weszła do jego chałupy, z początku patrzył na nią nieufnie, ale gdy krótko się przedstawiła, złagodniał i poprosił, by usiadła. Maria odpowiedziała, że nie ma czasu, lecz czy mogliby jej pomóc w tym i owym?

Tak, bardzo chętnie, przyjdą od razu, gdy tylko da znać.

Maria dość oschle i formalnie podziękowała za utrzymywanie domu w należytym stanie w ciągu ostatnich trzech lat po śmierci dziadków.

Wieśniak z ociąganiem odparł, że bardzo sobie cenili staruszków i z przyjemnością zajęli się zagrodą. Ale...

- Tak? - ponieważ zwlekał z dokończeniem zdania, Maria zachęciła go do dalszego mówienia.

- No, pan aptekarz prosił, bym doglądał domostwa, i obiecywał, że zwróci mi wydatki, ale do zapłaty nigdy nie doszło, nie chciałem się zbytnio naprzykrzać, zresztą aptekarz wcale tu nie zaglądał, nie mogłem też do niego napisać, bo pisać nie umiem. Przypuszczam, że panu aptekarzowi brakło czasu, by zapłacić, pewnie miał dużo zajęć, a teraz jest już za późno.

Maria ledwie zdołała zapanować nad wzburzeniem. Nawet nie przyjechać, żeby sprawdzić, co się dzieje z domem, który poza wszystkim nigdy nie był jego, ale żądać, aby inni utrzymywali zagrodę w należytym stanie, to ojciec potrafił!

Jakież to dla niego typowe! Wymagać coraz więcej i więcej, za nic nie płacąc.

- Proszę podsumować wszystkie wydatki - powie działa chłodno. - I przedstawić

mi jutro rachunek, natychmiast zwrócę pieniądze. Inaczej być nie może.

Spostrzegła na twarzy wieśniaka i jego żony wyraz zakłopotania i jednocześnie radości.

Kiedy wyszła, chłopci popatrzyli po sobie.

- Naprawdę bardzo się zmieniła - stwierdziła żona.

- Pamiętam tę dziewczyneczkę, która tak ufnie przyszła tu z babcią. I jej pełną wdzięku matkę, której nie dane było długie życie. Losy Marii chyba nie ułożyły się najszczęśliwiej.

- Na pewno nie - z przekonaniem rzekł wieśniak. - Wy rosła z niej oschła, wręcz zimna kobieta, ostra tak, że niemal można się o nią skaleczyć.

Żona pochyliła się w stronę okna i wyjrzała poprzez białe szydełkowe firanki i czerwone kwiaty na parapecie.

- Ciekawe, co z łagodnego dziecka zrobiło dorosłą kobietę. Ona jest w pewnym sensie... przerażająca. Kojarzy się z czymś...

- Z mrozem - dopowiedział chłop. - Ze strasznym lodowatym szronem!

Maria powędrowała w stronę domu, z początku spieszyła się, potem zwolniła kroku. Wieśniak obiecał, że następnego dnia chętnie obejdzie z nią granice posiadłości.

- Ale... nie pójdziemy na górę - oświadczył. - Grani ca przechodzi akurat tamtędy, lecz na wierzchołek trud no się wspiąć. Możemy ominąć tę część?

Maria uznała, że wcale nie ma potrzeby tam chodzić.

Teraz przystanęła i popatrzyła w stronę lasu. Za nim właśnie była góra. Babcia i dziadek nigdy się tam z nią nie zapuszczali. Babcia bała się, że w tym miejscu straszy, a dziadek zawsze znajdował jakąś wymówkę, chociaż wyśmiewał gadanie żony o strzygach i innych duchach przyrody.

Sąsiad powiedział jej, że ta część lasu leży odłogiem. Nie starczyło mu czasu, by się nią zająć, zapewne więc wyrósł tam znów pierwotny las.

- Znów? - cierpko wtrąciła chłopka. - Jak daleko sięga ludzka pamięć, a pewnie i jeszcze wcześniej, nigdy nic innego tam nie było. O ile dobrze wiem, nigdy żaden

człowiek tam się nie zapuszczał.

Słowa te obudziły ciekawość Marii.

Dzień był jeszcze jasny, poza tym nawet w dzieciństwie nie bała się ciemności. A gdyby tak zerknąć na tę górę? Dlaczego nikt nie chciał tam chodzić? Przydałby się jej teraz pies. Zresztą, po co? Może poczekać na sąsiada, do jutra? Przecież jego zdaniem nie powinni się tam wybierać, to najzupełniej zbędne.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Maria zagłębiła się w las. Szła ścieżką, która coraz bardziej się zwężała, a w końcu zniknęła.

Maria przystanęła. Pora była chyba późniejsza, niż się jej wydawało. A może to w lesie jest tak ciemno? Znów ruszyła, teraz nieco wolniej. Przecież jest lato, długi dzień. Niemądrze, że wybrała się tu tak od razu. Nie, musi iść. Musi oderwać się od myśli i wspomnień.

Po tym lesie chodziła z matką, ale nigdy nie zapuszczały się tak daleko.

Matka...

Była taka piękna. Pochodziła z tej prostej zagrody, a ojciec zachwycił się jej urodą i niewinnością, którą przyrównywał do lili. Później obwiniał ją o nieznaną wiele rzeczy, zwłaszcza miejskich obyczajów i etykiety. Maria nie wierzyła, że matka była szczęśliwa. Pewnej zimy zmarła na zapalenie płuc. Ojciec gniewał się za jej słabość i za to, że organizm nie reagował na jego lekarstwa.

Ale zapalenie płuc było tylko końcem długiej choroby.

Maria przesiedziała przy łóżku matki przez całą noc i trzymała ją za rękę, aż dłoń w jej dłoni stała się całkiem zimna.

Strasznie głęboki ten las!

Tam... jakiś prześwit między drzewami. Nareszcie! Ujrzała górę stanowiącą granicę nowo pozyskanej posiadłości. Ależ ona daleko.

Moczary! Zapomniała o moczarach. Wprawdzie Maria nigdy wcześniej się tu nie zapuszczała, ale dziadek ostrzegał ją przed bagniskiem. Mówił, żeby nigdy tam nie chodziła, bo jest zdradliwe, a czarne oka wody połyskują niczym ślepiec trolla.

Maria stanęła na skraju lasu.

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Przed nią rozciągały się szerokie, nagie mokradła, a po ich drugiej stronie - skała, której wszyscy tak się bali. Wznosiła się nad otaczającym ją lasem niczym przyczajone zwierzę.

Dotąd więc sięgały jej włości. Naprawdę daleko.

Gdzieś z chmur dobiegł krzyk drapieżnego ptaka. Maria zadrżała. Mroczne, ciężkie od deszczu chmury zawisły nad skarżącym się niemo pustkowiec. Maria natychmiast się zorientowała, że nie jest to dobre miejsce dla niej. Melancholia ogarnęła ją ze wzmożoną siłą, zalała niczym ogromna fala, rozszarpała na nowo ranę w piersi, zmuszając do głośnego jęku, który ostro rozdarł ciszę. Z całych sił starając się nad sobą zapanować, Maria odepchnęła smutek, żal i wspomnienia o wszystkim, co ją spotkało. Na powrót stała się lodowatą Marią Stenland. Córka Mrozu, tak właśnie ją nazywano, wielokrotnie to słyszała. Doskonale, bardzo jej to odpowiada.

Zaczęła szukać chusteczki, a kiedy schyliła głowę, spostrzegła, że stoi na piasku.

Piasek? Tutaj, przy bagnach?

Nie, oczywiście, piasek należał do sosnowego lasu. Las na ostatnim odcinku przerodził się z głębokiego, ponurego świerkowego boru w jaśniejszy, bardziej przejrzysty sośniak.

Chociaż zaczęło się teraz naprawdę zmierzchać, zauważyła, że i po drugiej stronie bagniska rosną sosny. Charakterystyczne korony drzew wznosiły się ku niebu na zboczach góry, odcinały od skały.

Tam właśnie zamierzała iść.

Zrezygnowała jednak. Wprawdzie zawsze realizowała podjęte decyzje, lecz tym razem ciało odpowiedziało niezrozumiałą niechęcią, wszystko w niej protestowało przeciwko podjęciu takiego kroku. Pustkowiec bagnisk już oddziaływał na jej duszę w sposób, jakiego wcale sobie nie życzyła. Lecz nie tylko to wywarło na nią wpływ.

Zrozumiała teraz, dlaczego nikt nie chciał pójść na wzniesienie po drugiej stronie moczarów. Tam coś było. Coś niemożliwego do określenia, lecz obojętnie ile razy

prychała pod nosem „nonsens”, nie była w stanie wysunąć stopy w następnym kroku naprzód.

Zamiast tego zaczęła się wycofywać. Z początku niezdecydowanie i powoli, ale zaraz się odwróciła, nogi poruszały się niemal same z siebie...

Zdyszana i po raz pierwszy w życiu przerażona do szaleństwa zatrzymała się dopiero na progu zagrody, nie bardzo zdając sobie sprawę, jak dotarła aż tutaj. Mglistie pamiętała jedynie ścieżkę ulatującą jej spod stóp, policzki piekły od siekących gałęzi świerków, ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie. Dłoń sięgająca do klamki drżała, nogi odmawiały posłuszeństwa.

Bezpieczna w chacie, nie wiedząc, dlaczego tak robi, dwa razy przekręciła klucz w zamku.

Zakon Świętego Słońca opuścił Burgos. Rycerze zostawili swoje domy i zgromadzili się w hanzeatyckim mieście Lubece. Zamknięci w sobie, pełni powagi czekali w sali domu należącego do jednego z braci zakonnych.

Ostatni przybyli dwaj spowici w czerń. Na ich widok pozostali zerwali się ze swoich miejsc i głęboko pokłonili. Ukłony przyjęto chłodno, lecz łaskawie.

Brat Lorenzo powitał przybyszów, wychodząc im naprzeciw.

- Słyszę, że wybierają się na Północ?

- Tak - zwięźle odparł ten mówiący po niemiecku.

- Dlatego właśnie jesteśmy tutaj, szlachetny książę

- Lorenzo kiwnął głową; włosy i broda całkiem mu już posiwiały. - A... nasz szpieg?

- Została wyeliminowana - odparł drugi z akcentem wskazującym na pochodzenie ze wschodu Europy.

- Doskonale. Czy zechce nam pan teraz opowiedzieć ze szczegółami, co wam przekazała, mój gospodarze?

- Dziewczyna potrafiła słuchać. Czwooro młodych wyruszyło konno, zabrali ze sobą psa i tego potężnego... No cóż, bez względu na to, jak nedorzecznie to za brzmi,

muszę nazwać go duchem.

- Jeśli chodzi o czarnoksiężnika Móriego, słowem „niedorzeczny” można określić wszystko, a zarazem nic - mruknął Lorenzo przez zęby.

Jak zawsze nosił strój z ciemnych, kosztownych materii. Pozostali rycerze tylko przysłuchiwali się rozmowie. Wystrój sali był ponury, współgrały z nim nastroje zebranych. Wszędzie unosił się stary duch Hanzji, tkwił w oknach z małymi szybami, w grubych ścianach, w staroświeckich meblach, wprawdzie stylowych, lecz bardzo niewygodnych.

- Ten duch przypomina podobno teraz, co prawda niezwykłych rozmiarów, ale człowieka - powiedział gospodarz. - Nasza wysłanniczka, ta dziewczyna Elsie, twierdziła, że się zmienił.

- Hm. Czwooro młodych... Czy był wśród nich syn czarnoksiężnika, ten o dziwnym imieniu?

- Dolg? Tak, wszystkie dzieci Móriego wyjechały, towarzyszy im ów świątobliwy młodzian, który wżenił się w ten przeklęty ród.

- A co się wydarzyło przed wyjazdem? O czym rozmawiali? I dokąd się wybierają? Czy dziewczyna coś na ten temat słyszała?

- Znaleźli księgę naszego Świętego Zakonu, Księgę Królów! I Księgę Świętego Słońca.

Przez salę przeszedł pomruk zdumienia.

- Starą księgę? Oryginał? - Bratu Lorenzo zaparło dech w piersiach.

- Elsie przysięgała, że to prawda. Przywieźli ją z ogromnej biblioteki w Hofburgu.

- Miłosierny Boże! Dlaczego im wszystko się udaje, a nam nie? Mów dalej, co jeszcze przekazała wam dziewczyna?

Rycerz relacjonował. Niektórzy z pozostałych braci mieli odmienne skłonności i na widok tych dwóch ideałów męskiej urody budziły się w nich grzeszne pragnienia, które z trudem dawało się ukryć.

Elsie zdołała przerażająco wiele podsłuchać, przykładając do ściany wysoką szklankę, a do szklanki ucho.

- Dziewczyna znalazła się na rzeczy - rzekł z uznaniem któryś z braci.

- Bez wątplenia - przyznał gospodarz. - Ale nie zdążyliśmy wam powiedzieć o jeszcze jednym, co ma związek z grupą podążającą na Północ...

Urwał zamyślony.

- Co to takiego? - dopytywał się Lorenzo. Młody książę wyręczył gospodarza w odpowiedzi.

- Nie lubimy o tym wspominać, jesteśmy bowiem realistami. Obiema nogami mocno stoimy na ziemi. Ale czworo młodych i ten ich „duch” nie są sami...

- No tak, wspomnieliście jeszcze o psie.

- Pies! - prychnął książę z niesłychaną pogardą w głosie. - Nie, wstydzę się o tym mówić, ale towarzyszyło im jeszcze czworo jeźdźców. I właśnie oni... wydaje się, że nie należą do realnego świata.

- Kolejne duchy? - z niedowierzaniem powiedział Lorenzo. - Przecież duchy są przypisane Móriemu.

- Nie wiem, kim oni są. Przez cały czas z pewnej odległości śledziliśmy ich podróż na Północ, jak sobie te go życzyliście, wielki mistrzu. Ci czterej jeźdźcy w granatowych opończach czasami jadą z nimi jak zwyczajni ludzie, czasami jednak po prostu znikają.

- Jadą przodem? Pełnią rolę zwiadowców?

- Nie, raczej nie. Znikają, rozplývają się w powietrzu, zwłaszcza kiedy orszak mija miasta i wsie lub przeprowia się promami przez rzeki. Wtedy czekają na drugim brzegu, a dzieci czarnoksiężnika zajmują się ich końmi.

To prawda - cierpko zaświadczył gospodarz. - Widzieliśmy też, jak poruszają się po ziemi. Wśród tych czworga jest przynajmniej jedna kobieta - ona nie chodzi, lecz przemieszcza się, wręcz płynie w budzący grozę sposób. Prawdę mówiąc, oni mi się wydawali... niezwykli.

Żaden z braci zakonnych nie wybuchnął śmiechem, zbyt wiele już mieli do czynienia z czarnoksiężnikiem. Bolesnie doświadczyli, że ma on związki z siłami nie należącymi do rzeczywistego świata.

Po chwili milczenia Lorenzo wskazał czterech innych rycerzy:

- Na was spocznie obowiązek dowiedzenia się czegoś więcej o tych tak zwanych duchach. Starajcie się coś ustalić, znaleźć ich słaby punkt. Wszyscy go mają, ludzie, zwierzęta, istoty żywe i umarłe. Potem należy ich wyeliminować.

Następnie znów zwrócił się do gospodarza:

- Proszę, relacjonujcie dalej to, co wam przekazała Elsie.

Imponującej postury gospodarz zdał sprawozdanie, zajęło to trochę czasu.

Momentami jego wypowiedź uzupełniał książę, który poczynił własne obserwacje.

Lorenzo podsumował słabym głosem:

- A więc oni wiedzą wszystko! Nawet to, gdzie znaj duje się Słońce.

- I teraz tam jadą - dorzucił brat Gaston od stołu, wokół którego siedzieli rycerze.

- Owszem, mają wszystko - przyznał gospodarz. - Księgi, kamienie, mapę...

- Ale nie mają Słońca - ostro wtrącił młody książę.

- To prawda - przyznał Lorenzo z przebiegłym uśmiechem. - Niech go szukają!

Nie potrzeba nam ksiąg, mapy ani kamieni. Niech oni wykonają całą pracę. My pójdziemy za nimi. A we właściwym momencie...

Po sali poniósł się szmer aprobaty. Wszyscy się szykowali, nawet starzejący się już Lorenzo i Gaston, brat James z Anglii i kasztelan z Pirenejów, czterej bracia ze starszyny.

Twarz Lorenza była niczym wykuta w kamieniu.

- Wielu dzielnych rycerzy padło w walce z przeklętym czarnoksiężnikiem i jego rodziną...

- Raczej z duchami - wtrącił Gaston.

- Racja! Lista naszych zmarłych jest długa, nieprzyjemnie długa!

Brat James zajrzał do grubych protokołów.

- Rzeczywiście, ponieśliśmy wielkie straty. Czy po wiemy młodym, ilu braci w rzeczywistości straciliśmy?

- Posłuchajmy! To ponura lista. Gaston odczytał:

- Jako pierwszy zginął Georg Wetlev. Został zastrzelony, prawdopodobnie przez

człowieka z Bergen. Następnie Mondstein, jego śmierć wciąż budzi przerażenie, trudno ją pojąć. Brat Otto i brat Alexander postradali życie na bagnach, kiedy próbowali pochwycić chłopca, syna czarnoksiężnika. Biskup Engelbert został pozbawiony godności przez księżną Theresę i jej brata cesarza i wkrótce potem rozstał się z życiem, trawiony żalem. Brat Johannes zmarł w bibliotece w Hofburgu, w jaki sposób - tego się nigdy nie dowiemy, po prostu rozplynął się w nicłość. Horst von Kaltenhelm nigdy nie doszedł do siebie po tym, jak duchy Móriego „zabawiały się” nim w Norwegii. Okoliczności śmierci kardynała von Grabena znacie: rozerwany na pół przez potwora, zwanego przez nich Sigilionem. Rasmus Finkelborg, okaleczony przez tę samą bestię, zmarł z powodu ran...

- Przecież Sigilion nie trzymał strony czarnoksiężnika! - wtrącił któryś z braci.

To prawda, lecz wydarzyło się to w obecności jego córki, Taran. Pamiętajcie, że nasz brat ze Szwecji, Robert, został zgładzony przez Sigiliona, i znów była przy tym Taran i ten jakiś anioł! Na Islandii duchy Móriego unicestwiły siedmiu naszych męnych braci. Zginęli Falco, Nibbio, Lupo, Ghiottone, Sciacallo, Serpente i Tiburon.

Któryś z młodszych rycerzy mimowolnie westchnął, Lorenzo przyjrzał mu się badawczo. Czyżby okazywał słabość?

Ale rycerz zaraz się otrząsnął.

Brat Gaston ciągnął:

- Następnie brat Willum, który zniknął, kiedy miał odwiedzić czarownicę L'Araignee. Podejrzewam, co prawda, że ona maczała w tym palce. I na koniec Barthold von Krauss, zmarły ze strachu. Ponadto do listy trzeba jeszcze dodać właśnie L'Araignee, która umarła jednocześnie z nim, no i Elsie, którą sami zlikwidowaliśmy.

Wśród zgromadzonych zapanowała ponura cisza.

- A co z Heinrichem Reussem von Gera? - spytał ktoś.

- Nie wiadomo, co się z nim stało - odparł kasztelan z Pirenejów, a przecież on przede wszystkim powinien orientować się w sprawie. - Został chyba przez nas

zglądzony, tak jak to planowano?

Brat Lorenzo nie odpowiedział, stwierdził natomiast:

- Jedynymi, którym udało się ująć cało i zdrowo z duszących macek bandy czarnoksiężnika, są nasi dzielni przyjaciele gospodar i księżę...

Dwaj rycerze milczeli. Czy tak do końca zdrowo udało im się ująć? Straszliwe oparzenie na piersi wciąż przyprawiało o nieznośne cierpienia jednego z nich, ale postanowił to przemilczeć. Żądza zemsty trawiła jego umysł niczym trucizna.

- Dlatego właśnie powinniście jako pierwsi wyruszyć w pościg za tymi, którzy opuścili Theresenhof...

Dwaj szlachcice skinęli głowami, lecz kilku rycerzy zaprotestowało.

- My także się nie boimy i cieszy nas myśl o podjęciu walki!

- Doskonale! - oświadczył Lorenzo.

Wszyscy myśleli o tym samym: bez względu na to, ilu rycerzy padło, ani czarnoksiężnik Móri, ani jego syn nie brali bezpośredniego udziału w żadnym ze śmiertelnych wypadków. Nikt inny z rodziny także nie, jeśli nie liczyć Erlinga Mullera, który zastrzelił Georga Wetleva.

- Jak daleko dotarła banda czarnoksiężnika? - spytał Lorenzo.

Hospodar odparł:

- Wkrótce będą tędy przejeżdżać.

- Czy Elsie podsłuchiwała, dokąd zamierzają się udać?

- Do Szwecji. Do wielkich lasów między jeziorami Wener i Wetter.

- Czego tam chcą szukać? - zastanawiał się Lorenzo.

- Dziewczyna mówiła, że znajduje się tam coś, czego nazwę usłyszała jako Tistelgram.

Wielu rycerzy z trudem powstrzymało się od okrzyku.

- Tiersteingram? Nieosiągalne, legendarne zamczysko Tiersteingram? Miałoby być położone właśnie tam?

- Najwyraźniej.

Nic dziwnego, że udało im się odnaleźć tak wiele - westchnął brat Gaston. - Już

kiedyś podróżowali po tamtych okolicach. A więc wtedy znaleźli Tierstein gram! Hrabowie von Tierstein posiadali znaczną wiedzę dotyczącą pradawnych czasów. Byli ostatnimi znającymi tajemnice z przeszłości. No, ale jesteśmy teraz w niezłej sytuacji. Nasi wrogowie są pozbawieni ochrony. Znajdują się poza bezpiecznym obszarem Theresenhof. Moi mężni przyjaciele! Nie prowadźcie z nimi otwartej walki! To zbyt ryzykowne, mają niebezpiecznych sprzymierzeńców. Posługujcie się sprytem, tylko sprytem, bierzcie ich po jednym! Ale najpierw niech odnajdą dla nas Słońce!

- A później - obrzydliwie uśmiechnął się Lorenzo. - Później ich wykończymy. Nikt z rodziny czarnoksiężnika nie przeżyje!

- Słońce - rozmarzył się brat James. - Święte Słońce będzie nasze.

Przez starą salę Hanzeatów przeszedł szmer radości.

Kilka dni po wyjeździe czworga młodych z Theresenhof, po których w domu i w sercach jego mieszkańców pozostała bolesna pustka, Móri krążył po pokojach jak lew po klatce.

Od wyjazdu młodych nie mógł znaleźć sobie miejsca. Tiril wiedziała, dlaczego. Dręczył go nie tylko niepokój, że oto Zakon Świętego Słońca dowiedział się o ich planach od Elsie i być może ścigał jego dzieci. Nie, Móri gotów był także oddać wszystko, by jechać z nimi. To on powinien wskazać im drogę przez Tiveden, wszak uczestniczył w wydarzeniach od samego początku, on, Tiril i Erling, a czwórka, która wyruszyła na wyprawę, to przecież tylko dzieci!

Trochę się mylił. Najmłodszy, Taran i Villemann, mieli po dwadzieścia jeden lat. Mogli poza tym liczyć na wsparcie Uriela, Dolga i Nera, a przede wszystkim Cienia i czworga Strażników.

Mimo to Móri cierpiał.

Ani on jednak, ani Tiril, ani tym bardziej Erling nie mogli teraz opuścić Theresenhof. Nie domyślali się nawet, jak bardzo Theresa przeżywa fakt, że tak wielu członków rodziny chce opuścić dom, który wybrała dla swej córki i jej najbliższych. Rafael i Danielle tkwili po uszy w swoich romansach, istniała groźba,

że oboje odejdą z domu. A w dodatku czworo młodych wyjechało z zamiarem osiedlenia się w Skandynawii. Gdyby Tiril i obaj mężczyźni opuścili teraz Teresę... Nie zniosłaby tego.

Rozmawiali o wyjeździe czworga najstarszych w rodzinie na Północ, lecz to wydawało się niemożliwe. Całkiem niedawno stamtąd wrócili, nie upłynął nawet rok. W dodatku była pełnia lata, a z tym wiązał się nawał prac we dworze. Rafael i Danielle także nie mogli zostać sami, a przecież im nawet przez myśl nie przeszło, by opuścić ukochanych.

Najbardziej jednak cierpiał Móri. Zdawał sobie sprawę, że powinien towarzyszyć dzieciom w wyprawie na Północ, wyczuwał to każdym nerwem.

Zabrali także Nera. Dom krzyczał pustką.

Niepokój starszego pokolenia budziły także inne sprawy.

Theresa z trudem panowała nad lękiem, w Europie bowiem wybuchła wojna, druga wojna śląska. Wciąż spierano się o sukcesję tronu w Austrii. Brat Teresy Karol wyznaczył swą córkę Marię Teresę na następczynię, co wzbudziło niezadowolenie niemal w całej Europie. Zamiast niej na tron wstąpił Karol Albrecht z Bawarii. Fryderyk Drugi z Prus wykorzystał słabość Austrii i, wspierany przez Francję, Hiszpanię, Saksonię i Bawarię, oderwał Śląsk od cesarstwa. Austrii na pomoc ruszyły Węgry. Po paru latach względnego pokoju Fryderyk Drugi wszczął kolejną wojnę, lecz teraz Austria otrzymała pomoc od Anglii, Holandii, Sardynii, Rosji i Saksonii, która zmieniła stronę. Wszyscy sojusznicy żądali powrotu Marii Teresy na tron, czemu sprzeciwiał się Fryderyk Drugi i Karol Albrecht bawarski. Wojenna zawierucha nie ominęła Theresenhof. Karol Albrecht, czując, że jego władza słabnie, postanowił podporządkować sobie jak najwięcej prywatnych ziem w Austrii. A ponieważ Theresenhof było kiedyś własnością cesarza, zażądał teraz powrotu dworu do korony.

Ta sytuacja ogromnie dręczyła Teresę. Theresenhof było jej własnym spokojnym kawałkiem ziemi, miały go po niej odziedziczyć dzieci i wnuki. Teraz zawisła nad nim groźba, a zabrakło brata cesarza, do którego mogłaby się zwrócić o pomoc.

Zrozumiała, jak wiele Karol znaczył dla niej i jej rodziny.

Móri także bał się utraty Theresenhof, cała rodzina wszak ukochała dwór. Co innego jednak niepokoiło go jeszcze bardziej...

Mapa.

Nie mapa Lemurów z emalii i złota, przedstawiająca rozmieszczenie Wrót na świecie, lecz stary zwój pergaminu, który znalazł w Tiersteingram.

W jaki sposób ta mapa dostała się w ręce hrabiów von Tierstein? Jak mogli narysować tak szczegółowy plan obszaru, który ledwie znali? Skąd wiedzieli, którędy przebiegał brzeg morza i lodowca przed tysiącami lat?

Móri przerwał swą niespokojną wędrówkę po pokoju i znów sięgnął po zwój pergaminu. Gotów był głowę dać, że nie jest to oryginał, bo tworzywo nie przypominało tego, z którego sporządzono świętą księgę Lemurów. Tę mapę hrabiowie narysowali własnoręcznie.

Na jakiejś podstawie? Wobec tego, na jakiej?

W świętej księdze nie było żadnej mapy.

Chyba że...

Móri znieruchomiał, zadumany. A potem przyniósł z szafy Erlinga także księgę. Młodzieży nie pozwolono zabrać jej ze sobą na wyprawę, na to była zbyt cenna. I kiedyś, przed laty, skradły ją dzikie plemiona na Północy, właśnie nad brzegami Bałtyku.

Uśmiechnął się pod nosem. Trudno teraz określać Szwedów mianem dzikich plemion.

Ale przecież bracia zakonni wciąż nie dają im spokoju.

Zadrzał na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło czworgu młodych. On powinien im towarzyszyć!

Jednak Tiril i Theresa prosiły, aby został w domu. Dzieci miały wszak doskonałą eskortę.

Rzeczywiście, to prawda, lecz człowiek ma już taką naturę, że sam pragnie wszystkiego dopatrzeć. Kiedy coś się dzieje, najtrudniej zrezygnować z

uczestnictwa w biegu wydarzeń.

Położył świętą księgę na stole. Nie pojmował z niej ani słowa, lecz to w tej chwili nie było wcale konieczne. Najważniejsze, że księga pozwalała, by przerzucał jej karty. Nie kryła już żadnych tajemnic, Cień odczytał im całość.

A może jednak nie?

Skąd wzięła się mapa von Tiersteinów? Czy oni... Nie, raczej czy Ordogno Zły wyrwał ją z księgi, a potem skopiował?

Wyczulone palce Móriego przesuwają się po wewnętrznej stronie okładek.

Czy tylna nie była dwa razy grubsza od przedniej?

Ależ tak!

Przecież tu nie ma żadnego otworu...

Jest! Kiedy odchylił okładki nieco mocniej do tyłu, ukazała się wąska szparka przy grzbiecie.

Nie zauważył jej wcześniej, zresztą niczego takiego nie szukał.

Podniósł głowę znad księgi. Chciał się z kimś podzielić swoim odkryciem, lecz wszyscy domownicy wybrali się na obchód posiadłości. Wszyscy? Nie, Rafael był w swoim pokoju. Móri natychmiast go sprowadził.

Wspólnymi siłami zdołali wysunąć złożony arkusz. Rafaelowi udzieliło się napięcie Móriego.

- Villemann powinien to zobaczyć! Szkoda, że wyjechali!

Móri w odpowiedzi tylko coś bąknął. Drżącymi palcami rozłożył kartę.

- Czy to mapa?

W rzeczy samej tak było.

- A więc już wiemy - stwierdził Móri. - Ordogno mu siał znaleźć mapę, sporządził jej kopię, którą umieścił w drugiej księdze, tej, która zniknęła wraz z Tiersteina - mi. Rzeczywiście przerysowali mapę bardzo dokładnie!

- Tak.

Centymetr po centymetrze porównywali obie mapy. Znowu zaimponowała im wiedza Lemurów, bo przecież oryginał musiał zostać narysowany na długo przed

ich wyprawą na Północ, zapewne wtedy, gdy rozpoczęto pisanie księgi, wiele lat przed narodzinami Cienia. Dzięki tej mapie ich ostatni król wiedział, gdzie znajdują się te jedyne dostępne Wrota.

Nagle Rafael pochylił się bardziej nad rysunkiem, przyglądał mu się uważniej.

- Co tam znalazłeś, Rafaelu? Młody człowiek podniósł głowę.

- Popatrz tutaj, wuju Móri!

Delikatnym zgrabnym palcem wskazał na krzyżyk oznaczający położenie Tiersteingram w Tiveden.

- O co ci chodzi?

- Spójrz i porównaj!

Móri położył obie wersje mapy obok siebie.

- Jesteś geniuszem, Rafaelu!

Wiem o tym - chłopak uśmiechnął się z dumą, bez fałszywej skromności. -

Popelnili błąd, prawda?

- Błąd musiał popełnić Ordogno Zły - poprawił go Móri. - Tak, hrabiowie szukali w całkowicie niewłaściwym miejscu.

- Chyba rozumiem, dlaczego. Dostrzegam podobieństwo miejsca - z zapalem tłumaczył Rafael. - U stóp góry...

- Wokół zamku były liczne wzniesienia - kiwnął głową Móri. - W pobliżu znajdowały się też bagna, jak na tej mapie. Pamiętam, że wtedy na bagnach zaatakował nas puchacz. Lecz punkt zaznaczony na mapie położony jest znacznie bardziej na zachód, prawdopodobnie znajduje się poza obszarem Tiveden, a w każdym razie na obrzeżach.

Popatrzyli na siebie oczyma rozszerzonymi podnieceniem.

- To znaczy, że... - zaczął Rafael.

- Że moje dzieci zapuszczają się w niebezpieczny obszar Trolltiven w Tiveden całkiem na próżno, bez możliwości odnalezienia miejsca ukrycia Słońca.

- Z bandą rycerzy Zakonu, czyhającą na nich w ciemnym lesie.

Jeszcze raz przestudiowali topograficzną mapę, na której zaznaczono wzgórze i

wzniesienia.

Móri z trudem panował nad zdenerwowaniem.

- Muszę natychmiast tam jechać! Przecież oni tracą czas. Niczego w ten sposób nie znajdą!

- Tak, powinieneś od razu za nimi wyruszyć. Mają wprawdzie kilka dni przewagi, ale na pewno zdołasz ich dogonić. Będziesz zapewne jechać szybciej, bo przecież oni nie spodziewają się żadnego zagrożenia.

Tak. Zaraz jadę, spakuję tylko to, co najniezbędniejsze. Mamy w tym niezły trening. Proszę, wyjaśnij wszystko Tirii i Theresie, jeśli nie wrócą przed moim wyjazdem. Na pewno zrozumieją.

- Dobrze. Nie mamy czasu do stracenia.

Wkrótce potem Móri pędząc jak burza opuścił dwór. Rafael patrzył za nim ze zбочa koło stajni. Wiedział, że Móri jest zadowolony, sprawy przybrały taki obrót, jakiego sobie życzył.

I nie musiał w dodatku narażać się na protesty Tirii.

Lato było w pełni, kiedy czworo młodych ludzi z Theresenhof i ich bardzo szczególna eskorta dotarli do wschodnich obrzeży Tiveden.

Dotychczas podróż przebiegała bez kłopotów. Mieli szczęście przy przeprawie do Szwecji, pogoda dopisywała, kiedy jechali przez Gótaland. Parę deszczowych dni nikomu nie zaszkodziło, a teraz świeciło słońce.

Pełni nadziei skręcili z gościńca w stronę Trolltiven. Całkowitej pewności co do tego, w którym dokładnie miejscu powinni zjechać z drogi, nie mieli, ale co tam, nie przewidywali trudności z odnalezieniem Stenkallan, czyli Kamiennego Źródła, i Trollkyrka, Zaczarowanego Kościoła. Mieli jednak mapy, kopie mapy z Tiersteingram.

Pod wieczór zatrzymali się na nocleg. Wtedy już zdążyli zdać sobie sprawę, jak niewiele w istocie wiedzą. Wskazówki Móriego, Tiril i Erlinga, dotyczące drogi i budzących grozę przepastnych kniei, nie na wiele się zdały, przybywali jednak od

zachodu, nie zawadzili nawet o wschodnie granice lasów. Odczytywanie wskazówek z mapy okazało się także czymś zupełnie innym niż odnalezienie właściwych punktów w rzeczywistości. Na tym zaklętym pustkowiu nic nie wyglądało tak, jak powinno.

Napotkawszy leśne jezioro, na którym rosły wielkie, przepiękne czerwone lilie wodne, zrozumieli, że pobłądzili, zabrnęli zbyt daleko na zachód. Tam, przy Fagertarn, na gładkim, piaszczystym, porośniętym sosnami zboczu rozłożyli obozowisko. Ważne, by wypoczęli przed jutrzejszymi poszukiwaniami w lesie. Lekki posiłek odpędził zniechęcenie. Oczywiście, na pewno odnajdą to, czego szukają, muszą tylko mieć cierpliwość.

Pierwszy czuwać miał Villemann, uznali bowiem, że okolica nie jest bezpieczna. Mogli paść ofiarą dzikich zwierząt, wędrownych rzezimieszków bądź też indywiduów o lepkich palcach, pochodzących z ostatniej wioski, jaką mijali. Natomiast przez myśl nawet im nie przeszło, że ścigają ich także rycerze Słońca. Tutaj? Niemożliwe. Młodzi poszukiwacze przygód nie mieli wszak pojęcia o zdradzie Elsie.

Zasnęli. Tylko Villemann w roztargnieniu głaskał Nera, zapatrzony w jasną letnią noc. Gwiazdy ledwie świeciły, z trudem dostrzegał je na bładoniebieskim niebie. Wpatrywanie się w jasność sprawiło, że poczuł się senny. Nie zauważył, jak powieki mu opadły, a myśli zmieniły się w sny. Osiągnął ów stan, kiedy człowiekowi wydaje się, że nie śpi, i dopiero gdy coś nagle go zbudzi, dziwi się, że zasnął.

Villemann się nie obudził. Śnił.

Bardzo emocjonująca przygoda... Znalazł się w centrum zainteresowania grupki ślicznych i pełnych podziwu dla niego dziewcząt. Wygadywał przy tym niestworzone historie, takie jak: „Owszem, wyhodowałem najpiękniejsze ptaki, król rzekł mi, że nigdy jeszcze takich nie widział”. Zachowywał się z nonszalancką obojętnością, chociaż w głębi ducha puchł z dumy.

Kolejne obrazy plątały się bez ładu i składu, nagle Villemann znalazł się na

ośnieżonym zboczu, gdzie dzieci jeździły na saneczkach. Nigdy wcześniej nie widział tych dzieci, jak to często bywa we śnie. Po obudzeniu, zastanowiwszy się, jak to możliwe, że przyśnili nam się ludzie, których nigdy nie spotkaliśmy, zaczynamy dopuszczać myśl, że żyliśmy już wcześniej.

Villemann wiele razy już się nad tym zastanawiał.

Na pokrytym śniegiem zboczu ze snu było zimno, Villemann porządnie zmarł.

W jednej chwili dzieci z krzykiem rozpierzchły się na wszystkie strony. Z początku uznał, że się wystraszyły właśnie jego, lecz kiedy spojrzął za siebie, zobaczył budzącą grozę kobietę. Stała za jego plecami, na szczycie wzgórza.

Budząca grozę? Owszem, lecz również bardzo piękna. Ubrana w połyskliwe białe szaty, miała sine usta i najzimniej spoglądające oczy, jakie kiedykolwiek widział.

Lodowato niebieskie, o strasznym jasnym odcieniu, z zieloną obwódką wokół źrenicy.

Otaczał ją welon lodowatej mgły, obłok lśniących kryształków. Sprawiała wrażenie, że pulsuje, jak gdyby mroźna mgła wydobywała się z jej ciała, wydychana w niespiesznych, rytmicznych oddechach.

Widać było, że jest zła. Niebieskobiałe dłonie niczym szpony wyciągnęły się w stronę Villemanna, niby zjawa przysunęła się bliżej. Poruszała się płynnym, posuwistym ruchem jak Nidhogg, lecz ona była straszniejsza, nieubłagana.

Villemann patrzył prosto w jej oczy, paraliżujące chłodem, ujrzał w nich triumfujące zło, zaczął krzyczeć...

Poderwał się, usiadł. Oddychał z wysiłkiem.

Letnią noc. Wysokie sosny. Szum lasu. Czego tu się bać?

Zimno łatwo dało się wytłumaczyć: Nero ułożył się na jego kocu i swoim ciężarem ściągnął go na bok, Villemann leżał więc niemal całkiem odkryty.

- Tobie też się coś śniło?

Drgnął na dźwięk spokojnego głosu Dolga. Starszy brat siedział z podciągniętymi kolanami, oparty o pień drzewa.

- Tak. - Villemann zaśmiał się dość niemądrze. - Przy śnił mi się koszmar.

Naprawdę straszny.

Dolg skinął głową, jakby i on to przeżywał. Rozmawiali ściszymi głosami.

Villemann w krótkich słowach streścił mu sen, starał się wytłumaczyć swe przerażenie.

- Wiem o tym - oświadczył Dolg. - Ona tutaj była.

- Co? Nie żartuj!

- Miałem trochę inny sen, lecz także o niej. Obudziłem się równie gwałtownie jak ty i zdążyłem zobaczyć, jak znika między drzewami.

Villemann na chwilę oniemiał. Po plecach przebiegł mu dreszcz, mimowolnie rozejrzał się dokoła.

- Czy była biała jak szron?

- Nie. Miała długie czarne włosy i granatowoczną pelerynę. Ale zebrał się w niej jakby cały chłód świata.

Po krótkiej chwili Villemann powiedział:

- Niezwykłe.

- Tak - przyznał brat z wahaniem. - Chociaż, czy ja wiem?

- O co ci chodzi?

- Mam wrażenie, że obudzono nas celowo. Dobry duch? zastanawiał się Villemann. O, nie, w tej mojej zjawie nie zauważyłem ani krztyny dobrej woli.

Głośno zaś spytał:

- Dlaczego tak myślisz?

- Coś usłyszałem, kiedy się obudziłem... Odległy stu kot i szelest.

Villemann, podniecony, wykrzyknął tak głośno, że Dolg musiał go uciszać:

- Ja także słyszałem! Przysięgam! Kiedy dzieciaki zjeżdżały na saneczkach, ziemia dudniła, jakby pod nią była pustka.

- Właśnie - przyświadczył Dolg. - Ciekaw jestem, co to mogło być.

Młodszy brat spytał nieco wystraszony:

- Chcesz powiedzieć, że ta kobieta naprawdę tu była? W tym dzikim lesie, z dala od ludzkich siedzib?

- Opowiem ci mój sen - zaproponował Dolg. - Bo trochę się różnił od twojego.

- Mów!

- Znalazłem się w jakimś pałacu, pełnym mrozu. Nie mogłem pozbyć się uczucia dobrze znanego z koszmarów, strachu przed nieznanym, które mogło kryć się wśród cieni. Nagle wysunęła się z nich jakaś kobieta.

- Właśnie, wysunęła, to dobre słowo - podchwycił Villemann.

Dolg skinął głową.

- Zdołałem jednak unieść się o kilkanaście centymetrów nad posadzkę i tyłem wyfrunąłem z komnaty. Za trzasnąłem za sobą drzwi, aż echo poniosło się po całym zamku. Ktoś złapał mnie za ramię i powiedział: „Chodź!” To była Soi z Ludzi Lodu...

- No tak, jesteśmy teraz w Skandynawii. Ludzie Lo du mogą się tutaj ukazywać.

Czego chciała?

- Pociągnęła mnie za sobą, mówiąc: „Nie możesz tu zostać, to niebezpieczne. Złe moce czają się w lesie”.

- Przecież byłeś w pałacu!

Zastanów się najpierw, dopiero potem mi przerywaj. To tylko sen! Usłuchałem jej i pobiegłem w stronę bramy. Soi z Ludzi Lodu zniknęła, ale uznałem, że dam sobie radę na własną rękę. I wtedy ta kobieta znów się na mnie rzuciła, przewróciła mnie na podłogę, otoczyła lodowatymi rękami i nogami, które wysysały ze mnie życie. Długie czarne włosy przylepiły się do mnie, przykuły do posadzki, widziałem jej czarne oczy i czerwone usta, rozchylone w uśmiechu wargi odsłaniały straszliwe zęby. W tym momencie się obudziłem, tak jak ty, i usłyszałem to dudnienie i szelesty, ale już na jawie. Najbardziej się jednak przestraszyłem, kiedy ujrzałem tę straszną kobietę znikającą wśród drzew. Naprawdę! I to nie była Soi z Ludzi Lodu, wyglądała całkiem inaczej. Soi nazwała ją Córką Mrozu.

Oczy Villemanna robiły się coraz bardziej okrągłe.

- To znaczy, że ta przerażająca kobieta naprawdę tu była? Stała i przyglądała się nam uśpionym?

- Nie wiem, Villemannie - odparł Dolg. - Muszę przyznać, że nie wiem.

- Uff - zadrżał młodszy brat. Dolg złapał go za ramię.

- Cicho! Ktoś tu idzie!

Na słowo „idzie” przebudził się Nero i już miał szczeknąć, lecz Dolg przytrzymał go za pysk i z gardła psa wyrwał się jedynie stłumiony pisk.

- Cicho, Nero - szepnął Dolg.

Ale psi ogon zaczął gwałtownie uderzać o ziemię. Nero popiskiwał z radości.

Bracia popatrzyli na siebie zdziwieni. Nero zna tę osobę! On się cieszy!

Kto mógł tutaj znać Nera? Nikt.

Wśród sosen ukazał się jeździec. Przystanął. Dolg i Villemann wstrzymali oddech.

Konny zsiadł z wierzchowca.

- Nero - rozległ się cichy głos. Poznali go, uszczęśliwieni.

- Ojciec! - wykrzyknął Villemann z radością w głosie. - Ojciec tutaj?

- Pst! - uciszył ich Móri i podszedł bliżej. Taran i Uriel także się obudzili, teraz naprawdę zaczęły się problemy z zachowaniem ciszy, zwłaszcza że Nero niemal oszalał z radości.

- Spakujcie swoje rzeczy - cicho nakazał Móri. - Musimy natychmiast stąd odejść!

- Dobrze, ale dlaczego...

- Gdzie Cień? I Strażnicy?

- Niedaleko - odparł Dolg. - Czy mam ich wezwać?

- Owszem, jeśli potrafisz uczynić to bezgłośnie.

Z tym Dolg nie miał najmniejszego kłopotu. Pięcioro Lemurów pojawiło się natychmiast.

- Wyjaśnij nam wszystko - poprosił Cień, przywitawszy się z Mórim.

- To ty tak dudniłeś i szeleściłeś, ojczy? - dopytywał się Villemann.

- Nie. Nie ja. O mały włos nie wpadliście w pułapkę. Przybyłem w ostatniej chwili.

- W pułapkę? - zdumiał się Villemann.

- Rycerze. To oni jadą leśnym traktem ciągnącym się na północ od nas, Mnią Ścieżką. Jest ich naprawdę wielu, możecie mi wierzyć. Bardzo wielu!

- Rycerze?
- Tak, Elsie.
- Elsie?
- Musisz powtarzać każde moje słowo? - Móri uśmiechnął się z czułością do młodszego syna. - Przy kro mi, Villemannie, że straciłeś iluzję co do swojej wielbicielki. Elsie była szpiegiem Zakonu. Słyszała wszystko, o czym rozmawialiśmy.
- Niiiee - Villemann zdębiał.
- Gotowa jestem ją zabić - syknęła Taran przez zęby.
- To już się stało - krótko wyjaśnił Móri. - Zamordowali ją rycerze. Chodźmy, trzeba się spieszyć, zanim wstanie świt i zdołają nas wytropić.
Ach, jak wspaniale mieć znów ojca przy sobie! Napłynął spokój i poczucie bezpieczeństwa. Prędko spakowali rzeczy.
- Skąd wiesz, ojcze, gdzie oni są? - zapytała Taran.
- Zauważyłem ich już na równinie Vastgota i od tamtej pory przez cały czas starałem się nie spuszczać ich z oka. Wysłałem Nauczyciela na przespiesze, podsłuchał, co planują. Zamierzają zastawić na was pułapkę.
- Ty i te twoje duchy! - z uśmiechem westchnął Villemann.
- Jesteśmy winni im wdzięczność - rzekł Cień.
- Wiem, wiem. Bardzo też jestem rad, że przybyłeś, ojcze, bo tym samym są z nami i one.
- Kto jest ważniejszy, ja czy duchy? - zapytał Móri z rozbawieniem.
- Na to pytanie nie odpowiem - zachichotał Ville - mann.
- W jaki sposób nas znalazłeś, Móri? - chciał wiedzieć Uriel.
- To zasługa pani powietrza.
- Widzisz - zwróciła się Taran do Villemanna, kiedy mocowali ostatnie pakunki u siodła. - Pewnie sam byś chciał mieć jakiegoś małego duszka.
- Przez całe życie nic innego mi się bardziej nie marzyło.
- Czy my się tobą nie opiekujemy, szaleńcze? - surowo spytał Cień.

Oczywiście - przyznał Villemann, dosiadając wierzchowca. - Ale czy nie mógłbym mieć własnego prywatnego ducha? Taką cudownej urody kobiecą istotę, spełniającą na moje skinienie każde polecenie? Niczego więcej nie wymagam. Móri, jadący przodem, skierował swego konia nie na północ, ku Mnisiej Ścieżce, lecz ku wschodowi, ku brzegom jeziora Wetter, w stronę przeciwną do zasadzki - Czekać tam sobie - mruknęła Taran z myślą o rycerzach, kiedy już ucichły śmiechy wywołane „skromny mi” życzeniami Villemanna. - Leżcie tam, aż zgnijecie, nie mamy zamiaru przyjmować waszego zaproszenia. Ale dlaczego się cofamy, ojcze? Przecież mniej więcej tędy przyjechaliśmy.

- Mniej więcej, to dobre określenie - pokiwał głową Uriel. - Możesz mi wierzyć, Móri, kręciliśmy się w kółko!

- Tego się obawiałem. W dodatku bez żadnego pożytku. Wcale nie powinniście wjeżdżać w Tiveden.

- Co takiego?

Móri opowiedział o odnalezionej mapie i drobnym błędzie, jaki musiał popełnić Ordogno Zły.

- Wielkie nieba! - jęknął Dolg. - Dzięki, że przybyłeś, ojcze!

- O ile znam ojca, to wyruszył bardzo chętnie. Móri roześmiał się nieco zawstydzony.

- Masz rację, Taran.

Poprowadził ich przez niemożliwy prawie do przebycia świerkowy las, lecz wydawało się, że wie, co robi. Przyzwyczajeni do jazdy w różnych warunkach po znakach w przyrodzie zorientowali się, że zmierzają cały czas na wschód.

- Rycerze nie mają chyba żadnej mapy Tiveden? - zastanawiał się Uriel.

Móri wahał się z odpowiedzią.

- Nie dałbym głowy - odparł wreszcie z pewnym zakłopotaniem. - Zrozumcie, w Theresenhof przyzwyczajeni jesteśmy do tego, by ufać ludziom, być może więc nie zachowałem dostatecznej ostrożności, jeśli chodzi o mapy, te z błędem. Elsie całkiem niedawno przybyła na dwór, Theresa przyjęła ją, ponieważ akurat

potrzebowaliśmy służącej, zresztą było nam jej żal. Wprawdzie prędko okazało się, że jako pokojówka jest nie do wytrzymania, ale nikt nie miał serca jej zwolnić. Teraz możemy mieć o to do siebie pretensje. Nie wiem, być może zostawiłem kopie na wierzchu...

- Cóż, jeśli nawet mają mapę, to oczywiście pojedą prosto do Tiersteingram, a nam to w niczym nie prze szkodzi - zauważyła Taran. - Bo my... No właśnie, co my robimy?

- Pokażę wam mapę, jak się rozwidni - obiecał Móri. - Najpierw musimy znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, oddalone od lasu, i spróbować się przespać do rana. Przed nami jakiś prześwit. Jedźmy szybciej!

Niczym mroczne cienie pomknęli po miękkiej ziemi. Nastąpiła najciemniejsza pora nocy, mimo to widzieli wszystko wyraźnie.

Skandynawska letnia noc, z tańcami elfów, lśniącoymi wodami i czekającymi w milczeniu lasami.

Obudziło ich poranne słońce i gra promieni odbitych w wodach jeziora Wetter.

Villemann ocknął się w świecie ponurych refleksji. Nie dawało mu spokoju, że Elsie tylko udawała zakochaną. Właściwie ta pokojówka mało go obchodziła, lecz kolejny raz przeżywał to, co zmieniało się w obsesję: Nie chciała go żadna dziewczyna.

Nie było to prawdą, durzyły się bowiem w nim całe tabuny młodych panienek, ale one nie miały dla niego znaczenia. Takie dziewczęta po prostu interesowały się młodzianami o ładnej buzi i zgrabnym ciele, uwielbiały sam stan zakochania, nie przejmując się szczególnie tym, kim jest obiekt ich westchnień.

Villemann pragnął czegoś więcej. Marzył o głębokim, szczerym porozumieniu między dwojgiem ludzi, o związku opartym na czułości i wzajemnej trosce, o kimś, komu mógłby w pełni ufać. Miał surowsze zasady niż Taran, nie chciał od razu iść do łóżka, w miłosnym spełnieniu widział kres długiego okresu wzajemnego poznawania, nie cel pierwszego spotkania.

Zaloty Elsie nie sprawiły mu przyjemności, bo wcale mu na tym nie zależało, ale fakt, że świadomie odgrywała przed nim teatr, ogromnie go dotknął. Czuł się wykorzystany, wystrychnięty na dudka, i nie potrafił nawet się z siebie śmiać. Może dlatego, że dziewczyną kierowały takie złe pobudki? Oszukała całą rodzinę, która tak życzliwie zajęła się nią w trudnym dla niej okresie. I nie poprawiała wcale sprawy świadomości, że również owe kłopoty były wymyślone.

W dobrze osłoniętym miejscu nad brzegiem Wetter zjedli bardzo wczesne śniadanie.

Mórego zainteresowały sny obu synów. I on odczytał je jako ostrzeżenie.

Wysłuchawszy ich opowieści, powiedział zamyślony:

- Historia Dolga jest najwyraźniejsza i najłatwiejsza do odczytania. Wierzę, że Soi z Ludzi Lodu chciała cię ostrzec, bo ja także spotkałem kilkoro członków tego rodu, którzy prosili, bym wzmógł czujność. Sądzę jednak, że i tę mroczną kobietę powinieneś uważać za sprzymierzeńca. I... wierzę, że widziałeś ją także na ja wie, w lesie Tiveden.

- Jak to wytłumaczysz? - zapytał Dolg. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, obejmując rękami kolana.

- Powiadasz, że Soi nazwała ją Córką Mrozu. Wszystko się zgadza co do joty. Widzicie, byłem tutaj przed laty i wówczas z pomocą przyszedł mi mały stary Fin, który mieszkał głęboko wśród kniei. Pokazał mi wizerunki swoich bogów i opowiedział o władcy lasu, Tapio, o najwyższym spośród bogów, Jumala, i jeszcze innych. Mówił także o Pohjola, północnej krainie chłodu. Pohjola miała córkę, nie pamiętam teraz jej imienia, niebezpieczną dla mężczyzn podróżujących po północnych krainach. Była niezwykle piękna, a zwano ją Córką Mrozu, właściwie Córką Lodowej Krainy, lecz określenia „Córka Mrozu” także można używać.

- Jak wyglądała? - cicho spytał Villemann.

Mogła przybierać wiele postaci. Biała jak śnieg lub też czarna i zimna niczym śmierć. Sądzę, że obaj spotkaliście właśnie ją, chociaż wyglądała za każdym razem inaczej.

- Ale Dolg ją widział.

- Tak, Dolg widzi wszak nie tylko to, co zwyczajne. Ona mieszka w tym lesie.

Próbowała was ostrzec, udało jej się zresztą was obudzić, kiedy źli ludzie przedzierali się przez jej las, mężczyźni, którzy chcieli was schwytać.

- Ale ona była zła! - oburzył się Villemann. - Jestem przekonany, że ta, którą ja widziałem, była zła, i ta, którą ujrział Dolg, także.

- Oczywiście - spokojnie odparł Móri. - Córka Pohjoli nie jest grzeczną panią. Najważniejsze jednak, że wam pomogła.

- No tak, to jasne - uspokoił się trochę Villemann i zaraz zachichotał: - Ciekawe, co zrobiła z rycerzami?

Móri uśmiechnął się.

- Na pewno przynajmniej przyśniły im się koszmarne sny.

- Bardzo miło z jej strony - cieszyła się Taran.

- Przyjrzymy się mapie i spróbujemy ustalić jakiś plan? - zaproponował Uriel.

Wszyscy się z nim zgodzili.

Znaczną część dnia poświęcili na odnalezienie zaznaczonego miejsca, położonego na zachód, a raczej na południowy zachód od Threden. Nie śmieli przeprować się prowadzącą na przestrzał przez Tiveden Mnią Ścieżką, tam bowiem czyhał wróg.

Znaleźli się teraz w lesie, nie tak wprawdzie dzikim jak Tiveden, lecz i tak przepastnym. Natrafili na jakąś zagrodę, spytali, czy nieużytki na północy należą do jej mieszkańców, i dowiedzieli się, że właścicielką tych obszarów jest samotna kobieta z miasta. Niedawno sprowadziła się do sąsiedniej zagrody, która do tej pory przez całe lata stała pusta...

Szkoda, pożałowali w duchu. Łatwiej by im było, gdyby tereny, w które zamierzali się zapuścić, nie miały właściciela.

Uriel zastanawiał się, czy można spytać tę kobietę o pozwolenie na wstęp na jej włości. Wieśniacy odpowiedzieli z rezerwą.

- Spytać nigdy nie zawadzi, ale ona jest... trochę dziwna. Trzeba używać rozumu,

kiedy się z nią rozmawia - oświadczyła chłopka.

Nie zabrzmiało to obiecująco.

Do zagrody wieśniaków weszli tylko Taran, Uriel i Villemann. Wyczuli, że chłopu coś jeszcze leży na sercu, zaczekali więc chwilę.

- Hm... A po co wam tam chodzić? - wydusił z siebie wreszcie. - O tej porze roku nie ma jagód.

- Mamy pewne szczególne powody, by przyjrzeć się otoczeniu w pobliżu góry - odpowiedziała Taran.

- Ach, tak? - Z oczu gospodarzy biła ciekawość, lecz także coś jeszcze. Co takiego? Niepokój? Lęk? - To nie jest dobre miejsce - stwierdzili.

- Co to znaczy? - dopytywał się Uriel. Chłop wbił w niego wzrok, ale głos mu drżał:

- Tam... Tam jest coś tajemniczego. Nikt chętnie tam nie chodzi, nie pytajcie dlaczego, bo nie wiem.

Villemann natychmiast się zapalił:

- Właśnie dlatego chcemy tam pójść! Przypuszczamy, że kiedyś, przed niezliczonymi latami, coś się tam wydarzyło. Jesteśmy badaczami i pragniemy to zbadać z historycznego punktu widzenia.

Chłop przełknął wyjaśnienie.

- Naprawdę? To bardzo interesujące. Dajcie nam znać, co znaleźliście. Chętnie poszedłbym z wami, lecz mam kłopoty z nogą.

Twojej nodze nic nie dolega, pomyśleli. Boisz się, przyjacielu, strach wprost z ciebie bije.

Obiecali, że poinformują go o znaleziskach, i odeszli.

Gdy oddalili się na tyle, że wieśniacy nie mogli ich już widzieć, Móri, wysłuchawszy relacji młodych, powiedział:

- Chcę zobaczyć to miejsce jeszcze dzisiaj!

- A kto nie chce? - odparł Dolg. - Zresztą nie mamy zbyt dużo czasu, zanim rycerze się zorientują, że wywiadaliśmy ich w pole.

- Rycerze mnie nie obchodzą - beztróska oświadczyła Taran. - Przez wiele dni

będą krążyć po Górtiven, jeśli nie zaczną kopać koło Tiersteingram. I skąd mogą wiedzieć, że jesteśmy akurat tutaj? To jak szukanie służącej i parobka w stogu siana.

- Chyba że uda im się rozpytać - przypomniał Dolg.

- Ale masz rację. Na razie nie stanowią zagrożenia.

Móri wyjął mapę i pokazywał na niej także okolicę.

- Jesteśmy bardzo blisko. To jest to wzgórze na wschodzie... A tu jezioro, które właśnie mijaliśmy. Wjedźmy w las!

- Czy nie powinniśmy najpierw spytać o pozwolenie? - nieśmiało przypomniał Villemann.

Móri znów przystanął.

- No tak, oczywiście. Villemannie, pójdziesz tą ścieżką do sąsiadki starych. A my...

- Chwileczkę - zaprotestował urażony Villemann.

- Wy będziecie prowadzić niezwykle interesujące poszukiwania, podczas gdy ja mam rozmawiać z jakąś dziwną starą damą?

Ale protesty na nic się nie zdały. Wszyscy sprzysięgli się przeciwko niemu. Musieli jednak obiecać, że przeprowadzą tylko wstępne rozpoznanie terenu i zaczekają na niego.

- A jeśli was nie odnajdę? - spytał z ponurą miną.

- Spotkamy się tu na rozstajach. Idź już, zaopiekuje my się twoim koniem.

- Tak, tak, zabierzecie mi konia, zabierzecie honor. Nie zamierzacie odebrać mi także szafiru?

Oczy Dolga zabłyśły, twarz mu się ściągnęła.

- Nareszcie coś mądrego! Kamienie! Że też wcześniej o nich nie pomyśleliśmy, przecież zawsze reagują w pobliżu czegoś, co ma związek ze Świętym Słońcem. Miałyby nam nie wskazać obecności samego Słońca?

Wszystkich ogarnął zapał. Jeśli jednak spodziewali się, że blask kamieni przeniknie przez skórę sakiewek, w których leżały, to się omylili. Dolg i Villemann wyjęli kule jednocześnie.

Przyglądali się im zdumieni.

Nigdy jeszcze kamienie tak nie wyglądały. Zmatowiały, zmartwiały, pozbawione blasku, niemal zszarzałe.

- Co to znaczy? - zastanawiał się Dolg z zawodem w głosie.

- Nie wiem - cicho odparł Móri. - Wygląda to, jak by... jakby się zamknęły? Jakby chroniły tajemnicę? Cieniu! Strażnicy!

Pięcioro Lemurów natychmiast się pojawiło; stali się niewidzialni, kiedy ludzie odwiedzali zagrodę. Móri zwrócił się do nich:

- Byliście Strażnikami kamieni w świecie, który istniał długo przed naszym. Co to może znaczyć?

- One chronią Słońce - odparł jeden ze Strażników. - Nie zdradzą kryjówki cudownego klejnotu.

- Nawet kiedy wy przy tym będziecie? I Cień? Albo Dolg?

- Nic nie skłoni ich do wyjawienia tajemnicy.

- Szkoda - mruknęła Taran.

- Tak myślisz? - zastanawiał się Dolg. - Przecież to do wodzi, że zbliżamy się do miejsca ukrycia złocistej kuli.

Temu nie dało się zaprzeczyć. Cień, gdy kamienie nie chciały wskazać im drogi, stał się uosobieniem rozpacz i z troskania, teraz na powrót się rozjaśnił.

Taran przyglądała się piątce. To prawdziwi Lemurowie, pomyślała. Chociaż nie najczystszej rasy jak najświętsi z nich, ci, którzy nie mieszały krwi z innymi i dzięki temu zachowali mądrość, której nie możemy pojąć.

Natomiast błędne ogniki Dolga należało by chyba nazwać Lemuroidami?

Będzie musiała omówić to później z Urielem. Jej mążonek, jako dawny mnich, był naprawdę uczony, wiele czytał. Dobrze poprosić go o pomoc, kiedy się nad czymś zastanawiała.

Villemann wciąż nie mógł pozbyć się rozgoryczenia z powodu roli, jaka mu przypadła. Nie pomagały zapewnienia, że na niego zaczekają.

- Powinieneś być dumny - próbował podnieść go na duchu Móri. - Przypomnij

sobie, co mówiła wieśniaczka: „Trzeba używać rozumu, kiedy się z nią rozmawia”. Dlatego właśnie wysyłamy ciebie.

- Nie drwij ze mnie - burknął Villemann, ale zaraz ponura mina rozplynęła się w uśmiechu. Villemann nigdy nie potrafił się długo gniewać ani złościć.

Ale wędrując leśną ścieżką poburczał jeszcze trochę o niesprawiedliwości. W sercu czuł nieprzyjemną pustkę.

Chyba tylko rodzina wiedziała, jak łatwo właściwie można zranić tego wesołka.

Skończyła prace na zewnątrz, oczyściła i opielila ogródek, przesadziła trochę leśnych kwiatów na rabatkę pod ścianą i wygracowała wysypaną żwirem ścieżkę.

Wróciła do chaty, umyła się i zaczęła przygotowywać samotny obiad.

Wkrótce będzie musiała wybrać się do miasta, kupić nieco więcej jedzenia i trochę brakujących w domu drobiazgów. Myślała o tym z przerażeniem. Tutaj, w lesie, czuła się taka swobodna, nikt na nią nie napadał, nie okazywał pogardy.

Tylko myśli, wspomnienia i pragnienia nie dawały spokoju.

Kiedy do drzwi rozległo się pukanie, poderwała się sploszona.

Któż to może być? Kto inny jak nie sąsiad?

A przecież wieśniak i jego żona nie wycierali jej progów. Mieszkała tutaj już od kilku tygodni, a widziała ich tylko raz, gdy wybrali się na obchód posiadłości.

Kiedyś zaprosili ją do siebie na skromny poczęstunek, lecz odmówiła, a potem przestali się odzywać. Szanowali jej życzenie, by zostawić ją w spokoju, a co o niej mówili, w ogóle jej nie obchodziło.

Otworzyła drzwi z taką rezerwą, jak tylko da się drzwi otworzyć.

Nawet najdrobniejszym grymasem nie zdradziła zaskoczenia. Jej twarz, o ile to możliwe, przybrała jeszcze bardziej kamienny wyraz.

Nie przywykła do patrzenia na tak przystojnego młodego człowieka. Nie widziała kogoś takiego od czasu... od czasu swego innego życia, tego, które już jej nie dotyczyło, zresztą tamten nie był nawet w połowie tak przystojny.

Odruchowo przybrała pozycję obronną.

Wesołe, życzliwie patrzące oczy spoglądały prosto w jej twarz spod grzywy

sterczących na wszystkie strony szalonych loków w rozmaitych odcieniach blond. Pięknie opalona twarz, w której bielą odcinał się uśmiech, emanowała szczerością. Roześmiane oczy. Silnie, pięknie zbudowane ciało w jasnoniebieskiej koszuli, podkreślającej jeszcze karnację skóry.

Ale uśmiech zgasł. W wyrazistym spojrzeniu nieznajomego pojawiła się niepewność, niedowierzanie i coś na kształt przerażenia.

Nic dziwnego, że Villemann przeżył wstrząs. To ona - kobieta ze snu!

Młodemu Villemannowi często zdarzało się zapominać, że i on jest synem czarnoksiężnika i że bez wątplenia odziedziczył po ojcu pewne zdolności. Na przykład prorocze sny.

Ta kobieta nieco się różniła od postaci z koszmaru. Była młodsza, gładkie, lśniące srebrzystoblond włosy opadały jej na plecy, miała wydatne kości policzkowe i zapadnięte ze zmęczenia oczy. Być może była ładna, trudno to stwierdzić przez chłód bijący z oczu i lodowaty, kamienny wyraz twarzy.

Jak to możliwe, by żywy człowiek tak bardzo przypominał posąg? zastanawiał się wstrząśnięty. Przecież ona wygląda jak... jak dziewica z lodu.

Albo... jak Córka Mrozu.

Nie miała w każdym razie niebieskobiałych dłoni z pazurami, nie biła też od niej lodowata mgła.

Poza tym jej podobieństwo do kobiety ze snu było naprawdę przerażające.

- Tak? - spytała głosem, przypominającym pobrzękiwanie lodowych sopli.

Villemann wziął się w garść.

- Przepraszam! Zapominam o dobrych manierach. Prędko się przedstawił, miał wielką ochotę dodać „von Habsburg”, lecz w porę ugryzł się w język.

Bąknęła coś w odpowiedzi, zrozumiał tylko imię, Maria.

- Jesteśmy grupą badaczy i sądzimy, że pani może mieć... eee... hm...

Jak do diabła powinien się wyrażać?

- Ee... że na pani terenie znajduje się historyczna... prehistoryczna pamiątka i...

Zebrał się na odwagę i czym prędzej wyjaśnił sprawę, z jaką przyszedł:

- Prosimy o pozwolenie na zbadanie tego miejsca. Kobieta przyglądała mu się podejrzliwie. A Villemann czuł się niezdarnie, wręcz głupio, kiedy tak stał na najniższym stopniu schodków i zadzierał głowę do góry, by patrzeć jej w twarz. Czy nie mogła zaprosić go do środka? Albo przynajmniej zejść z tych swoich wyżyn?

- Historyczna pamiątka? Tutaj?

- No, może nie pamiątka, lecz świadectwo, że coś się tutaj wydarzyło, bardzo, niesłychanie dawno temu.

- Zabytek?

- Można chyba tak to nazwać, zabytek z pradziejów.

- Gdzie to niby ma być?

- Koło jakiejś góry na północy. Przy bagnach.

Spostrzegł, że kobietę przeszedł dreszcz, wyraźnie pobladła. Wpatrywała się w Villemanna, wcale go nie widząc.

W jakiż to świat zaglądasz? zastanawiał się chłopak, z cieniem smutku i współczucia patrząc na tę kompletnie pozbawioną uczuć osobę. Jaka tajemnicę skrywasz? Czy jest równie głęboka i ciężka jak sekret Lemurów?

- Coś miałyby się tam wydarzyć? - wymówiła wreszcie te słowa suchymi wargami.

- Tak przypuszczamy.

Nieznacznie skinęła głową. Jej spojrzenie powędrowało w siną dał.

Villemann czekał. Wiedział, że nie może jej popędzać, inaczej cała sprawa źle się skończy.

Lodowy posąg znów się poruszył.

- Proszę wejść - powiedziała krótko.

Izba okazała się czysta i przyjemna, w czarnym kubku stały niebieskie dzwonki, przy kominku leżały gałązki jałowca. Poza tym jednak wnętrzu sprawiało wrażenie niezwykle nagiego, brakowało tu domowych drobiazgów, przydających ciepła. Jak gdyby jej mieszkanka postanowiła utrzymać surowość także i tutaj.

Zaprosiła go, by usiadł na ławie przy kuchennym stole.

- Może coś do picia? Sok z jałowca? Villemann się zawahał.

- Czekają na mnie, ale owszem, dziękuję, z przyjemnością się napiję.

Nalała do kubka. Sok rzeczywiście był dobry i Ville - mann nie omieszkał jej o tym powiedzieć. Kobieta zaraz się odwróciła. Może chciała poprawić coś przy kominku?

Zaczął ostrożnie:

- Proszę mi wybaczyć, lecz spostrzegłem pani reakcję, kiedy wspomniałem o tym miejscu. Czy pani coś na ten temat wie?

- Nie - odparła poruszona i zaraz dodała tak chłodno, że Villemann nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż zimno przenika go do szpiku kości: - Byłam tam zaraz pierwszego dnia po tym, jak się tu sprowadziłam, panie Villemannie, jestem trzeźwo myślącą osobą, lecz to miejsce jest...

Szukała odpowiedniego słowa. Villemann podsunął:

- Zaczarowane? Kobieta zdrętwiała.

- Pan to powiedział.

Villemann na chwilę stracił rezon. Nagle coś przykuło jego uwagę:

List, wyrzucony do kubła ze śmieciami. Zdołał jednak przeczytać nagłówek: „Do Marii Stenland” i dalej adres leśnej zagrody.

Na tym jednak nie koniec. Po imieniu i nazwisku adresatki dopisano wyraźnymi literami: „Córka Mrozu”.

Villemann poczuł, że wzdłuż kręgosłupa przebiega mu zimna jaszczurka strachu. Przeniósł spojrzenie na kobietę i zobaczył, że spięła włosy w węzeł na karku. Nie mógł powstrzymać się od okrzyku:

- Jaka szkoda!

Popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

- Pani ma takie piękne włosy, zwłaszcza kiedy są rozpuszczone.

- To nie uchodzi - oświadczyła gniewnie. Villemann wrócił do sprawy, którą polecono mu załatwić.

- Co więc mam przekazać swoim towarzyszom? Czy możemy zająć się

zbadaniem tego miejsca?

Zawahała się.

- Co pan rozumie przez zbadanie? Jakież większe wykopaliska?

- Na razie pragniemy rozejrzeć się po terenie, sprawdzić, czy jest to właściwe miejsce. O ewentualnych wykopaliskach możemy porozmawiać później, może wcale nie okażą się konieczne. Poza tym mam na imię Ville - mann, nie wiem, co znaczy „pan”.

Na twarzy gospodyni odmalowała się surowość mówiąca wyraźnie: Nie życzę sobie poufałości!

- Otrzymałam bardzo skromne wyjaśnienia. Wciąż nie wiem, czego właściwie tam szukacie.

Przyparła go do muru!

- Chętnie objaśnię to bliżej, kiedy będziemy więcej wiedzieć - odparł wymijająco. -

Na razie wszystko jest takie mgliste.

- To nie jest zadowalająca odpowiedź.

Kobietę, myślał zasmucony Villemann. Co sprawiło, że jesteś taka zimna?

- Nie przypuszczam, abysь uznała odpowiedź za zadowalającą, nawet gdybym się bardziej zagłębił w temat.

Spostrzegł, jak zeszywniała, kiedy zwrócił się do niej na ty, ale wcale się nie przejął. Coś w niej prowokowało go do takiego postępowania, budziło pragnienie złagodzenia jej chłodu. A tego nie da się osiągnąć utrzymując dystans, jaki stwarzają tytuły i formy „proszę pana” i „proszę pani”.

- Uważam, że cała ta historia brzmi dość niespójnie - orzekła surowo. -

Poszukujecie skarbów? W takim razie przypominam, że to teren prywatny.

Wiem o tym - westchnął Villemann. - I oczywiście masz pełne prawo wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Lecz jeśli miejsce jest niewłaściwie wybrane, niepotrzebnie wciągniemy cię w taką zawiłą aferę. Nie wiem, jak mam odpowiedzieć na pytanie o poszukiwanie skarbów. Nie chodzi o pieniądze czy bogactwa.

- O cóż więc?

Villemann zacisnął usta. Najchętniej by stąd odszedł, musiał jednak uzyskać jej zgodę.

Przyglądała mu się badawczo, z gniewem.

- Inne pytanie: Powiedział pan przed chwilą, że zwrócił uwagę na moją reakcję. Ale pan także gwałtownie zareagował na mój widok. Dlaczego?

- O Boże, ta rozmowa staje się coraz trudniejsza - jęknął Villemann. - Gdybym wyjaśnił, uznałabyś, że jestem niespełna rozumu.

- Już tak uważam. Więc jak? Westchnął.

- Przysniłaś mi się dziś w nocy. Kobieta oniemiała.

- A we śnie nazwano cię „Córka Mrozu”. Odskoczyła o kilka kroków.

- Znasz mnie?

Nareszcie zwróciła się do niego na „ty”!

- Ależ nie! Zauważyłem jednak adres na liście, który tam leży, i to mnie przeraziło.

Kim ty właściwie jesteś?

Na ułamek sekundy spod maski ukazało się nagie oblicze samotnej kobiety. Zaraz jednak jej twarz na powrót zlodowaciała.

- To moja sprawa. A ponieważ nie mogę od ciebie wyciągnąć żadnej rozsądnej odpowiedzi, żądam, abyś zaprowadził mnie do swoich towarzyszy.

- Nie! - wyrwało się z głębi serca Villemannowi. Po myślał o Dolgu, swoim ojcu, Cieniu i czworgu Strażników. Uriel też nie był zwyczajną osobą.

- Uważam, że powinienes teraz opuścić mój dom, a pozwolenia na oglądanie mojej posiadłości nie udzielam - oświadczyła bardzo, ale to bardzo stanowczo. Wtedy Villemann się poddał.

- Dobrze, spróbuję ci co nieco wyjaśnić, lecz nie sądzę, byś zrobiła się od tego cokolwiek mądrzejsza.

Usiadła naprzeciwko niego. Villemann starał się nie okazać zadowolenia, kiedy ukradkiem rozpuściła włosy.

- Słuchaj więc - rozpoczął. - Bez względu na to, co sobie pomyślisz, wszystko, co

ci opowiem, jest najprawdziwszą prawdą. Jeśli chcesz, mogę przysiąc na Biblię.

- Mów!

- W czasach tak odległych, że trudno nam to objąć rozumem, żyło na Ziemi plemię zwane Lemurami. Lemurowie mieli wysoko rozwiniętą kulturę, lecz ich królestwo uległo zagładzie. Znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Zanim zniknęli, czy może, jak wolisz, wymarli, ukryli bezcenny klejnot. Właściwie jednak oni nie umarli, nie całkiem. Ci, którzy pozostali, poszukują owego klejnotu od dziesiątków tysięcy lat. Bez rezultatu. Co więcej: pewien zły zakon rycerski zwęszył sprawę i także go szuka. Ja i moi przyjaciele stoimy po stronie dobra, wierz mi. Staramy się pomóc Lemurom.

- Wierzę - szepnęła patrząc w jasne, szczerze oczy chłopca. - W każdym razie jak do tej pory.

- Dziękuję! Pierwszy raz okazujesz mi zaufanie.

- Uważacie, że ten klejnot znajduje się tutaj?

- Tak przypuszczamy. Widzisz, Lemurowie, doskonale obeznani z magią, najpewniej otoczyli kryjówkę ochronnym murem. W ten sposób nikt nie śmie się tam zapuścić.

Villemann spostrzegł, że kobieta walczy ze sobą. Wprawdzie nie zrezygnowała z odpychającej surowości, lecz w jakiś sposób potrafił odczytywać, o czym myśli. Ona była w tym miejscu. Sądząc z jej skąpej odpowiedzi, do góry bardzo trudno się zbliżyć, jeśli w ogóle jest to możliwe.

Teraz prychnęła.

- Nie jestem przesądna. Wyjaśnij mi, co tam jest na prawdę.

- Przecież właśnie to robię - powiedział Villemann, okazując anielską cierpliwość. -

Nie zgodziłem się, abyś poznała moich przyjaciół, a to dlatego, że towarzyszą nam Lemurowie. Dla nas są bardzo życzliwi, lecz komuś, kto „nie jest przesądny”, mogą wydać się przerażający. To, co trudno pojąć, często budzi lęk.

Powiedział to tylko po to, by ją zirytować, sprawić, by w podnieceniu zapomniała o swym lodowatym stosunku do świata.

Przeliczył się jednak. Kobieta popatrzyła na niego chłodno, lecz pozwoliła przynajmniej obejrzeć teren.

- Daleko nie uda wam się zajść - oświadczyła na koniec gniewnie, nie bez triumfu w głosie.

Villemann wstał i podziękował. Obiecał wrócić i zdać jej sprawozdanie.

- Możesz sobie tego oszczędzić - powiedziała Maria obojętnie. - I tak niczego nie znajdziecie.

- No cóż - odparł wciąż z uśmiechem Villemann. - Wobec tego przyjdziemy tylko, jeśli potrzebne nam będzie pozwolenie na kontynuowanie badań.

Nie znalazła na to żadnej odpowiedzi. Demonstracyjnie zamknęła za nim drzwi.

Przekłęta złoźnica, myślał Villemann wędrując lasem. Lodowa dziewica!

Dobrze wiedział, jaką kurację zaleciłaby dla niej Taran, lecz on nie wyrażał się tak dosadnie jak siostra. Zachowanie kobiety zastanawiało go, nie wierzył, by w głębi ducha była taka naprawdę.

Musiało się stać coś, co wywołało jej wrogi stosunek do całego świata.

List? Kto nazwał ją Córka Mrozu? Oczywiście, że ma to związek z wciąż żywymi w tych okolicach dawnymi fińskimi wierzeniami. Większość mieszkańców musi je znać. Ale dlaczego tak ją nazywano? Kryje się za tym coś więcej niż tylko jej chłód.

Oto i przyjaciele. Obrzucili go wymówkami za to, że kazał im czekać tak długo.

Wybaczyli mu jednak, bo przecież przyniósł pozytywną odpowiedź.

Właściwie dzień miał się ku końcowi, lecz przecież była pełnia lata i migotliwe światło wieczoru zalewało okolicę. Któż by się bał ciemności?

Ruszyli przez las ścieżką, która stopniowo zanikała. Tam, gdzie gęste świerki zastąpiły rosnące na piasku strzeliste sosny, uwiązali konie.

Stanęli na skraju bagniska.

Po jego drugiej stronie ujrzeli górę, przyczajoną, tajemniczą.

Szła ich teraz cała grupa, Cień i Strażnicy ujawnili się. Zmęczony Nero nie węszył już z takim zapalem. Zatrzymał się koło swoich państwa i jak oni patrzył na

moczary.

Wszyscy czuli to samo: Było tu coś trudnego do określenia. Ogarnęła ich ospałość, niechęć do dalszej wędrówki.

Noli me tangere.

„Nie dotykaj mnie”.

- Wygląda na to, że na środku moczarów jest bardzo grząsko - stwierdził Móri. -

Raczej nie powinniśmy próbować przez nie przechodzić.

- To prawda - przyznał Cień. - Lepiej obejść je brzegiem.

- Tak.

Głosy na pustkowiu brzmiały tak samotnie. Przed ich oczyma rozpościerał się ponury, nieprzyjemny obraz. Nic nie sprawia wrażenia bardziej opuszczonego niż bagno na pustkowiu. Kolory wydawały się tu chorobliwe, skąpa żalosna roślinność, niebo wysokie i odległe. Ale było tu coś jeszcze.

- Ciekaw jestem, czy ktoś kiedykolwiek podszedł do tej góry - mruknął Dolg.

- Ktoś musiał tamtędy chodzić - odparł Villemann. - Bo przecież tam się ciągną granice posiadłości Marii Stenland.

- Na pewno po prostu je ustalono - podsunęła z pozoru beztrosko Taran, lecz wszyscy zauważyli, że i ona nie oparła się wpływowi nastroju tego miejsca.

- W każdym razie drzewa dobrze tam rosną - zauważył Uriel. - Nie jest to więc całkiem martwa okolica.

- Owszem, ale na takich wzniesieniach zwykle gnieździ się mnóstwo ptaków, zwłaszcza drapieżnych - przy pomniał Móri. - A ja nie dostrzegam najmniejszego na wet śladu życia.

- Nie mam ochoty tam iść - mruknął Villemann.

- Ja też nie - zgodził się z nim ojciec. - Lecz nie możemy chyba tak po prostu się wycofać teraz, kiedy stoimy u celu?

- A czy tak naprawdę jest? - spytała Taran z ponurą miną. - Ja mam wrażenie, że trafiliśmy jakby w całkiem niewłaściwe miejsce. Z tego otoczenia wprost bije wrogość!

Nero podniósł łeb i zaczął łowić zapachy napływające od strony góry. Zawył nagle i z podkulonym ogonem zawrócił do lasu.

- Idę z nim - oświadczył Villemann.

Móri złapał młodszego syna za kołnierz i mocno przytrzymał.

- Nigdzie nie pójdziesz! Nero, wracaj! Wystraszony pies niechętnie usłuchał.

- Ja też mam podkulony ogon - przyznała Taran. - Pocięszam się tylko tym, że są z nami Strażnicy. Przecież właśnie ze względu na nich Słońce wciąż pozostaje na Ziemi.

- Wielu z nas dodałaś odwagi tymi słowami - uśmiechnął się Dolg.

Taran pokraśniała z radości. Do stu piorunów, zaklęła w duchu. Jestem dorosłą, szacowną, zamężną kobietą, a tak mnie cieszy pochwała!

Ale pochwały z ust Dolga zawsze miały szczególne znaczenie, nie rozdawał ich na prawo i lewo. Zresztą zawsze oszczędzał słów.

Jeden ze Strażników uśmiechnął się ze smutkiem:

- Oczywiście, macie rację, mówiąc, że Słońce zostało tutaj ze względu na nas, ale to nie jest takie proste. Mu sicie pamiętać, że nas czworo pozostawiono na straży przy szafirze i farangilu...

- Rozumiem - domyślił się Dolg. - Ponieważ te dwa kamienie otrzymały straż, można założyć, że przy o wie le cenniejszym Słońcu także czuwa Strażnik, jeden albo kilkoro.

- Właśnie. Problem polega tylko na tym, że nie mógł to być nikt z nas, my czworo jesteśmy ostatnimi Strażnikami, jacy pozostali. Cieniu... Byłeś wówczas na tym brzegu. Jak to wyglądało?

- Rzeczywiście, byłeś tutaj! - wykrzyknęła Taran. - Ale czy to naprawdę tu? Czy to ten brzeg? Nad morzem, które nie istnieje?

Cień nachylił się, podniósł garść piachu i pozwolił, aby wolno przesypał mu się przez palce.

- Gdyby to nie było to miejsce, dawno bym stąd od szedł. Tak, to jest ten brzeg. Przydryfowaliśmy z południa, z tej strony, gdzie teraz stoimy. Ze statku zostało

zaledwie kilka marnych desek. Niektórzy nie mieli się czego przytrzymywać, musieli płynąć. Las i rozciągające się przed nami bagnisko były wówczas morzem. Tam przy górze znajdował się brzeg, pozbawiony drzew, pusty brzeg morza. Tam właśnie wyszliśmy z wody.

- Tak jak przedstawia to relief na kielichu - mruknął Móri.

Villemann protestował:

- Przecież sosnowy las na piaskach, w którym teraz stoimy, położony jest na tej samej wysokości, co tam ten „brzeg”.

Cień spojrzał na niego.

- Pamiętaj, co opowiadał nam uczoney, który przybył do Theresenhof. Kiedy łód się cofał, ład podnosił się z powrotem. Ta okolica obniżała się i podnosiła niezliczoną ilość razy, Villemannie! Nie wiadomo, gdzie skorupa ziemska się podniosła, a gdzie opadła.

- Dobrze, rozumiem. Ale przerwałem ci. Miałaś opowiadać o Słońcu. Kogo wyznaczono, by nad nim czuwał?

Cień przymknął oczy.

- Nie wiem, Villemannie. Byłem przerażony, zdezorientowany i zmęczony pływaniami w zimnej wodzie. Kiedy wreszcie poczułem stały grunt pod stopami, wyczołgałem się i upadłem, bliski omdlenia. Głosy innych dobiegały do mnie z daleka, jak z pustej beczki, nie rozumiałem, co mówią, dopóki nie podszedł do mnie jeden z najstarszych i nie zawołał mnie po imieniu. „Jesteśmy gotowi, by opuścić ten świat, wyruszyć do świata naszych przodków - obcych. Przygotuj się!”
Cień ukrył twarz w dłoniach.

- Byłem jednak zbyt zmęczony, by to zrozumieć. Miałem jedynie świadomość, że jako najsilniejszy muszę wyciągnąć moich pobratymców na brzeg. Trzymałem linę, do której końca przywiązano wrak statku, a oni się go czepiali. Nie miałem siły i myśli o dalszej męczącej wędrówce czy też innym sposobie przemieszczania wydawała mi się nieznośna. Zawołałem: „Nie, nie”, i powlokłem się jak najdalej od tego miejsca. Mam mgliste wspomnienie, że Słońce znalazło się na jakimś

podwyższeniu, na cokole czy też stosie kamieni, nie wiem, bił bowiem ód niego płomienny, roziskrzony blask, który oślepiał, a powietrze aż huczało od wibracji. Pamiętam, że prosiłem, by na mnie nie czekali, bo skoro wreszcie znaleźliśmy się na stałym lądzie, ja zostaję.

- To znaczy, że nie wiesz, kto pełni straż przy Słońcu?

- Nie. Nikt nie mógł podjąć się takiego zadania. Na chwiejnych nogach odszedłem stamtąd, wspiąłem się na szczyt tej góry. Tam przystanąłem, żeby na nich popatrzeć, lecz oni już zniknęli. Brzeg był pusty, po moich pobratymcach nie pozostał żaden ślad. Tylko fale monotonicznie biły o brzeg, tym samym rytmem od tysięcy lat.

Chyba nie, pomyślał Móri, przecież ten okres w historii Bałtyku był dość krótki.

Postanowił jednak nie wygłaszać takich komentarzy.

Cień zamyslił się, ściagnął brwi, spuścił głowę.

- O czym myślisz, szlachetny przyjacielu? - życzliwie spytał Móri.

- Zastanawiam się, czy jednak mimo wszystko czegoś nie widziałem - odparł Cień. - Być może pamięć płata mi figle, może to wpływ tylu lat gorących pragnień zobaczenia czegoś, ale wydaje mi się, że w ostrym blasku Słońca ujrzałem na brzegu jakąś obcą istotę. Moi pobratymcy korzystali z jej pomocy. Być może wywołali ją magicznymi zaklęciami albo też sprowadzili z tego miejsca lub z okolicy.

- Jak ona wyglądała? - cicho spytał Uriel.

- Wiem jedynie, że była wielka. A może był to ktoś z mego ludu, który w tym świetle sprawiał wrażenie o wiele większego? Może w ogóle niczego nie widziałem? Nie potrafię tego powiedzieć.

- Spróbujemy pójść dalej? - zaproponował jeden ze Strażników.

Otrząsnęli się z zamyślenia i ruszyli wzdłuż brzegów bagniska.

Okazało się, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Nogi nie chciały ich słuchać.

Musieli zmuszać je do kolejnych kroków i wszyscy bez wyjątku mieli te same kłopoty. Odnosili wrażenie, że przed nimi wznosi się gruby, rozciągliwy mur,

sięgający głęboko w ziemię. Przedzierali się naprzód, krok po kroku. Nero się poddał. Usiadł na ziemi i piszczał.

- Dobrze, piesku, zaczekaj tutaj - powiedział Dolg łagodnym głosem, jakim zawsze zwracał się do psa. - Nie długo wrócimy.

Odwróciwszy się, zauważył coś, podniósł głowę.

- Kto to jest?

Popatrzyli za jego wzrokiem. W miejscu, które opuścili, dostrzegli prostą jak struna kobietę o długich jasnych włosach.

- To Maria - ucieszył się Villemann. - Chodź! - za wołał do niej.

Ona jednak gestem dała im znać, że nie podejdzie. Najwyraźniej nie podobało jej się, że została zauważona. Wciąż jednak stała w miejscu. Villemann zamachał do niej wesoło.

- Prędko zaczęłaś jej mówić po imieniu - zauważył cierpko Móri.

- To jednostronne - równie cierpko odparł Ville - mann. - Bardzo jednostronne.

- Wygląda na bardzo piękną.

- Z daleka. O wyraz jej twarzy można się poranić. Kontynuowali mozolną wędrówkę, lecz w pewnej chwili nadszedł jej kres. Nie mogli się ruszyć z miejsca. Żadne z nich, nawet Lemurowie.

Omówiwszy tę sprawę między sobą, doszli do wniosku, że pora jest już późna.

Nie chcieli podejmować ryzyka nocnej wędrówki, kiedy ciało jest zmęczone, a umysł podatny na działanie wszelkich nadprzyrodzonych, siejących grozę zjawisk.

Jeden ze Strażników stwierdził:

- Zanim w ogóle możemy zacząć myśleć o Słońcu, musimy oczyścić z magii całą tę okolicę.

Zawrócili tam, gdzie rosły sosny. Maria Stenland sprawiała wrażenie, że nie może się zdecydować, czy ma odejść, czy też czekać, by móc wypowiedzieć owo boskie: „A nie mówiłam”.

Została, ale nie odezwała się ani słowem, tylko z wyrazu jej twarzy mogli zgadywać, co myśli.

Villemann już z daleka spostrzegł, jak wielkie zdumienie wzbudzili jego towarzysze. Cofnęła się nieznacznie na widok Strażników, Dolga i Cienia, lecz jednak milczała. No cóż, przecież ostrzegł ją wcześniej, a poza tym Maria Stenland nie przywykła do okazywania uczuć.

Rzeczywiście Villemann miał rację.

Maria oddychała głęboko, by nie pokazać po sobie, jak bardzo się przeraziła. Cóż to za stwory, nie przypuszczała, by Villemann mówił poważnie, opowiadając o wymarłych rasach, lecz ci...?

Najbardziej wstrząsnął nią sposób, w jaki rozmawiali. Ci, których przedstawił jej jako Strażników, mówili całkiem niezrozumiałym językiem, niepodobnym do niczego, co mogło wydobywać się z ludzkiego gardła. A jednak ludzie rozumieli ich i odpowiadali w swoim własnym języku. To znaczy po norwesku z silnym akcentem, jak Villemann. Przypuszczała, że on jest Norwegiem, posługującym się jakimś niezwykłym dialektem. Teraz opowiedział jej o swym dość zawiłym pochodzeniu. Matka Norweżka, ojciec Islandczyk, a babka Austriaczka. W porównaniu z tym fakt, że była „tylko” Szwedką, wydawał się mało imponujący. Trudno jej było zrozumieć, że ten Dolg - co za imię! - jest bratem Villemanna. Znacznie bardziej przypominał Strażników i olbrzymiego Cienia.

Zauważyli widać jej zmieszanie, bowiem siostra Villemanna, Taran, miła, a zarazem troszkę złośliwa, obdarzona chyba jeszcze większym poczuciem humoru niż brat, uczyniła coś dziwnego. Wyjęła z kieszeni jakiś przedmiot i umocowała go na ramieniu Marii.

- Teraz dobrze - powiedziała. - Będziesz rozumieć, co mówią. Sama mów po szwedzku, oni cię rozumieją.

Jak, na miłość boską, można zachować dostojny spokój w obliczu tylu szokujących wrażeń?

Prawdę mówiąc Maria nie zdawała sobie sprawy, że to, co ona sama uważa za dostojny spokój, przez otoczenie odbierane było jako mrozący uczuciowy chłód.

Przyglądała się im niepewnie. Mówili, że mają zamiar nocować pod gołym

niebem, ale ta elegancka młoda Taran nie powinna przecież spać w lesie.

Jacyż oni dziwni! Wszyscy, nie tylko Lemurowie. Również ojciec Villemanna i mąż Taran wydawali się w pewien sposób... niezwykli, żeby nie powiedzieć, dziwaczni. Bardzo życzliwi i uprzejmi, lecz sprawiali wrażenie, że nie są prawdziwymi ludźmi. Wcale jednak się ich nie bała.

Nie była pewna, czy wszystko to jej się nie śni. Byłoby to najbardziej naturalne wytłumaczenie.

Ów wielki Cień mówił coś do nich, a ona teraz rozumiała każde jego słowo:

- Coś się tutaj nie zgadza. Strażnicy pokiwali głowami.

Nie mają chyba na myśli mnie, pomyślała Maria.

- Co? - spytał Dolg, ten o dziwnych oczach. - Co się nie zgadza?

Odpowiedział jeden ze Strażników i chociaż jego język przedtem pozostawał kompletnie niezrozumiały, teraz Maria pojmowała każde słowo. Bardzo szczególne przeżycie!

- Ten mur to nie nasza taktyka - oświadczył mężczyzna, czy też może raczej powinna nazwać go istotą. - Wy daje mi się, że Słońcem interesuje się ktoś jeszcze.

- To samo przyszło mi do głowy - stwierdził Cień. Popatrzyli na moczary. Strażnik wyjaśnił:

- Opisano nam, w jaki sposób możemy otworzyć magiczne zamki wokół Świętego Słońca, ale nie wspomniano, że tak wielki obszar miałby być przed nami zamknięty. Owszem, może dla zwykłych ludzi, lecz nie dla nas.

Dolg odezwał się melodyjnym głosem:

- Nie sądziłem, że Święte Słońce jest złe.

- Masz rację, Dolgu - powiedziała jedna ze Strażniczek - Nasze Słońce nie jest złe, natomiast opór, jaki tutaj napotykamy, bez wątpienia wywodzi się ze zła.

- Chcesz powiedzieć, że Słońca nie ma tutaj? - spytał Uriel. - Że zwabiono nas na mylny trop?

- Słońce znajduje się w pobliżu - oznajmił Cień. - Ale coś się tutaj czai.

- Czyha na skarb - uzupełnił Strażnik.

- Coś się uczepiło Słońca - w zamyśleniu pokiwał głową Uriel. - Mogło się to wydarzyć później, właściwie w każdej chwili.

- To prawda - powiedział Cień.

Marii po głowie krążyły, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej szokujące myśli. To mój las, moje bagno, moja góra, myślała. A niczego nie pojmuję.

Dlaczego Strażnik mówił „to” o tym, co się czai? O co im chodzi z tym Słońcem?

Czy Słońce to skarb, o którym wspomniał Villemann? Ukryty klejnot Lemurów?

Co się z nią dzieje? Stoi wśród istot, które odnoszą się do niej z taką życzliwością.

A ona na to pozwala. Przecież zawsze uważała, że potrafi obronić się przed cierpieniem, odgradzając się od wszystkich ludzi i wszystkich uczuć. Teraz zrozumiała to, co powinno do niej dotrzeć już dawno temu: że interesując się problemami innych, zapomina o własnych. Nawet przez chwilę nie pomyślała o swoich strasznych przeżyciach.

I chyba właśnie to spowodowało, że zachowała się w sposób, jakiego nigdy by się po sobie nie spodziewała. W momencie, kiedy dyskutowali między sobą, gdzie rozbić obóz na noc, usłyszała własny głos:

- Nie musicie przecież spać na dworze, w moim do mu jest kilka izb.

Nikim te słowa nie wstrząsnęły bardziej niż samą Marią.

Uplynęło już pół nocy i dopiero teraz Maria pogodziła się z myślą, że nie wypocznie jak należy, jeśli w ogóle uda jej się zasnąć.

Goście z wdzięcznością przyjęli jej propozycję i wieczór upłynął na gorączkowym rozdzielaniu miejsc i pościeli. Młoda para miała spać w małżeńskim łóżu babci i dziadka, natomiast pięcioro Lemurów nie potrzebowało żadnych pościeli, gdyż, jak twierdzili, w ogóle nie śpią. Maria przekonała się, że mówili prawdę, kiedy późnym wieczorem po prostu zniknęli. W jednej chwili stali przed nią, w następnej już ich nie było. Móri, czarnoksiężnik, jak opisał go Villemann i chyba raczej powinna w to uwierzyć, nocował w jednej gościnnej izbie, drugą zajęła ona sama, a synowie i pies ułożyli się na podłodze w saloniku.

Na wpół zarośnięte pastwisko w jednej chwili zapełniło się końmi. Goście wyczerpani trwającą wiele dni jazdą zasnęli prawie natychmiast po skromnej kolacji, którą przyrządziła z ubogich zapasów. Mieli też własny prowiant i serdecznie się z nią dzielili.

Zasnęli, lecz Maria do tej pory nie zmrużyła oka.

Wszystko w jej życiu tak nagle się odmieniło. Ogarnęła ją radość i podniecenie, koniuszki palców drżały z nieznanego niepokoju. Tylu ludzi i tyle zwierząt wokół niej, przywykłej do absolutnej ciszy i samotności!

Przeniosła się do leśnej zagrody, uciekając przed ludźmi. Wydawało jej się, że w ten sposób zdoła uciec przed samą sobą.

Teraz naprawdę musi już wybrać się do miasta, żeby kupić więcej jedzenia. Może zostaną dłużej?

Ta myśl cieszyła ją, ale przede wszystkim napawała lękiem. Maria bała się, że straci kontrolę nad zamkniętymi w głębi mózgu myślami.

O dziwo, w najczarniejszej porze nocy zasnęła na godzinę, ale kiedy się obudziła, niespokojnie kręciła się w łóżku. Postanowiła wstać.

Ubrała się bezszelestnie i wymknęła na dwór.

Krople rosy igrały w migotliwym tańcu na trawie, liściach i pajęczynach. Świt był szary, lecz przesycony piosenką ptaków. W lesie jakieś większe zwierzę krzyczało trochę głośniej.

Nie wiedziała, czy słońce już wstało, czy też nie, pokrywa chmur bowiem zawisła nisko, zlewając się niemal z mgłą unoszącą się nad jeziorem i łąkami.

Maria nie mogła zaprzeczyć, że przeżyła, tutaj pełne strachu noce. Wyprawa nad bagno, jaką podjęła pierwszego wieczoru, zakłóciła jej duchową równowagę. Owo ciężkie, niesamowite, które tam tkwiło, zaczęło powracać w koszmarach sennych, zwidywały jej się macki, wyciągające się po nią i jej zagrodę, by zamknąć ją w duszącym uścisku.

Nagle poczucie bezpieczeństwa ogrzało jej duszę. Dom pełen był życzliwych ludzi, silnych, niestrachliwych.

Drgnęła gwałtownie. Dlaczego nagle stała się taka słaba? Przecież do tej pory jej okaleczoną duszę otaczał pancierz stali, lodu i kamienia. Już dawno doszła do wniosku, że popełniła błąd, szukając samotności w lesie.

A teraz jeszcze ci ludzie tak blisko! Nie była pewna własnych reakcji. Bardzo skomplikowane uczucie.

Zdrętwiała. Ktoś wyszedł za nią na schody. Kroki na żwirze, po trawie... Maria poczuła, jak napinają jej się wszystkie mięśnie, każdy nerw. Włosy? Czy są w porządku? Czy ma na sobie dobrą spódnicę? Zadrżała.

Ale to nie był Villemann, lecz jego brat, ten niezwykły Dolg. Maria poczuła ulgę i zarazem rozczarowanie, i trochę strach.

Zatrzymał się tuż przy niej.

- W piękniejszym miejscu nie można chyba mieszkać - odezwał się swym fascynującym głosem.

- To prawda, pięknie tutaj - odparła krótko, chociaż słysząc jego słowa poczuła szczerą wdzięczność.

- Spójrz - szepnął, nie poruszając się. - Dwie sarny. Zrozumiała, że zwierzęta stoją tam już od dawna.

- Nie zauważyłam ich.

- Obecność dzikich zwierząt trzeba wyczuwać - cicho powiedział Dolg. - Pod schodami szopy jest jeź.

- Naprawdę? Nic nie widzę.

- Ja też nie, ale on tam jest.

- Wobec tego muszę wystawić mu mleko.

- Zrób tak, to wyjdzie o zmierzchu. Wbrew swej woli spytała:

- Czy są tu jeszcze jakieś zwierzęta?

- O, tak. W brzozowym zagajniku bawią się młode zajączki. Spójrz, tam biegnie jeden.

- Rzeczywiście.

- A po skraju lasu kręci się lis, ale on się nie pokaże.

- A łosie?
- Akurat teraz w pobliżu nie ma żadnego, lecz przy puszczam, że chętnie przychodzą do tego pięknego dębowego lasu z lewej strony jeziora.
Popatrzyła na niego bliska gniewu.
- Czy ty także jesteś czarnoksiężnikiem? Jak twój ojciec?
- Dolg uśmiechnął się leciutko.
- Nie tak dokładnie. Mam inne... zdolności. Chociaż chyba można nazwać mnie czarnoksiężnikiem. Czy to cię przeraża?
- Nie, a dlaczego miałoby tak być? - odparła zaczepnie. Teraz z kolei on popatrzył na nią z boku.
- Jesteś Finką, prawda?
- Skąd wiesz?
- Sąsiad nazwał cię Mariatta. Zdradza cię też twój wygląd.
- Co z tego? Rodzice mojej matki byli Finami. Właśnie oni tutaj mieszkali.
Przepraszam, jeśli to cię krępuje.
- Nie ma za co przepraszać - powiedział Dolg. - Nie widzę nic poniżającego w tym, że jest się z pochodzenia Finem. Przeciwnie.
Maria na moment jakby złagodniała, lecz ponieważ tego właśnie najbardziej się bała, zaraz znów na jej twarzy pojawiła się surowość.
- Wcale się tego nie wstydzę. Ale tutejsi ludzie inaczej na to patrzą, oczywiście nie wszyscy, ale ci, z którymi... - urwała nagle, więc Dolg nawiązał do ich wcześniejszej rozmowy:
- Interesują cię zwierzęta, powinnaś mieć jakieś.
- Nie - sprzeciwiła się ostro.
- Wiem - spokojnie powiedział Dolg. - Masz własne wielkie problemy.
- Skąd wiesz? - wyrwało jej się.
- Po prostu wiem.
- Wobec tego wiesz też pewnie, jakie.
- Nie. I nie mnie powinnaś się zwierzyć, tylko Villemannowi.

Zapatrzyła się w jego piękną, choć zarazem straszną twarz. Co on ma na myśli?

Dolg nie spuszczał z niej czarnych jak węgiel oczu.

- Villemann jest bardzo samotnym człowiekiem.

- On? - zdziwiła się z niedowierzaniem. - Na pewno kręci się koło niego całe mnóstwo młodych panien.

Dolg powiedział coś dziwnego:

- I tak, i nie. Villemann jest bardzo wrażliwy, ogromnie potrzebuje człowieka, z którym mógłby nawiązać bardzo bliski kontakt. Kogoś, komu mógłby zaufać. Nie uczyni mu krzywdy, Mario.

Dolg wszedł do domu, pozostawiając ją w kompletnym osłupieniu.

Uczynić krzywdę? Komu? Temu niezwykle przystojnemu, pewnemu siebie Villemannowi? To najdziwniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszała. Ona, upokorzona, niepewna, ta, którą wszyscy opluwają, ona miałaby wyrządzić krzywdę właśnie jemu?

Villemann zaofiarował się towarzyszyć Marii do miasta.

Zaproponował też, by pożyczyła konia Taran. W ten sposób szybciej dotrą na miejsce. Maria odniosła się do tego pomysłu bez szczególnego zapału, nie za dobrze też czuła się na końskim grzbiecie, lecz chłopak bez wątplenia miał rację. Nieco oszołomiona podziękowała więc i przyjęła propozycję.

Pozostali potrzebowali nieco czasu na ułożenie nowych planów, postanowili wstrzymać się z wyprawą na moczary do powrotu Villemanna. Chłopak zresztą na to nalegał, przyrzekli, że bez niego nic nie zrobią. Musieli wprowadzić tam się udać, lecz obiecali, że niczego nie przedsięwzięją. Słowo honoru!

Villemannowi nie zamykały się usta, gdy wraz z Marią jechał najpierw kawałek przez las, potem przez równiny. Jej krótkie, nieprzychylnie odpowiedzi zdawały się nie robić na nim wrażenia.

Maria już zdążyła pożałować, że zgodziła się na jego towarzystwo. Oczywiście był zabawny, jego wesołość i poczucie humoru znacznie skróciły podróż. Ale ona nie chciała się radować.

Villemann prędko to zauważył.

- Wiesz, Mario, nigdy nie widziałem, żebyś się śmiała. Ledwie się uśmiechasz.

- A czy jest się z czego śmiać? - spytała cicho, odwracając twarz.

Przez chwilę jechał obok niej szeroką drogą i przyglądał jej się badawczo w milczeniu, w końcu westchnął lekko:

- A mnie się wydawało, że jestem taki zabawny!

- Na pewno jesteś - odparła surowo. - Ale wybrałeś sobie złą publiczność.

W mieście miał okazję zobaczyć trochę, z czego wynika oschłe zachowanie Marii. Z początku wszystko szło jak najlepiej. Kupili co trzeba u piekarza i rzeźnika, u sprzedawcy ryb i w sklepie. Pomimo jej protestów Villemann upierał się, że zapłaci. To przecież oni, goście, będą zjadać zapasy. W końcu ustalili, że podzielą się wydatkami.

Pozostał tylko rynek. Villemann już wcześniej zauważył, że niektórzy ludzie, zwłaszcza kobiety, przyglądają im się z dziwnymi minami. Patrzą z pogardą? Dlaczego? Ubrani przecież byli przyzwoicie, co prawda jego kurtka ze skóry łosia trochę się już zniszczyła i może nie prezentowała się tak ładnie jak wówczas, gdy dostał ją od dziadka Erlinga na urodziny. Z daleka jednak widać było, że jest droga, a poza tym on sam był umyty i uczesany, przynajmniej na tyle, na ile dało się uładzić nieposłuszną czuprynę. A Maria ze swoimi włosami blond, w jasnej muślinowej sukience w kwiatuszki i płaszczu, wyglądała jak uosobienie czystości. Nagle koło jego ucha świsnął kamień, rzucony z tyłu.

- Chodźmy szybciej - mruknęła Maria.

- Nic nie rozumiem - zdenerwował się urażony Villemann.

Jakaś para przystanęła tuż przed nimi.

- Młody człowieku - mężczyzna mówił z oburzeniem. - Pan wygląda przyzwoicie, powinien pan wiedzieć, że nie należy utrzymywać kontaktów z tego rodzaju kobietami.

Zanim zdumiony Villemann zdążył odpowiedzieć, Maria złapała go za rękę i pociągnęła w boczny zaułek. Dopiero tam go puściła i zaczęła iść spokojniej,

zorientował się jednak, ile musiała włożyć wysiłku w to, by zapanować nad wzburzeniem.

Popatrzył na nią pytająco.

- Ja wszystko zniosę - wyszeptała, nie patrząc mu w oczy. - Ale kiedy to dotyka moich przyjaciół...

- Dziękuję, że uważasz mnie za przyjaciela - cicho odezwał się Villemann.

- Znajomych - ucięła, lekko się czerwieniąc.

Miała jasne włosy i delikatną cerę, nie kryjącą rumieńców. Tego dnia upięła włosy do góry, było to konieczne ze względu na wyprawę do miasta, lecz Villemann zauważył, że starała się ładnie wyglądać. I rzeczywiście wyglądała ładnie. Ale on wolał, kiedy miała włosy rozpuszczone jak leśna dziewczyna.

Już rano zauważył, że ma zaczerwienione oczy. Na pewno tej nocy niewiele spała.

Dlaczego? Villemann wolał się nad tym nie zastanawiać.

- I nie jestem tego rodzaju kobietą.

Po raz pierwszy za jej słowami dostrzegł uczucia. Z trudem powstrzymywała płacz.

- Mariatta... Stała jak wryta.

- Co? - spytała, nie kryjąc gniewu. - Twój brat ci do niósł?

- Uważam, że Mariatta lepiej do ciebie pasuje - od parł Villemann nieporuszony. - To takie piękne imię. Słyszałem, że jesteś w połowie Finką. Czy dlatego tak cię traktują?

- Nie. Muszę przyznać, że ludzie nie są aż tak głupi - rzekła wciąż wzburzona. - Chyba że w niektórych zadzierających nosa kręgach. Finowie, którzy tu przybyli, nic przecież nie mieli. Zmuszono ich do przeniesienia się do Szwecji. Musieli pracować w lesie dla Szwedów.

- Mieli swoje zagrody - łagodnie przypomniał Ville - mann.

- Czymże jest maleńka zagroda głęboko w lesie? Dla ludzi, którzy zaszli wysoko i oceniali innych wedle pieniędzy na dnie skrzyni, niczym.

- Mariatto, nie musisz być agresywna w stosunku do mnie - powiedział wciąż z taką samą cierpliwością i wyrozumiałością, która nawet anioła sprawiłaby w irytację. - Jesteśmy po tej samej stronie, nie zauważyłaś?

Maria rozluźniła się. W jej spojrzeniu pojawiło się straszliwe zmęczenie.

Villemann ujął ją za rękę, a ona po pierwszych protestach pozwoliła mu na to. W milczeniu poszli dalej.

Zaulek wyprowadził ich z miasta nad brzeg jeziora. Tym razem Wener. Villemann wskazał Marii niewielki las, przez który wiodła ścieżka nazywana prawdopodobnie „ścieżką miłości”, jak inne we wszystkich romantycznych miejscach. Ta tutaj wiała się wzdłuż brzegu jeziora, a na jej końcu stała ławka. Tam właśnie Villemann łagodnie, lecz zdecydowanie usadził Marię i sam usiadł obok niej.

- A teraz, Mariatto, najlepiej będzie, jak mi wszystko opowiesz.

Wielki Mistrz Zakonu Świętego Słońca, Lorenzo, nienawidził wszystkiego, co miało związek ze Skandynawią, a właściwie z tym, co leży na północ od Alp. Szczerze tęsknił za swym ogrodem w Genui z krzewami winorośli i róż, i za troskliwą opieką żony, która zawsze była jego wierną służką. W krótkich chwilach, jakie spędzał w domu między załatwianiem ważnych interesów, dbała, by dostawał wszystko, czego zapragnie. Żona nie miała pojęcia, że podróże te mają przede wszystkim związek z działalnością Zakonu. Nigdy nie słyszała o Świętym Słońcu.

Teraz, zamiast delektować się popołudniowym winem pod drzewem żakarandy, musiał wraz z równie poirytowanymi braćmi zakonnymi przedzierać się przez kłujący las na tej okropnej Północy. „Wszystkich jednak ogarnął ten sam zapał, wiedzieli, że są blisko celu. Trochę tylko pobłądzili.

Okropny las, skały i mokradła, czepiające się ubrania gałęzie drzew, tajemniczość. Nie zdawali sobie sprawy, że znajdują się w samym Trolltiven.

Poruszali się według mapy, którą ukradła dla nich Elsie.

Przez moment wydawało im się, że wpadli na trop znienawidzonych wrogów, tej

bandy czarnoksiężnika. W małej zagrodzie na skraju Tiveden dowiedzieli się, że przejeżdżał tędy jakiś niezwykle orszak, który zmierzał w głąb lasu. Tak, właśnie tędy, drogę tę nazywano Mnisią Ścieżką, wystarczy z niej nie zbaczać, a z pewnością łaskawi panowie wkrótce dogonią swych przyjaciół, przejeżdżali tędy całkiem niedawno.

Przyjaciele? Chłop nie wiedział, co mówi. Być może jednak wyczuwał zapiekłą nienawiść, prędko bowiem, kłaniając się w pas, skrył się przed tymi eleganckimi panami o posępnych spojrzeniach.

Na północ wyruszyli wszyscy rycerze bez wyjątku. Ponieważ jednak nie zdążyli wyleczyć ran po ostatnim ataku duchów Móriego, Zakon obecnie liczył jedynie osiemnastu członków, ale wraz z pachotkami i woźnicami stanowili liczną gromadę.

Powozy musieli zostawić poza Trolltiven. A jako że wyruszali na potajemną wyprawę, zostawili także służących. Przez trudny teren Górtiven przedzierało się więc osiemnastu rycerzy.

A rodzina czarnoksiężnika jakby zapadła się pod ziemię. W końcu bracia musieli spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że grupy Móriego nie ma już w lesie.

Dotarli do tego, co kiedyś było zamczyskiem Tiersteingram. Ale przecież zamek Móri i jego duchy zrównali z ziemią. Rycerze nie znaleźli nawet wejścia, bo Erling, Móri, Tiril i Catherine bardzo starannie je zasypali.

Rycerze zatrzymali się w Tiersteingram nie wiedząc, co dalej począć. Szukać Słońca?

Tak, oczywiście, lecz jeśli nie ma tu czarnoksiężnika, nie jest to chyba właściwe miejsce.

Nadbiegł jeden z rycerzy. Okazało się, że w nieprzebytym, wydawałoby się, lesie spotkał drwala. Rycerzem tym był gospodar we własnej osobie, w czarnym stroju wyglądał tak groźnie, że drwal, którego wypytywał, zachowywał się niczym przestraszona żaba.

Hospodar, szlachcic z imienia i wyglądu, lecz o czarnej, jakże nieszlachetnej

duszy, wyrównał oddech i przekazał współbraciom treść rozmowy z drwalem.

- Nędzny tchórz czołgał się przede mną - oznajmił z pogardą. - Trudno było wyciągnąć z niego jakieś rozsądne słowo, ale w końcu wydusiłem zeń tyle, ile wie dział. Spytałem, dość przebiegle, jeśli wolno mi tak powiedzieć, czy zna jakieś osobliwe miejsce w tym le sie. Biedaczysko wyjąkał, że całe Górtiven jest pełne nie zwykłych miejsc. Mamrotał o upiorach, strzygach, potwornych wilkach i nie wiem o czym jeszcze. W tym jego oszalałym jękaniu jako upiory występowali ludzie wypalający węgiel. Wziąłem go jednak za chabety i potrząsałem nim tak, że na moment zemdlął ze strachu. Kiedy doszedł znów do siebie, wyjąkał wszystko, czego się chciałem dowiedzieć.

- I czego się pan dowiedział, wasza królewska mość? - ostrym głosem spytał Lorenzo.

- Sformułowałem pytanie jeszcze przebieglej, zapytałem go o święte miejsce w tym lesie.

- Doskonale - mruknął brat Gaston.

- Drwal odparł przerażony: „Trollkyrka?” Nie, nie miejsce pogańskich ofiar, powiedziałem. Chodzi mi o coś naprawdę świętego, wywierającego niezwykle wrażenie. Prostak najpierw tylko na mnie patrzył, zbaraniały, ale w końcu rzekł: „To przecież nie tutaj, to daleko, po drugiej stronie!”

- Po drugiej stronie? - zdziwił się Lorenzo. - Co to ma znaczyć?

- Ja także go o to zapytałem. Opowiedział mi, że daleko stąd, na zachód od Tiveden, jest pewne dziwne miejsce przy górze zwanej Złą Górą koło Upiornego Bagna.

- Nie brzmi to szczególnie świątobliwie - wtrącił brat James.

- To prawda. Ale z tego, co powiedział ten chłopina, wynikało, że miejsce nie zawsze było niebezpieczne. Wcześniej powiadano, że dotknęli go bogowie.

- Proszę, proszę - mruknął książe. - Nareszcie coś nam się zaczyna składać.

- Racja - odparł gospodar. - Ten drwal powiedział, że zło i groza tego miejsca, jak się wyraził, napłynęła wraz z Finami...

- Chwileczkę - przerwał mu Lorenzo. - Według chłopca, z którym rozmawialiśmy, wszyscy mieszkańcy tego lasu są z pochodzenia Finami. Chyba więc i ten drwal również?

- O tym nie wspominał, ale przypuszczam, że on nie pochodzi z tego lasu, pewnie mieszka gdzieś na skraju. Nie, w ogóle mi nie wyglądał na Fina. W dodatku mówił o Finach „oni”.

Z drwalem rozmawiał gospodar, ponieważ właśnie jego wysłano, by odszukał jakiegoś człowieka, który mógłby im udzielić informacji. Jako jedyny z zakonu trochę mówił, a przynajmniej rozumiał języki skandynawskie.

- Czy wasza wysokość otrzymał dokładny opis tego miejsca? - spytał brat Gaston.

- Tak sądzę. W każdym razie znam kierunek, wiem, jak tam daleko i jakich charakterystycznych punktów szukać w okolicy. Oczywiście chłopcu trudno było precyzyjnie się wysłowić, zresztą znajdowaliśmy się w leśnym, a nie w tym barbarzyńskim kraju wszystko wygląda mniej więcej tak samo.

Tak, tu musimy okazać wyrozumiałość. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że w pobliżu nie ma Świętego Słońca, chociaż według mapy znajdujemy się we właściwym miejscu. Podobno Słońce ma wyraźnie promieniować. Odejdźmy więc z tego przeklętego pustkowia i ruszajmy w stronę, którą wskazuje nam nasz brat gospodar - energicznie podsumował Lorenzo.

Z nieskrywaną ulgą odjechali z Trolltiven.

Nie opuszczał ich jednak dręczący niepokój. Czarnoksiężnika i jego grupy nie było tutaj, a przecież korzystali z tej samej mapy.

Musi to oznaczać, że oni także zmierzają do nowego, właściwego miejsca.

Zła Góra przy Upiornym Bagnie.

Cóż za okropne nazwy! Wielu rycerzom ciarki przeszły po plecach, kiedy jechali rzędem wzdłuż Mnisiej Ścieżki

Czekali w zasadzce przez całą noc i pół dnia, a czarnoksiężnik, ten przeklęty Islandczyk, i jego towarzysze nawet się nie pokazali.

Co tam, byle teraz zmierzał do kryjówki Słońca! Na tym wszak polegał ich zamysł:

Móri i jego przyjaciele mieli znaleźć dla nich Słońce - prawdopodobnie z uwolnieniem klejnotu wiązało się wiele magicznych rytuałów, a potem... Potem cudowną kulę przejmą rycerze.

Hospodar oznajmił z niesmakiem:

- Miałem zamiar zabić tego nędznego drwala i wrzucić jego zwłoki w bagno, doszedłem jednak do wniosku, że zbyt wiele będzie z tym brudu, puściłem go więc wolno. Jest za głupi, by nam w czymkolwiek zagrozić.

- Słuszna decyzja, wasza wysokość - pochwalił go inny brat. - Nie wolno nam zwracać na siebie uwagi. Za ginięcie jakiejś osoby oznacza wszak przeszukiwanie lasu, mnóstwo ludzi. A nam konieczny jest spokój.

Lorenzo kiwnął głową.

- To samo dotyczy naszych wrogów. Pozwolimy im działać w spokoju, nie mogą się nawet domyślać, że znajdujemy się w pobliżu. Potem uderzymy. Nikt z nich nie przeżyje!

Po twarzach zakonnych braci przeniknęły uśmiešky zadowolenia. Widoki na przyszłość były po dwakroć bardziej obiecujące. Najpierw zdobycie Słońca, a później rzeź na znienawidzonych wrogach.

Na niektórych obliczach, zwłaszcza starszych rycerzy, rysował się niepokój. Przez ile już lat usiłowali pozbyć się przeciwnika? I ile razy im się udało?

Nigdy!

Ale gdy tylko będą mieli w rękach Słońce, osiągną niesłychaną potęgę! Staną się niepokonani!

Młodszy rycerze o tym nie myśleli. Nie znali rodziny czarnoksiężnika, żywili przekonanie, że wyjdą zwycięsko z każdego starcia z nędznymi kreaturami, które przez cały czas niweczą ambitne plany Zakonu.

Zniszczyć ich! Zabić, skończyć z nimi raz na zawsze!

Iluż odważnych braci złapało się na ten lep?

„Chyba najwyższy czas, żebyś mi o wszystkim opowiedziała, Mariatto”.

Siedziała na ławce, na której widniały wyryte liczne inicjały, i czuła, jak uchodzi z

niej wszelka agresja. Na płynęło bezdenne zmęczenie. Miała wrażenie, że szare jezioro przed nią odzwierciedla stan jej ducha: wszystko wydawało jej się ponure, beznadziejne i pozbawione kolorów.

Przestań być tak strasznie wyrozumiały, jesteś dla mnie obcy, myślała. I tak niczego nie zrozumiesz.

Jak wyraził się jego brat? „To Villemannowi powinnaś się zwierzyć”.

To prawda, że Villemann jest sympatyczny, być może to najsympatyczniejszy młody mężczyzna, jakiego spotkała. Zbyt młody jednak, by zrozumieć. Nikt tego nie rozumie.

Był dla niej obcy, znała go zaledwie od dwóch dni. Nie miała powodu, by mu się zwierzać.

A jednak istniał powód, chociaż Maria go nie dostrzegała. Żaden człowiek nie może tak długo trwać w napięciu, z tak lodowatym wrogim nastawieniem do świata tylko po to, by osłonili swoją tajemnicę. Dawno już dojrzała do rozmowy z drugim człowiekiem, a Villemann przypadkiem był miłym, życzliwym młodzieńcem, któremu każda dziewczyna chętnie oddałaby serce. Okazywał jej prawdziwe zainteresowanie - nie ciekawość! - i Maria nie potrafiła się temu oprzeć.

Dotychczas jakoś sobie radziła, nie brała bowiem takiej możliwości pod uwagę, lecz z Villemannem było inaczej. Rzekła nieśmiało, jakby na próbę:

- Nie jest to piękna historia, bo chcesz chyba, abym opowiedziała ci prawdę?

- Oczywiście! Inaczej nie będzie to miało żadnej wartości.

Maria uśmiechnęła się gorzko.

- Nie zgadzam się. Zdarza się, że żadnej wartości nie ma mówienie prawdy.

- Wiem, masz rację. Tym razem jednak chodzi o ciebie, a ja chcę cię poznać. Czy będzie mi wolno?

Roześmiała się, lecz zabrzmiało to raczej jak szloch.

- Przecież właśnie to się dzieje, głuptasie.

Krótki śmiech obojgu przyniósł ulgę i Maria wpadła w pułapkę rozluźnienia.

- Mam zacząć od samego początku?

- Powinnaś.

- Chyba nie od Adama i Ewy.

- Ich pominiemy. Jak upłynęło twoje dzieciństwo?

- Dobrze, dopóki żyła matka i od czasu do czasu odwiedzałyśmy dziadków.

Przymknęła oczy i nabrała powietrza w płuca. Otworzyła je i nie patrząc na Villemanna, zaczęła mówić. Monotonnie, jak gdyby przepowiadała wyuczoną na pamięć lekcję, lecz Villemann gotów był przysiąc, że nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła. Dyskretnie, nie dotykając Marii, położył rękę na oparciu ławki za jej plecami, tak, aby po prostu wiedziała, że jest blisko.

- Kiedy matka zmarła, wszystko się zmieniło.

- Ile miałaś wtedy lat?

- To stało się bardzo wcześnie, byłam jeszcze niemal dzieckiem. Potem pojawiały się guwernantki i gospodynie, i ojciec, bardzo daleka osoba. Dla niego największe znaczenie mieli kompani od wypitki i apteka. Często czułam, że mu przeszkadzam. Kiedy się nad czymś zastanawiałam, odsyłał mnie do służących. Villemann kiwnął głową. Rozumiał to uczucie.

Maria ciężko odetchnęła, dalsza opowieść nastroczała jej wyraźne trudności.

- Potem wszystko się zmieniło. Nie miałam jeszcze szesnastu lat, gdy pewnego razu jeden z przyjaciół ojca przyprowadził z wizytą swego syna. Zupełnie straciłam głowę, Villemannie, do tej pory jedynie domyślałam się miłości, wyobrażałam ją sobie jako coś nieskończenie delikatnego i pięknego. Zakochałam się tak, jak potrafi to tylko młodzieńca dziewczyna. Nasi ojcowie popiera li ten związek. Oboje stanowiliśmy to, co określa się dobrą partią. Ojciec, aptekarz, cieszył się w mieście poważaniem, a mój wybranek... Nazywał się Nils Bórje, był dziedzicem dworu położonego tuż poza granicami mia sta. Nie wiem, co we mnie widział, może skusiła go moja młodość i niewinność, bo przecież byłam dość naiwna i nieszczególnie uduchowiona. Zalecał się do mnie, oczywiście w bardzo przyzwoity sposób, a kiedy ukończyłam szesnaście lat, oświadczył się.

- Czy nie zbyt wcześnie? - zapytał nieśmiało Villemann.

- Właściwie nie. Tutaj dziewczęta prędko wychodzą za mąż. Pobraliśmy się, kiedy miałam siedemnaście lat. Wkrótce potem umarł jego ojciec i Nils Bórje przejął dwór.

Umilkła udręczona. Villemann pozwolił jej zebrać siły.

- Sądziłam, że wszystko układa się jak należy, Ville - mannie. Robiłam, co tylko mogłam, by być dobrą żoną i gospodynią we dworze. Oczywiście popełniałam błędy, lecz próbowałam się na nich uczyć. W pierwszym roku Nils Bórje był troskliwym zakochanym małżonkiem. Urodziła się nam córeczka, później synek. Wtedy jednak już zaczął okazywać pierwsze oznaki zniecierpliwienia. Oznaki, których ja nie chciałam zauważyć lub też próbowałam je sobie tłumaczyć. Myślałam, że jesteśmy szczęśliwi, wciąż byłam oniemiała ze szczęścia, że on mnie zechciał.

Teraz mówiła nieco ciszej:

Zdarzało się, że wygadywał drobne złośliwości na temat mojego pochodzenia z fińskich lasów Tiveden, ale ja udawałam, że ich nie słyszę, bo tak bardzo kochałam babcię i dziadka. Narodziny chłopca sprawiły, że przez jakiś czas traktował mnie z większą życzliwością. Potem jednak zaczęło być coraz gorzej...

- Pozwól mi zgadnąć - cicho powiedział Villemann.

- Wieczory poza domem, czasami także całe noce, dostrzegał w tobie coraz więcej wad...

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Klasyczny schemat. Przeróżająco banalny.

- Wzięłam całą winę na siebie. Sądziłam, że naprawdę jestem taka zła, jak mówił. Uważałam, że to z mojej winy on nie chce być w domu.

- Tak jednak nie było.

- Może nie - odparła ze wzrokiem utkwionym w dal.

- Pewnego dnia oświadczył sucho, że chce rozwodu. Spotkał inną i pokochał ją do szaleństwa.

Villemann tylko skinął głową. Domyślił się tego już wcześniej.

- I wtedy właśnie popełniłam największy błąd mego życia.

Nareszcie. Nareszcie dowie się o przyczynie całej jej tragedii.

- Ja... Chciałam się oczywiście dowiedzieć, kim jest ta druga. Owszem, przyznaję, że krzyczałam i okładałam go pięściami, zebrałam o to, by ze mną został albo przynajmniej poczekał, może to wszystko minie. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale wciąż go kochałam. Był jedynym mężczyzną, jakiego znałam, poza tym wierność leży w mojej naturze. O Boże, opowiadam o tym wszystkim obcemu człowiekowi!

- wykrzyknęła nagle i poderwała się.

Villemann pociągnął ją z powrotem na ławkę.

- Wiem, że to sprawia ci ból - powiedział łagodnie. - Ale spróbuj! Tak będzie najlepiej.

Maria walczyła ze sobą, postanowił jej pomóc, zadając pytanie:

- Zostałaś matką jako bardzo młoda osoba?

- Tak, miałam niespełna dziewiętnaście lat, kiedy na świat przyszło moje drugie dziecko, chłopczyk. Tak bardzo go kochałam, Villemannie! - załkała. - Tak strasznie za nimi tęsknię!

- Co się wydarzyło?

- Ach, byłam taka głupia! Tak niesłychanie głupia. Za grałam o bardzo wysoką stawkę, postawiłam własne dzieci, rozumiesz? I przegrałam.

Zgasła, skuliła się w sobie, jak gdyby na całym świecie nie było już żadnego powodu do radości.

- Oczywiście chciałam się dowiedzieć, kim jest ta kobieta.

- To całkiem naturalne. Znałaś ją?

- Tak - westchnęła Maria. - Zawsze uważałam ją za pustą i powierzchowną, skłoną do flirtów, jedną z tych, wokół których kręcą się całe gromady mężczyzn, które zawsze mają gotowe niemądre odpowiedzi, dużo, perliście się śmieją, i sprawiają wrażenie chętnych na wszelkie sposoby.

- Chętnych i łatwych - kiwnął głową Villemann. - Ja też kilka takich spotkałem.

- Pomyślałam wtedy... Zastanawiałam się przez całą noc, rano zabrakło mi już łez. Nils Bórje wcześniej prze niósł się do innej sypialni. Rano podjęłam decyzję. Bo że, jak mogłam być taka głupia!

- Byłaś bardzo młoda. Co zdecydowałaś?

- Tak bardzo chciałam go zatrzymać, tak rozpaczliwie pragnęłam, aby mój mąż mnie nie opuszczał! Dzieci miały wtedy rok i dwa, a ja dziewiętnaście lat. Te kobiety, o kilka lat starszą ode mnie, interesowały tylko zabawy, flirty i ucztę, nigdy nie spotkałam jej przy żadnej innej okazji. Masz rację, ona była wręcz wulgarna. Pomyślałam. - Pomyślałam...

Maria raz po raz przelykała ślinę, płacz wzbierał jej w gardle.

- Przeliczyłam się, Villemannie. Sądziłam, że odzyskam męża, jeśli ona...

Po krótkiej chwili znów zaczęła mówić:

- Byłam bardzo opanowana, kiedy następnego dnia rozmawiałam z Nilsem Bórje. Zapytałam, czy mówi po ważnie. Poświadczył. Wtedy oznajmiłam mu, że musi także zabrać dzieci. Byłam szczerze przekonana, że wówczas on się wycofa. Ta kobieta nie sprawiała wrażenia, że zechce zająć się małutkimi dziećmi, w każdym razie na pewno nie cudzymi. Wierzyłam, że odmówi i go opuści. - Dodała ledwie słyszalnym szeptem: - Ale tak się nie stało.

Siedzieli w milczeniu.

- I w ten sposób straciłaś dzieci. Wszystko.

- Tak. Z początku nie mogłam tego pojąć, wciąż wierzyłam, że znajdę jakieś rozwiązanie, wycofałam się, mówiłam, że zabiorę dzieci, lecz było za późno. Nils Bórje odpowiedział już znajomym, że to ja chcę się z nim rozstać, odchodzę, opuszczam dom i dzieci.

- Nie opuściłaś chyba domu?

- Owszem, zażądał, abym się wyprowadziła. Dwór należał do niego i pewnego dnia miał go po nim odziedziczyć syn. Nieostrożnymi słowami pomogłam mu. Prosiłam, by przynajmniej oddał mi córkę, lecz nawet jej nie dostałam. Wyrzekłam się swego prawa, skrzywdziłam jego i biedne niewinne dzieci. On miał przyjaciół,

adwokatów i sędziów, którzy zatroszczyli się już o to, bym zanadto nie zbliżała się do dzieci. Przekreślił całą tę historię, Villemannie, a ja byłam bezradna. Po nadto przecież... Nic.

- A twój ojciec?

- Właśnie do niego się przeprowadziłam, nie miałam gdzie iść, ale ojciec nie chciał słuchać moich wyjaśnień. Plotki już zdążyły do niego dotrzeć, wywołałam skandal, wciągnęłam jego nazwisko w bagno i okryłam wstydem całą rodzinę ze dworu. Wszyscy mnie potępiali, Villemannie, wszyscy! Uwierzyli w wersję Nilsa Bórje, zresztą on nie kłamał, rzeczywiście w momencie słabości wyparłam się dzieci. Nikt nie zważał na to, że natychmiast tego pożałowałam.

Villemann nie wiedział, co powiedzieć. Zawsze, kiedy dowiadywał się o takiej niesprawiedliwości, z początku czuł się jak sparaliżowany.

- Napiętnowano mnie jako złą matkę, wstyd dla całego rodzaju kobiecego, jako tę, która zdradziła męża. To ostatnie całkiem mijало się z prawdą, ale kto potrafi ukręcić łeb plotce? To zupełnie nieprawdopodobne, jak chętnie ludzie dają wiarę najgorszej ze wszystkich możliwych wersji.

- A później? Co się stało później?

- Ojciec mnie wyrzucił i pominął w testamencie. To akurat mi nie wadziło, bo wszystko, co miało przyspaść mnie, zapisał moim dzieciom. Dobrze zrobił, i rozsądnie, zważywszy na moje dziedzictwo... Ale o tym za pomnij!

Villemann oświadczył:

- Doskonale rozumiem twoje postępowanie. Powie działaś, że twój mąż ma się zająć dziećmi, by w ten sposób odstraszyć tę drugą kobietę. Przeliczyłaś się jednak, bo nie wzięłaś pod uwagę, że on ma wielki dwór z mnóstwem służby. Gdyby mieszkał w małym domku, pewnie cała sprawa przyjęłaby inny obrót.

- Masz rację. Ja też doszłam do takiego samego wniosku. Ona zgodziła się zaopiekować dziećmi, ponieważ mogła złożyć odpowiedzialność za nie na innych.

- On także. Oczywiście bardzo ważne dla niego było zatrzymanie syna, przyszłego dziedzica. Dokąd pojechałaś, kiedy również twój ojciec wyrzucił cię z

domu?

- Do Góteborga. Tam mogłam pozostawać anonimowa.

- Dlaczego nie zwróciłaś się do rodziców swojej matki?

- Wstyd, Villemannie. Nie chciałam wciągać kochanych staruszków w swoje kłopoty. - Głos Marii brzmiał niewyraźnie, poruszała bardzo bolesne sprawy.

- Myślisz, że nie stanęliby po twojej stronie? Nie zrozumieliby cię?

Później doszłam do wniosku, że na pewno tak by się stało, lecz ojciec podkreślał, że nie wolno mi się do nich zwrócić, są bowiem słabego zdrowia i nie zniesli by skandalu. Zrozum, oni wiedzieli, że wyszłam za mąż i mam dzieci, na pewno by o nie pytali. Uf, najwidoczniej za długo słuchałam cudzych rad.

- Rzeczywiście. Ale później jakoś radziłaś sobie sama?

- Tak. Otoczyłam pancierzem swoje troski, nie śmiałam okazywać żadnych uczuć, nawet przyznawać się do nich przed samą sobą. Wiedziałam, że nie zniosę myśli o dzieciach.

- Ani o Nilsie Bórje.

- Nils Bórje! - prychnęła. - Wszelkie uczucia, jakie miałam dla niego, umarły. Taka jest prawda, nigdy nie powinieneś w nią wątpić.

- Wierzę ci. Czy później widziałaś dzieci?

Maria cała się rozdygotała. Zadałam niewłaściwe pytanie, przestraszył się Villemann. A może właśnie ono jest potrzebne, aby jej lodowy pancierz całkiem stopniał?

- Owszem, widziałam je - odparła z rozpaczą w głosie. - Raz, w zeszłym roku, przyjechałam tutaj, bo nie mogłam już dłużej znieść tęsknoty. Napisałam setki listów z prośbą, by pozwolono mi spotkać się z nimi jeszcze jeden jedyny raz, lecz otrzymywałam odmowną odpowiedź bądź też odsyłano mi listy nie otwarte.

Wreszcie, z jakiegoś powodu, Nils Bórje przyrzekł, że wolno mi będzie je zobaczyć pod warunkiem, że nie zechcę zostać z nimi sama. Zgodziłam się na to. Ach, ta podróż do domu, Villemannie! Nerwy miałam napięte jak postronki, niczego nie mogłam utrzymać w dłoniach.

Złapała go za rękę i ścisnęła bardzo mocno, przypuszczał, że zostaną mu po tym siniaki, ale cierpiał w milczeniu. Lubił ją przecież, rozumiał i bardzo chciał jej pomóc. Poza tym czuł po sobie, że Maria coś ukrywa. Postanowił zmusić ją, by wyjawiała mu całą prawdę, a nie robi się tego, krzyząc: „Puść, to boli!”

- Ona tam była - po chwili cicho powiedziała Maria.

- Wiedziała o tym, przecież się pobrali, a jednak okazało się, że jestem nie przygotowana. Jeszcze mniej na to, co nastąpiło potem.

Czekał cierpliwie, kiedy kobieta starała się nad sobą zapanować. Z oczu płynęły jej łzy, wciąż jednak miała nad nimi pewną kontrolę.

- To było w zeszłym roku - szepnęła. - Dzieci miały trzy i cztery lata. Takie śliczne, takie kochane. Ale...

Z całych sił walczyła teraz, by wziąć się w garść.

- One... One mnie nie poznały, Villemannie!

No tak, czy mogło być inaczej? pomyślał chłopak z goryczą. Ten łajdak właśnie tego się spodziewał: tak maleńkie dzieci musiały zapomnieć o rodzonej matce.

Dopiero wtedy pozwolił się jej z nimi zobaczyć. Jakież bezsensowne zło musiało powodować tym człowiekiem!

Maria ledwie już panowała nad sobą, oddychała szybko, gwałtownie.

- Oboje się do niej tulili, nazywali ją „mama”. Bały się obcej pani. Nie mogłam... nie mogłam się do nich zbliżyć!

Wybuchnęła płaczem, łzy popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Villemann objął ją mocno, żeby całkiem się nie załamała, szeptał jej do ucha słowa pocieszenia, tłumaczył, by płakała, bo bardzo jej tego potrzeba.

- Wszystko to moja wina! - żaliła się, łkając.

- Wcale nie - starał się ją przekonać. - Na samym początku, w największym wzburzeniu, kiedy mąż chciał cię opuścić, wypowiedziałaś jedno nieprzemyślane zda nie. Nie możesz się obwiniać za to, co nastąpiło później, to on jest wszystkiemu winien, musisz to wreszcie zrozumieć.

Nie miała sił, by mu odpowiedzieć, wciąż tylko zanosila się płaczem.

- Mario, wysłuchaj mnie! Nie jest winą twego męża, że pokochał inną kobietę, to się zdarza. Ani też, że pro sił, byś opuściła dwór, to logiczna konsekwencja. Cała reszta natomiast, ohydny sposób, w jaki potraktował cię później, był z jego strony tak obrzydliwym łajdactwem, że nie znajduję na to słów. Zrzekając się swoich praw do dzieci, podałaś mu na srebrnym półmisku atut, a on chwycił go łapczywie. Czy wyjaśniłaś mu kiedykolwiek, dlaczego tak postąpiłaś?

Mocno pokiwała głową.

- Tłumaczyłam mu wszystko!

- Wobec tego nie można mu wybaczyć. Villemann sam słyszał, jak bardzo przemądrzale brzmią jego słowa. Jakież miał doświadczenie życiowe, na którym mógłby się oprzeć? Z pewnością był młodszy od Marii co najmniej o rok, a przemawiał do niej jak starzec!

O dziwo, wydawało się jednak, że ona go słucha, wręcz uważa, że chłopak mówi mądrze. I miała ochotę usłyszeć więcej!

Rozgadał się więc, próbował ją zmusić, by na wszystko spojrzała z innego punktu widzenia. Fakt, że ludzie, gawiedź, jak ich nazywał, patrzą na jej „zbrodnie” własnymi oczyma, to zupełnie inna sprawa. Maria musi ocenić swoją sytuację z dystansu.

Przez cały czas nie mógł pozbyć się wrażenia, że czegoś mu tutaj brakuje.

- Mario - powiedział, kiedy wydawało mu się, że się trochę uspokoiła. - Czy nigdy nie próbowałaś odwołać się do prawa, by uzyskać pozwolenie na widywanie się z dziećmi? Nie mówię „odzyskać dzieci”, bo to mogło by być trudniejsze, zwłaszcza że twój były mąż ma im o wiele więcej do zaoferowania.

Uchwyciła się tego żdźbła, jakim najwidoczniej były dla niej jego słowa.

- Taki był właśnie powód, dla którego nie chciałam ich zabierać ze wspianego domu do maleńkiej klatki w Góteborgu.

Villemann patrzył na nią z niedowierzaniem. Maria miała czerwone oczy, mokrą od łez, zapłakaną twarz, a upięte starannie włosy się potargały. Ale taka podobała mu się bardziej niż twarda królowa lodu.

- Coś przede mną ukrywasz, Mario. Spuściła wzrok.

- Ja, a niby co by to mogło być? Czyż nie wywnętrzyłam się już przed tobą dostatecznie, nie wylałam go ryczy i bólu skrywanych przez lata? Nie jesteś zadowolony?

- Jeszcze nie. Ale na razie zapomnijmy o tym! Jak zdołałaś przeżyć? W jaki sposób walczyłaś z samotnością?

- Pracowałam - mruknęła, nie patrząc na niego. - Muszę jednak przyznać, że nie najlepiej sobie radziłam. Raz przeżyłam załamanie nerwowe. Lekarz przyszedł do domu i zobaczył, jak źle jest ze mną. Dał mi pigułki, one chwilowo pomogły mi zapomnieć.

Villemann przytrzymał ją teraz na odległość wyciągniętej ręki i popatrzył na nią surowo.

- Łatwo ci czytać z twarzy. Te pigułki...

- Rzeczywiście, stały się nałogiem. Przyznaję. Ale teraz jestem silna. Dopóki ktoś mi ich znów nie włoży do ręki.

- Czy lekarz nie zrozumiał, że się uzależniłaś? Zdołał to jakoś powstrzymać?

- Tak. I w ostatnich miesiącach było mi bardzo trudno. Sądzę jednak, że w pełni zdołam się uwolnić od nałogu. Teraz jesteś zadowolony?

Westchnął.

- Nie wiem, Mariatto. Wydaje mi się, że ukrywasz przede mną coś jeszcze.

- Ach, wy bracia! - zniecierpliwiła się.

- Czy Dolg też tak twierdził? - prędko spytał Villemann.

- Coś w tym rodzaju. Ale na dzisiaj już wystarczy. Wysiliła się na uśmiech, lecz wypadł raczej blado.

- Kobiecie musi być wolno mieć jakieś tajemnice.

- Masz rację. Na razie i tak zrobiłaś dużo. Chodźmy teraz na rynek, a potem pojedziemy do domu.

Czy Mariatta mówiła prawdę? zastanawiał się, kiedy szli wąską uliczką. Tak,

właściwie nie miał wątpliwości. Problem polegał raczej na tym, że nie powiedziała mu wszystkiego. Czegoś tu brakowało. Prędzej czy później zamierzał wybadać, w czym rzecz.

- Porozmawiajmy o czym innym - oświadczył lekko. - Nie zdziwiło cię specjalnie, że mój ojciec jest czarnoksiężnikiem. Wcale cię to nie przeraziło!

- Ani trochę. Babcia i dziadek wiele potrafili, zwłaszcza dziadek. Umiał tamować krew i inne rzeczy. Po za tym oboje opowiadali mi o starych fińskich wierzeniach. Wieczorami śpiewali mi runy.

- A ty słuchałaś i uczyłaś się? - spytał Villemann z uśmiechem.

- Oczywiście! Twierdzili, że świetnie mi idzie.

- Witaj w naszym gronie, Mariatto!

- Dziękuję!

Szli w milczeniu. Villemann zastanawiał się, co może zrobić dla Marii. Odzyskanie dzieci nie wyglądało na prostą sprawę. Poza tym upłynął tak długi czas, że wyrwanie ich ze środowiska wydawało się nie mieć sensu.

Bez względu na to, jakie rozwiązanie brał pod uwagę, ona i tak będzie cierpieć. Gdyby mógł chociaż spuścić temu paniczekowi porządne lanie, przyniosłoby mu to ulgę.

Na razie najważniejsze pozostawało pytanie: Co ukrywa Maria? Co było przyczyną cierpienia, które wprost biło jej z oczu?

Dolg również to zauważył.

Villemann postanowił porozmawiać z bratem. Wszak tutaj chodzi o duszę nieszczęśliwej Mariatty.

Właściwie miał już swoje przypuszczenia. Nie dokończone zdania, wtrącone tajemnicze sformułowania dały mu do myślenia. „Tak będzie najlepiej dla dzieci”, „moje dziedzictwo”...

Zaczynał się domyślać.

W tym czasie pozostali członkowie grupy wyruszyli w stronę moczarów.

Wcześniej omówili najrozmaitsze wersje planów działania i doszli do wniosku, że

najlepiej będzie się rozdzielić. Uriel i Taran postanowili zostać w domu, nie na wiele bowiem mogli się przydać w rozwiązywaniu zagadki, jaką kryła bagienna okolica na pustkowiu. Uważali też, że powinni poczekać na Villemanna i ich gospodynię, nie mówiąc już o tym, że ktoś powinien zostać na wypadek, gdyby tamci „wsiakli” w bagno. Miejsce Nera także było w domu, za mało wiedzieli, by go z sobą zabierać.

Na moczary wyruszyła więc grupa prawdziwych specjalistów: Móri, Dolg, Cień i czworo Strażników. Należy im wybaczyć, nie mogli się już doczekać chwili, gdy wreszcie ruszą do działania. Nadeszły wszak ich wielkie dni. Po tysiącach lat oczekiwania na Ziemi, której prawdopodobnie mieli dość, po czuwaniu nad kamieniami w ciemnych jaskiniach, nareszcie dostrzegli światło w mroku. Oddziałek miał zamiar tylko się rozeznać, zorientować w sytuacji na miejscu. Obiecali przecież Villemannowi, że poczekają na niego i na Marię, zanim naprawdę ruszą do ataku.

Szczerze wierzyli, że dotrzymają danego przyrzeczenia.

Sprawy przybrały jednak nieco inny obrót, niż się spodziewali.

Zaszli trochę za daleko.

Tak jak poprzedniego dnia musieli przedzierać się wzdłuż brzegu moczarów, walczyć z niewidzialną przeszkodą, iść z mozołem, jakby wyciągać nogi z lepkiej smoły. Posuwanie się naprzód było prawie niemożliwe. Góra kusła, lecz do niej na razie nie zamysłali podchodzić.

Chcieli jedynie odrobinę się przybliżyć.

I rzeczywiście zbliżyli się zaledwie odrobinę, tylko kilka kroków w ciągu pół godziny.

Nie wzięli ze sobą drogocennych kamieni. Kule pociemniały i zmatowiały, poza tym nie chcieli ich wystawiać na niepotrzebne zagrożenie. Nikt nie wiedział, co się kryje w tym zdumiewającym oporze.

- Może pójdziemy lasem? - podsunął Cień.

- Hm - zastanowił się Móri. - Masz rację, być może to tylko bagno jest zarażone

złem. Pójdziemy jego brzegiem, ale między drzewami.

- Tak właśnie myślałem.

Dolg stał w miejscu, spoglądając na martwy obszar moczarów. Pozostali odnieśli wrażenie, że węższy w powietrzu.

- Co się stało, Dolgu? - spytał jeden ze Strażników.

- Nie wiem - odparł. - Wydaje mi się, że nie powinniśmy iść dalej.

Oczy Móriego pociemniały.

- Te same słowa wypowiedziałem do moich przyjaciół na skale Graben. A jednak poszliśmy dalej. Jak wiadomo, rezultat był straszny. Uważam, że należy usłuchać Dolga.

W czarnych oczach Strażników pojawił się wyraz bliski rozpacz. Wyraźnie było widać, że nie chcą zawrócić.

- Czy ty niczego nie wyczuwasz, ojczy? - zapytał Dolg.

- Nie więcej niż wczoraj wieczorem. Co ty na to, Cieniu?

Cień zamyślił się. Potem, również z tęsknotą w głosie, odparł:

- Dolga zawsze należy słuchać. Lecz z drugiej strony, jeśli teraz zawrócimy, nie posuniemy się ani o centymetr dalej niż wczoraj.

Móri pokiwał głową. Nie wiedział, jaką decyzję należy podjąć.

Ciężkie chmury zawisły nad nimi. Gdzieś w lesie szemrał niewidoczny strumień, a może to szumiały korony drzew, lecz przecież żaden powiew wiatru nie owiewał ich twarzy, nie szarpał włosów. Z daleka dobiegł krzyk kruka, poza tym było cicho jak w grobie.

Dolg szeptem, jakby nie chcąc zakłócać ciszy, powiedział:

- Strażnicy... Jest chyba więcej powodów, dla których dwa szlachetne kamienie zmatowiały? Nie tylko dlatego, że nie chcą zdradzić obecności Słońca?

- Masz rację, chłopcze, nasz wybawicielu. Nasze cudowne kamienie ciemnieją tak tylko wtedy, gdy zbruka je zła moc. Ta siła jest tutaj, przy bagnie i w okolicy.

Dlatego nie chcieliśmy przynosić tu klejnotów. Bezpieczniejsze są w domu, u twojej siostry i jej ukochane go, człowieka, który odwiedził niebo.

Jakże poetyczny opis Uriela, który kiedyś był prawie aniołem!

Dolg podziękował za informacje. Cień rozejrzał się dokoła.

- Gdzie tkwi ukryte zło? Na czym polega niedobra siła?

Móri zwinął dłonie w tubę i zawołał, aż echo poniosło się nad bagniskiem:

- Strachy! Ukażcie się!

Żadna odpowiedź nie nadeszła, cisza tylko się pogłębiła. Wszyscy jednak odnieśli to samo wrażenie: jakby ziemia zaczerpnęła głęboki oddech i bagno odrobinę się podniosło.

- To przerażające - szepnął Dolg. - Zawracajmy!

Tamci jednak nie chcieli rezygnować. Móri, pamiętny doświadczeń ze skały Graben, powinien usłuchać, lecz i on nie chciał się poddać. Wracać do domu z pustymi rękami?

Dolg uległ, podobnie jak kiedyś jego ojciec, bo charakterystyczna dla rodu czarnoksiężników ciekawość i żądza przygód zwyciężyły nad rozumem. Niestety.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Jeśli chcecie, możemy iść lasem. Tu na brzegu bagniska nic nie zdziałamy.

Ucieszyli się z jego słów.

Nie zmieniając kierunku, cofnęli się między drzewa. Ich celem pozostało dotarcie do góry. Wędrowali w pewnym oddaleniu od moczarów, lecz mieli świadomość, że idą w dobrą stronę.

Tutaj, w mrocznym lesie, między świerkami, szło się nieporównanie łatwiej. Nic ich nie zatrzymywało, nie utrudniało wędrówki. Poważyli się na nieśmiały triumf.

- Spójrzcie, leśne jezioro!

Przed nimi załśniło jezioro nie większe niż sadzawka, bez trudu mogli je obejść.

Nie potrafili wyjaśnić, dlaczego nagle zaczęli się skradać na palcach, nasłuchując najlżejszych odgłosów lasu. Panowała jednak absolutna cisza, już w niej samej czaiło się coś straszego.

- Powinniśmy poczekać na Villemanna - oświadczył zdenerwowany Dolg. -

Przecież mieliśmy nie podchodzić do samej góry.

- Masz rację - przyznał Cień. - Wprawdzie znaleźliśmy swobodne dojście, lecz nie należy zapominać o obietnicy złożonej Villema...

Urwał. W napięciu stanęli jak skamieniali. Usłyszeli jakiś odgłos. Dobiegał od strony leśnego jeziora? .

Znajdowali się już po jego drugiej stronie i już mieli zawrócić i ruszyć w powrotną drogę.

- Spójrzcie - szepnęła Strażniczka.

Usłyszeli jakiś dziwny trzask. Na ich oczach ciemna powierzchnia wody pokryła się tajemniczą powłoką, szczeliny w niej tworzyły piękne, lecz w nich budzące grozę wzory.

- Lód? - zdziwił się Móri. - Lód w środku upalnego lata?

Lodowa pokrywa grubiała z przerażającą szybkością, stawała się mocna niczym stal, niebieska, z białawymi szczelinami.

- Wracamy do zagrody! - nakazał Cień.

- Dlaczego? - zaproponował jeden ze Strażników, lecz ruszył za innymi. - Wydaje się, że lód położono specjalnie po to, abyśmy mogli po nim przejść.

- Nie! - jęknął Dolg. - Biegnijcie, uciekajcie stąd co sił w nogach! Patrzcie!

Szron wypełził na brzegi jeziora, coraz dalej wyciągał macki, pokrył trawę i krzewy, a ziemia wokół uciekających ludzi pobieliała.

- Jakie straszne zimno! - zawołała jedna ze Strażniczek, - Prędko! Uciekajcie!

W niczym to im jednak nie pomogło, nawet Lemurom, 'oni bowiem zdecydowali, że zachowają widzialność, i byli teraz równie namacalni jak każdy człowiek.

Pomimo że oddalali się od góry, napłynęła owa nieznośna ociążałość, wysysając z nich siły, a jednocześnie mróz zaatakował ze wszystkich stron. Móri z rozpaczą patrzył, jak Dolg próbuje wyrwać się z uchwytu zimna, lecz nie mógł przyjąć

synowi z pomocą, ramiona bowiem miał sparaliżowane, chłód podpełził do nóg, wniknął w ciało, do szpiku kości. Nagle czarnoksiężnik nie mógł się już poruszyć.

Spostrzegł, że i innych spowiła lodowa powłoka, która stawała się coraz grubsza, zmieniając ich w bryły lodu. Byli jak trolle, które pod wpływem promieni słońca

obróciły się w kamień.

Mogli oddychać Mogli myśleć i czuć, lecz nie byli w stanie poruszać oczami.

Spojrzenie Dolga pochwyciło wzrok ojca. Czarnoksiężnik kątem oka dostrzegł rozpaczliwy wzrok jednego ze Strażników, lecz troje pozostałych i Cień znaleźli się gdzieś poza zasięgiem jego wzroku, wyczuwał tylko ich obecność.

Jednego tylko nie przewidział ich straszny, tajemniczy przeciwnik: wszyscy siedmioro posiadali zdolność porozumiewania się myślą.

„Co zrobimy, ojcze?” zapytał Dolg.

„Nie wiem”, odparł Móri. „Powinienem odpowiedzieć przeciwdziałającym zaklęciem, lecz nie znam istoty tej złej siły. A może wy wiecie, z czym mamy do czynienia?”

„Nie”, odrzekli Cień i Strażnicy. „Gdybyśmy ją znali, moglibyśmy posłużyć się magią imienia”.

„To właśnie miałem na myśli. Ale widać nie ruszymy z miejsca. Ciekawe, jak długo wytrzymamy, zanim zamarzniemy na śmierć”.

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć.

Straszna była świadomość, że nie mogą liczyć na niczyją pomoc. Gdyby pozostali ich znaleźli, skończyłoby się z nimi podobnie, a może nawet jeszcze gorzej, bo przecież wcale nie znali się na czarach. Czekalaby ich natychmiastowa zagłada, a tego nikt z więźniów lodu im nie życzył. Ich sytuacja i tak już była ciężka, nigdy dotąd nie byli do tego stopnia wyłączeni z gry.

Najbardziej jednak dokuczała im myśl: Co się stanie, jeśli nigdy nie umrą? Jeśli przy zachowaniu pełnej świadomości będą musieli tkwić we wnętrzu lodowych bloków do końca świata?

Lemurowie przeklinali swoją głupotę, że nie pozbyli się na czas ludzkiej postaci. Teraz byli uwięzieni.

Ich myśli mogły poprzemykać, lecz ciała pozostawały nieruchome.

Villemann i Maria w milczeniu jechali do domu wśród falujących zbożem pól i

zielonych lasów, oboje wzburzeni, bowiem wizyta na targu przebiegła dramatycznie.

Kupowali właśnie warzywa, kiedy trzy dość proste podstarzałe kobiety, które już od jakiegoś czasu się im przyglądały, podeszły niedbałym krokiem. Mijając ich, niby przypadkiem popchnęły Marię. Poleciała w przód na uginający się pod ciężarem warzyw kram. Tylko natychmiastowa interwencja Villemanna ocaliła ją przed wywróceniem straganu.

Handlarka zaczęła krzyczeć na Marię, zebrali się ludzie, naśmiewali się i rzucali nieprzyjemne, obelżywe uwagi nawiązujące do jej życiowej sytuacji. Ta z kobiet, która pchnęła Marię najmocniej, oświadczyła: „Tak to bywa, kiedy się nie wie, co nakazuje przyzwoitość, i zaniedbuje własne dzieci”. To otworzyło drogę do dalszych komentarzy.

Wtedy dobroduszny Villemann zapłonął gniewem.

- Nigdy nie dacie spokoju samotnej, nieszczęśliwej kobiecie, która wzięła na siebie całą winę za to, co uczynił jej mąż drań? Nigdy nie wpadło wam do tych kurzych mózdków, żeby się zastanowić, dlaczego on natychmiast sprowadził do domu drugą kobietę, podczas gdy Maria pozostała samotna? Czy widzieliście u jej boku innego mężczyznę, przed albo po tym, jak rozwiązano jej małżeństwo? Nie, dopiero teraz. A ja poznałem ją zaledwie w tym tygodniu, nie wyobrażajcie więc sobie zbyt wiele! Nie przyszło wam na myśl, że Maria miała powody, bardzo poważne powody, by zostawić swoje dzieci, oprócz tego, że jej mąż zażądał miejsca dla innej kobiety? Może postąpiła tak właśnie ze względu na dobro dzieci?

Zapadła kłopotliwa cisza.

W końcu jedna z trzech pań odezwała się zaczepnie, ale w jej głosie dała się słyszeć niepewność

- Co ona panu wmówiła? Opowiedziała jakąś łzawą historyjkę?

- Maria nic mi nie wmawiała. Przez tyle lat nie ujawniała motywów swego postępowania. Najważniejszy z nich i teraz przemilczała, lecz ja i tak się

domyślam.

Twarz Marii nie zdradzała żadnych uczuć.

- I jaki to powód? - pogardliwie spytała druga z trójki.

- To nie wasza sprawa. Ciekaw jestem, co wy, cnotliwe, pobożne mężatki, powiedziałybyście, gdyby mąż za bronił wam widywać się z waszymi dziećmi tylko dla tego, że chciał mieć spokój ze swoją nową żoną? Nie, wy się nad tym nie zastanawiacie. Wystarczy wam, że znalazł się kozioł ofiarny, nad którym można się bez karnie pastwić, prawda?

Po chwili odezwała się jakaś starsza pani:

- Nigdy nie brałam w tym udziału, ale trudno znieść córkę aptekarza, która wciąż tak zadziera nosa, mimo że wystawiła się na pośmiewisko.

O dziwo, Villemann pomimo targającego nim gniewu potrafił mówić spokojnie.

- To nie kwestia zadzierania nosa, lecz po prostu stawienia czoła wstydom i upokorzeniom, jakich zaznała Maria, chociaż wcale na to nie zasłużyła. Aby przetrwać, starała się ukryć wszelkie uczucia pod warstwą lodu. Czy możemy teraz zrobić zakupy?

Trudno uwierzyć, ale na targu zapadła cisza. Ludzie się rozeszli, jakieś dwie kobiety - żadna z tamtej trójki - podały Marii rękę, prosząc o wybaczenie. Maria sztywno skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć, a Ville - mann zauważył, że oczy jej się zaszklily. Później podeszli dwaj mężczyźni i po przyjacielsku poklepalili ją po plecach, może trochę za mocno i boleśnie, ale intencje mieli dobre.

Villemann i Maria nareszcie mogli wyruszyć w powrotną drogę do domu.

Dopiero gdy dotarli do lasu koło domu, Villemann wyznał, o czym myślał przez całą drogę:

- Widzę, że chciałabyś zapytać, ale nie masz ochoty drażnić tego tematu.

Zastanawiasz się nad tym, co powie działem na rynku o twoich poważnych powodach, prawda?

Maria zawahała się i ciężko westchnęła.

- Tak, skąd wiedziałeś?

- Szczerze powiedziawszy, w ogóle nic nie wiem, ale próbuję dodać dwa do dwóch. Kilkakrotnie sama sobie przerywałaś, wspomniałaś też o swoim dziedzictwie. Mówiłaś, że chcesz zobaczyć dzieci jeszcze jeden jedyny raz i że wyznałaś swemu mężowi wszystko. Potem to załamanie, lekarz, pigułki. I to, że tak będzie najlepiej dla dzieci.

Gwałtownie odwróciła twarz, nie chciała go słuchać, ale Villemann ciągnął bezlitośnie:

- Twoja matka umarła dość młodo, prawda? Dziedzictwo, o którym mówiłaś, nie ma żadnego związku z pieniędzmi. Mam rację?

Maria milczała.

- Sądzę, że jesteś poważnie chora. Odziedziczyłaś chorobę swojej matki.

Siedziała na koniu nieruchomo niczym posąg z marmuru.

- Na ile to jest poważne, Mario?

- Nieuleczalne. Ale potrwa jeszcze przez jakiś czas. Matka cierpiała przez wiele, bardzo wiele lat. Zauważyłam u siebie te same symptomy. Ból...

Villemann nie spytał, co jej dolega, za to mruknął pod nosem:

- On jest teraz taki matowy.

- Co powiedziałaś?

- Nic szczególnego. Być może potrafię ci pomóc, ale jeszcze nie teraz.

Roześmiała się krótko, śmiechem pełnym rozpacz.

- Nie mów głupstw, Villemannie. Powinieneś wiedzieć, że nie należy mi dawać fałszywych nadziei.

- Mówię poważnie, ale chwilowo więcej o tym nie rozmawiajmy. Twój mąż wiedział o wszystkim?

- Tak, zaczęłam chorować w ostatnim roku. Nie da się powiedzieć, że zniósł to mężnie. Bał się, że się zarazi. Boże! Przecież to nie jest zaraźliwe.

- Ale czy... myślałaś o tym, że twoje dzieci mogą odziedziczyć chorobę?

- Tak, taka była moja pierwsza myśl, kiedy się gorzej poczułam. Poprosiłam lekarza, żeby je zbadał, nie tego, który dał mi pigułki, on mieszka w Góteborgu.

Na szczęście u dzieci nie znaleziono żadnych oznak choroby, sprawiło mi to ogromną ulgę.

- Rozumiem. Mariatto, kiedy dojedziemy do domu, porozmawiamy z ojcem, Dolgiem i Cieniem. Przekonasz się, że masz przed sobą przyszłość.

- Na co mi przyszłość? - powiedziała cicho. - Bez dzieci?

Villemann nie mógł uczynić dla niej nic więcej, jak tylko uścisnąć ją za rękę i życzliwie się uśmiechnąć.

Taran na ich widok rzuciła się do nich biegiem, Nero za nią, a Uriel wyszedł na schody. Od całej trójki bił strach.

- Dzięki Bogu! - wołała Taran. - Nerwy już nam prawie puściły. Oni jeszcze nie wrócili, a my obiecaliśmy, że na was zaczekamy. Prędko, zeskakujcie z tych szkap i chodźcie z nami!

- Czekaj, czekaj - Villemann zsiadł z konia i witał się z Nerem. - Chcesz powiedzieć, że złamali dane słowo, doszli aż do tego miejsca. Mieli przecież...

- Nie wiem, do pioruna, co zrobili! - prychnęła Taran. - Nie ma ich już od wielu godzin.

Villemann popatrzył na Marię.

- Musimy ich poszukać. Pójdiesz z nami?

- Oczywiście! Napiję się tylko trochę mleka, zgłodniałam.

- Ja także - przyznał Villemann. - Zaczekacie? Taran, kiedy biegli przez las, szepnęła do swego brata bliźniaka:

- Mam wrażenie, że zaczyna mięknać. - O, tak.

W krótkich słowach opisał, co się przydarzyło. Uriel także się przysłuchiwał, a Maria biegła przodem razem z Nerem.

Taran, wysłuchawszy opowieści brata, orzekła gniewnie:

- Co za nędzny, tchórzliwy łajdak! Czy mogę się wybrać do tego dworu i pokazać tej nowej żonie, jak łatwo da się go wyrwać również z tego małżeństwa?

- Spróbowałabyś tylko! - pogroził jej Uriel. - Ale wcale nie wątpię, że uwiodłabyś go bez kłopotu.

- Możesz być tego pewny - oświadczyła Taran. Ponieważ Maria się zatrzymała i czekała na nich, nie powiedzieli nic więcej.

- Nie ma ich tutaj - oznajmił Uriel, kiedy dotarli do brzegu moczarów.

- To prawda - odparła Taran. - Diabelnie tu cicho. - Zawołała: - Ojczy, Cieniu, Dolgu, gdzie jesteście?

Spod nieba dobiegł ich jedynie skrzek jastrzębia.

Chmury zawisły tak nisko, że kryły się w nich wierzchołki rzadkich sosen, które rosły przy bagnie. W oddali po drugiej stronie dostrzegali tylko najniższą partię góry. Las wokół moczarów stał milczący.

- Żadnego dźwięku - szepnęła Maria.

- Do czarta, jak tu strasznie! - mruknęła Taran. - Gdy by byli tam, przy górze, albo na jej szczycie, usłyszeliby moje wołanie, prawda?

- Jasne - odparł Villemann.

- Może poszli inną drogą? - podsunął Uriel. - Postanowili dostać się od tyłu.

W milczeniu rozważyli taką ewentualność. Villemann popatrzył na ziemię i szepnął:

- Spójrzcie, ślady butów!

- Przecież szliśmy tędy wczoraj - przypomniała Taran.

- Oczywiście.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że są tylko zwykłymi ludźmi. Nie mogli zwrócić się o pomoc do duchów, nie mieli żadnych nadprzyrodzonych zdolności. Byli bezradni.

Uriel stuknął się w głowę.

- O czym my, na miłość boską, myślimy? - skarcił sam siebie. - Nero! Szukaj Dolga! Szukaj Móriego!

Villemann głośno wypuścił powietrze z płuc.

- Urielu! Jesteś geniuszem.

- To raczej my jesteśmy kompletnymi durniami. Szukaj, Nero, szukaj!

Nero już patrzył na nich czujnym wzrokiem, jak przystało tropiącemu psu

najwyższej klasy. A teraz orał nosem w piasku i w błotnistej ziemi. Wkrótce podjął trop.

- Poszli tak samo jak wczoraj, wzdłuż brzegu - stwierdziła Taran.

- Ojej! Nie przejdziemy dalej! Ta okropna ociężałość...

- Nera to nie powstrzymuje - powiedział Villemann.

- Spójrzcie, on skręca! Skręca w las!

- Tak jak mówiłeś, Urielu - przyznała Taran. - Chodźcie spróbujemy pokonać ten opór!

- Nie trzeba! - zawołał Uriel. - Możemy wejść w las już tutaj.

Wszedł między drzewa bez trudu. Reszta pospieszyła za nim.

- Nero! Zaczekaj! - krzyknął Villemann. - Nie nadążymy za tobą.

Pies niechętnie się zatrzymał. Podskakiwał w miejscu.

- Dokąd prowadzi ten las, Mario? - zapytała Taran.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem - odparła Finka.

- Nigdy tędy nie chodziłam. Przypuszczam, że ziemia mojego dziadka kończy się gdzieś tutaj.

Na wszelki wypadek Villemann wziął Nera na smycz, by ogarnięty zapalem pies nie zniknął im z oczu. Piszcział cichutko, wyczuwało się jego lęk i niepewność.

- Nie bój się, zaraz znajdziemy twoich panów. Masz Ślad?

Nero bez wahania pognął przez las. Zorientowali się, że posuwa się w kierunku góry, co bardzo zdenerwowało Villemanna. Czyżby tamci mimo wszystko zdecydowali się tam dotrzeć, chociaż obiecali się wstrzymać?

- Dziękujemy Bogu za takiego psa - mruknął Uriel. - Nero, jesteś prawdziwym skarbem!

- Ten skarb odkryła nasza kochana matka nieprawdopodobnie dawno temu - przypomniała Taran. - Nie mogła dokonać lepszego wyboru, ale...

Pozostali także przystanęli. Zdumieni patrzyli na ziemię.

- Mróz? Szron? - dziwiła się Maria. - O tej porze roku?

- To bez sensu - Taran ledwie mówiła sztywnymi wargami.

Powiedli wzrokiem po ziemi. Szron dochodził do maleńkiego jeziora pokrytego grubą warstwą lodu jak w najgłębszą zimę.

- Co to jest? - zdumiał się Uriel. Villemannowi zaparło dech w piersiach.

- Po drugiej stronie... Widzicie to, co ja?

- O mój Boże - szepnęła Maria.

Ujrzeni budzący grozę widok. Siedem posągów z niebieskawego przezroczystego lodu. Przez lodową pokrywę prześwitywały znieruchomiałe postaci ich przyjaciół.

Widzieli ich przerażone, pełne rozpaczycy oczy i zrozumieli, że musiał już upłynąć prawie cały dzień od czasu, kiedy się to wydarzyło.

Wszystko to było niepojęte i nieprawdopodobnie wprost przerażające.

Taran poczuła, że robi jej się słabo. Miała wrażenie, że za chwilę straci przytomność.

Uriel wychwycił z oczu Móriego ostrzeżenie i przytrzymał żonę.

Villemann natomiast długo się nie namyślał.

- Ojczy! Dolgu! - zawołał i puścił smycz Nera, którą Uriel natychmiast złapał, by powstrzymać psa przed rzuceniem się na ratunek swoim panom.

Villemanna nikt nie zdążył powstrzymać. Pognał jak szalony przez zmarzniętą, pokrytą szronem ziemię. Ciszę rozdarł rozpaczliwy krzyk Marii:

- Nie, Villemannie, nie!

Móri i jego towarzysze widzieli, jak się zbliżają.

„Na miłość boską, nie podchodźcie bliżej!” sygnalizował zdesperowany Móri, chociaż wiedział, że jego wysiłki pójdą na marne. Żadne z nich nie miało zdolności przechwytywania myśli.

Oni sami czekali już tak długo, schłodzeni do granicy wytrzymałości ludzkiego ciała. Mieli nadzieję i błagali, by ktoś ich odnalazł, choć jednocześnie do szaleństwa doprowadzał ich lęk przed tym, co się może wydarzyć.

A teraz wszyscy czworo, którzy zostali w domu, byli tutaj razem z Nerem.

„Nie podchodźcie! Nie zbliżajcie się!” próbował przekazać im Móri.

Ale jego młodszy syn, szaleniec, nie miał czasu na wsłuchiwanie się w myśli. Zauważyli to wszyscy, zarówno ci swobodni, jak i zamarnięci. Widzieli, jak Villemann wchodzi na obszar szronu, biegnie do swego ojca, który stał najbliżej, przesuwa się coraz wolniejszym krokiem. Jak wymachuje rękami, przebiera palcami, próbuje zawrócić...

Stanął. Krzyczał ze strachu. Nie mógł drgnąć, nie mógł poruszyć ani rękami, ani nogami. Patrzył tylko, jak biały mróz pełźnie mu po nogach, ogarnia całe ciało, a jednocześnie widział, jak szron pokrywający ziemię podpełza ku trojgu, którzy przybyli wraz z nim.

- Zabierzcie Nera, stoi za blisko - zdążył jeszcze zawołać i głos uwiązł mu w gardle. Twarz mu zeszywniała, marzył jak nigdy dotąd.

Lodowa pokrywa wokół niego zgęstniała, robiła się coraz grubsza.

Zobaczył, że tamci zdążyli uskoczyć, cofnęli się na pewny grunt. Uriel przykucnął i objął Nera skowyczącego ze strachu.

- Dobry Boże, co my zrobimy? - jęknęła Taran. Ich głosy docierały do Móriego niczym przez grubą szybę. Villemann utknął, pomyślał przepełniony smutkiem. Na szczęście Uriel ma więcej rozumu, przytrzymuje Taran i Nera. A Maria stoi kawałek za nimi. Zastania twarz dłońmi.

Przez głowę przeleciała Móriemu oderwana myśl: Chyba polubiła mojego syna...

Co robić teraz? Co robić?

Kamienie pociemniały, noszą piętno zła, nie możemy się nimi posłużyć, zresztą one chyba nie mają mocy, jeśli Dolg ich nie trzyma.

Cień i Lemurowie też nie są w stanie nic zdziałać. Uwięźli w swoich ludzkich postaciach i nie mogą pozbyć się ani ich, ani lodu. Jesteśmy straceni.

Patrzcie, parujący szron pełźnie dalej, do tamtych. Uciekajcie, najdrożsi, ratujcie się dla Tiril, Theresy i Erlinga!

Usłyszał głos Taran:

- Urielu, co my zrobimy, co zrobimy? Musimy stąd odejść! A nie zgadzam się, abyśmy opuścili rodzinę.

- Ja też - odparł Uriel. Jego głos zabrzmiał dziwnie głucho. - Ach, gdybym był w połowie aniołem, może mógłbym coś poradzić!

- Tak, a teraz nie mamy żadnych środków - uzalila się Taran.

Z największą niechęcią cofali się coraz dalej w miarę przybliżania się mrozu.

Gdybyśmy tylko mogli dotrzeć do jądra zła, myślał Móri, lecz jeśli o mnie chodzi, jest już za późno, a Taran i Uriel pewnie na to nie wpadną.

Nagle jego myśli urwały się. Stał tylko i nasłuchiwał.

Maria wystąpiła naprzód, tak daleko, jak tylko śmiała. Złożyła ręce na piersi i niezwykłym tonem zaczęła pieśń. Przemawiała obcym językiem, ale ponieważ wszyscy mieli przy sobie aparaciki Madragów, rozumieli ją bez kłopotu.

Najpierw zawołała:

- Sądzisz, że jesteś mi obcy, że nic o tobie nie wiem, nędzny potomku złych przodków, co sam masz złe zwyczaje? Mam ci rzec, co wiem o tobie? Stawisz czoło moim runom?

Mój ty świecie! Ona ma zamiar posłużyć się magią imienia! Czy zdoła sobie z tym poradzić?

Ale ogromnie zaimponowało mu to, co usłyszał.

- Zależy ci na paznokciach? Możesz zamrażać niedźwiedzia, Potężny bądź wobec równych. Ciągniesz człowieka za uszy, Ale gdy mnie przemrozisz, Nie będę mógł cię wysłuchać. Przed kim się wtedy pochwalisz?

Ona zaklina, pomyślał Móri podniecony. Potrafi to, naprawdę świetnie sobie radzi, mówi po fińsku, starym językiem, lecz to właśnie on posiada właściwą moc. Byle tylko nie zaczęła się jąkać, nie zapomniała, co ma powiedzieć, bo wtedy straci panowanie nad tym, którego chce dopaść.

Maria podjęła:

- Czy mam cię zwać po imieniu, Kim jesteś, skąd się wziąłeś? Twoim ojcem i matką

Jest biegunowe koło,

Ostre, zimne powietrze

Surowym ojcem jest twoim;
Pod dziurawym namiotem,
Za wsią Iapońską z dala
Złe zimno cię powiło
Z wiatrem ostrym pospołu.

Ona to potrafi, myślał Móri. To inna forma zaklęć niż nasza, ale Maria jest w tym przynajmniej tak samo dobra jak my.

Zainteresowany zarówno sztuką zaklinania Marii, jak i tym, co mogła zdziałać, słuchał dalej:

- Kto dał pierś niemowlęciu? Biała śnieżna zawieja

Dała mu piersi ssać,

Pełne zimowej burzy.

Latem karmił go wąż,

Żmija go latem karmiła

Dwiema strużkami jadu

Z rozwidlonego języka.

Wiatr go północny kołysał

Na skalnym żmijowisku,

Usypiał go lodowiec,

Szemrzące dołem strumienie,

Które z głowy lodowca

Płynęły latem w nizinę.

Czy Móri się nie mylił? Czy szron zaczął ciemnieć, czy sam widział teraz nieco wyraźniej, jakby lodowy pancierz nie był już tak gruby?

Nie wmawiaj sobie, Móri, nie oszukuj się. Znowu usłyszał monotonne zaklinanie Mariatty, na szczęście głos jej nie drżał, przynajmniej na razie.

- Chłopiec poczęty był źle, Od urodzenia już zły, Niegodny, złośliwy nicpoń, Można powiedzieć, łobuz. Dali mu wtedy imię - Ciarki chodzą po grzbiecie - Dali mu imię Mróz.

W lodowej pokrywie na jeziorku pojawiły się szczeliny. Móri poczuł krople wody spływające po jego lodowym pancerzu. Spozstrzegł, że to samo dzieje się z innymi. Dalej, Mario, dalej! Nie, Mariatto, to imię powinnaś nosić!

Maria, w miarę jak szron pokrywający trawę i krzewy zniknął, podchodziła o kilka kroków. Zbliżała się już do lodowego posągu Villemanna, ale zwracała się do Mrozu:

- Wracaj do chłodnej Pohjoli, Zawracaj, skąd przyszedłeś, Tam szalej, ile zechcesz.

Nie musiała posuwać się dalej, opór ustępował. Zamarznięci poczuli, że lód topnieje, i mogli, wprawdzie powoli i boleśnie, poruszyć członkami.

Mariatta zorientowawszy się, że zyskała przewagę nad wrogiem, zakończyła:

- Jeśli mnie nie posłuchasz, Jeśli nie spełnisz rozkazu, Będiesz w tym ogniu cierpieć! Dopokąd cię nie uwolnię. Mówiła teraz zwyczajnym głosem:

- Chcesz czekać, abym zaklęciami zmusiła cię, byś się ukazał? Żeby wrzuciła cię w ogień?

Ostatnie resztki lodu i szronu poczerniały i zniknęły. Usłyszeli niesamowity głos, przypominający szum trawy:

- Zawrzyjmy więc umowę, Nie szkodźmy sobie wzajem. Są pewne mroźne miejsca,

W których mam swoje prawa.

To Mróz we własnej osobie, pomyślał Móri oniemiały ze zdumienia. Dziewczyna naprawdę wiele umie. Chodziła do dobrej szkoły.

Słaby głos w trawie błagał żałośnie:

- Jeśli przekroczę granice, Będę cię chciał zamrozić, Możesz rzucić mnie w ogień, Utopić w głębokim piecu Lub cisnąć na kowadło

W kuźni Ilmarinena, Możesz mnie kuć na podkowy Koniom swoim do kopyt. Bądź pewien, że ja nigdy Przeciw tobie nie wyjdę Jeśli wątpisz w te słowa, Rzuć mnie natychmiast w ogień, Niechaj się w nim rozplynę.

- Doskonale! Dziękuję - powiedziała Mariatta. - I nie służ więcej innym. A wy

możecie teraz iść wolno.

Zorientowali się już w sytuacji, zebrali wokół Marii z twarzami promieniejącymi radością.

Móri, wdzięczny, mocno ją uściskał.

Po raz pierwszy Villemann dostrzegł w oczach Marii prawdziwą radość i dumę.

Kiedy nadeszła jego kolej podziękowań, oboje się zawahali. Zaraz jednak Villemann otoczył ją ramionami i mocno, serdecznie przytulił, starając się nadać uściskowi dodatkowe znaczenie. Cień nie skrywał podziwu.

- Nie zrobiłaś tego na próżno, dziewczyno - powie dział swym dudniącym głosem.

- Jesteśmy ci winni wielką wdzięczność.

Czworo Strażników ukloniło się przed nią głęboko, obiecując wszelkie dobra na tej ziemi.

Maria się rozpromieniła. Villemann natomiast spoważniał.

- Ojciec... Dolgu... Możemy pomóc Marii. Zwięźle opowiedział o podwójnej tragedii dziewczyny. Móri zamyślił się.

- Niestety, nie możemy ci pomóc odzyskać dzieci, do póki nie masz im do zaofiarowania prawdziwego domu.

- Przecież ma tę leśną zagrodę - wtrącił prędko Villemann.

- To nic w porównaniu z dworem i rodziną.

- Rodzinę przecież też może mieć.

- Powoli, Villemannie - uśmiechnął się pod nosem ojciec, kiedy ruszyli w stronę domu.

- Wiesz, Mariatto... Villemann mówił prawdę, kiedy twierdził, że możemy uleczyć twoją chorobę. Mamy środek zaradczy, lecz chwilowo uszkodziła go bliskość złego Mrozu. Teraz sprawdzimy, czy znów można go wykorzystać. A co ty o tym myślisz, Dolgu?

Dolg, który nie odezwał się ani słowem, odkąd został uwolniony z lodowych okowów, tylko ujął Mariattę za rękę i dziękował jej w milczeniu, powiedział zadumany:

- Oczywiście zrobię dla Marii wszystko, co będę mógł, na razie jednak to niemożliwe.

Villemann nie krył zapału.

- Ale przecież niebezpieczeństwo już minęło.

Dolg i Mariana popatrzyli na siebie. Pozostali z niepokojem obserwowali ich spojrzenia. Wreszcie Dolg powiedział niechętnie:

- Mariatta miała całkowitą rację, kiedy mówiła, że Mróz służył komu innemu.

- Chcecie powiedzieć...? Mariatta odpowiedziała:

- Zło tylko posłużyło się Mrozem, by was zatrzymać. Ono wciąż tu jest.

Kiedy wszyscy wypoczęli po wstrząsających przeżyciach w lesie i odzyskali normalną ciepłość ciała, Cień zgromadził ich wokół wielkiego stołu. Maria i Taran z zapasów przywiezionych z miasta przygotowały dla wszystkich posiłek, Uriel narażał drzewa przy asyście Nera, który wynosił te kawałki, które on wniósł do domu.

Cień był bardzo poważny.

- Naszą winą jest, że wy, żywi, narażeni zostaliście na takie niebezpieczeństwo.

Ja jestem za was odpowiedzialny i my, Lemurowie, chcemy się teraz dowiedzieć, czego pragniecie jako rekompensatę za wasze nieprzewidziane cierpienie.

Pozostali Lemurowie zgodnie pokiwali głowami.

Upłynęła długa chwila, zanim ludzie wreszcie odpowiedzieli. Spoglądali po sobie, jakby chcieli się siebie wzajemnie poradzić.

W końcu Móri powiedział:

- Sądzę, że naszym najgorętszym życzeniem jest zobaczyć Słońce. Niczego więcej nie żądamy.

- To bardzo skromne życzenie - uśmiechnął się Cień. - Wobec tego zostawmy na razie ten temat. Mam teraz pytanie do naszej zacnej gospodyni. Jakie wnioski wyciągasz z tego, co wydarzyło się w lesie? Odnoszę wrażenie, że możesz mieć wiele istotnych dla nas informacji.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu potwierdzili słowa Cienia. Ciekawi byli, co im powie Maria.

- Dlaczego uważasz, że kryje się za tym jakaś potężniejsza siła? - zapytała Taran.

- Ponieważ, jak już mówiłam, Mróz nie ma własnej mocy. Jest tylko narzędziem.

- To brzmi logicznie - stwierdził Cień. - Kto więc się za nim kryje?

Mariatta wzruszyła ramionami.

- Może ich być wielu.

- Sądzisz jednak, że to jakaś fińska moc?

- Nie wiem. Wówczas, kiedy przeniesiono nas tu siłą, przywiedliśmy ze sobą naszych bogów, naszą mitologię. W tych lasach wciąż żyją nasze dawne wierzenia.

- Wspaniale, że mówisz „my” - ciepło uśmiechnął się do niej Villemann. - To świadczy, że uważasz się za Finkę.

- Tak jest w istocie - potwierdziła onieśmielona. - Rodziną mego ojca nie ma się co chwalić. Nadęte snoby, które zniszczyły życie mojej matki.

- I twoje - dopowiedział Uriel. - Przy wydatnej po mocy twego męża.

Mariatta zamyślona pokiwała głową.

- Dobrze, a teraz posłuchajmy - poprosił Cień. - Jeśli to rzeczywiście fińska moc, kto to może być?

- Jest spośród kogo wybierać. W starej fińskiej mitologii wiele było złych istot. Jest na przykład Surma, symbol gwałtownej, nagłej śmierci, ale nie z tym mamy tutaj do czynienia. Lempo, Zły, Aijó, bóg grzmotu, również zwany Złym, Syójatar, straszliwa kobieca istota, niemal wampir, jej imię znaczy Żarłoczna i Chciwa.

- Uf - wzdrygnęła się Taran.

- Myślę, że nie z nią mamy teraz do czynienia. Dalej są Louhi i Hiisi. Oni wydają mi się bardziej prawdopodobni.

- Kto to taki Louhi? - zaciekawiał się Móri.

- Louhi jest zmienna. Właściwie jest władczynią Pohja lub też Pohjola, czyli krainy na północy, lecz symbolizuje także niebezpieczną zaczarowaną krainę na

najdalszych północnych krańcach świata. Louhi zwana jest czasami gospodynią Pohjola. Wprawdzie brzmi to wspaniale, lecz ona nigdy nie bywa dobra. Broni tego, co do niej należy, silną, wręcz chciwą ręką. Przedstawia się ją czasami jako straszliwą wiedźmę, zwa ją nawet „babą o długich zębach”.

- Bardzo przyjemne - stwierdził Villemann. - Mariatto, ale mnie się to wszystko nie zgadza. Zwłaszcza kiedy chodzi o ciebie. Sama przecież mówiłaś, że miano Córki Mrozu, jak nazywają cię ludzie, nosi również Córka Pohjola. A przecież ty nie jesteś córką złej wiedźmy.

- Rzeczywiście, nie - powiedziała żałośnie. - Ale właściwie jest tak, jak mówisz, Villemannie. Ludzie uważa ją mnie za lodowatą kobietę - demona, dlatego że nie śmiałam okazywać żadnych uczuć. Byłam głupia - pod sumowała samokrytycznie. Móri w przyływie sympatii nakrył jej dłoń swoją.

- Myślisz, że to Louhi grasuje? - spytał Uriel.

- Nie, przypuszczam, że ona raczej trzyma się Północy. Wątpię też, by miała tak potężną moc, by zniszczyć taki wielki obszar. Wierzę raczej w Hiisi.

- Opowiedz nam o Hiisi - poprosił Dolg.

- Jest bożkiem lasu...

- Chwileczkę - przerwał jej Móri. - Stary Fin, które go spotkaliśmy przed dwudziestu pięciu laty, opowiadał mi o swoich bogach i według niego Władca Lasu nosił imię Tapio!

- Zgadza się - kiwnęła głową Mariatta. - Tapio jest prawdziwym władcą lasu. Ale w lesie kryje się także zła siła. To właśnie Hiisi. Hiisi to wiele rzeczy, czasami bywa leśną panną, strzygą, na ogół jednak jest to istota męska, która kusi dzieci, złośliwy leśny duch, można go wręcz nazwać diabłem albo samym piekłem, Hiisi bowiem uosabia ponury ciemny las, groźne, niebezpieczne miejsce.

- A więc już wiemy - doszedł do wniosku Cień. - Naszym przeciwnikiem musi być Hiisi, wszystko się zgadza. Zakładam też, że on potrafi się przemieszczać, w przeciwieństwie do gospodyni Pohjola.

- Bez wątplenia - odparła Mariana. Móri wstał.

- Doskonale! Znamy już imię naszego wroga, .znamy jego istotę. Najbardziej niepokoiło mnie, że cały obszar był przesiąknięty złem. Uważałem, że żadna moc nie może być tak potężna, ale ty, Mariatto, dałaś nam od powiedź. Dzięki temu będzie łatwiej go zwalczyć.

- Tak sądzisz? - mruknął Villemann. - W jaki sposób można zaatakować obszar?

- Zobaczymy. Teraz pójdziemy spać, może w nocy wymyślimy coś mądrego.

Wstali od stołu i rozeszli się po domu do swoich mniej lub bardziej prowizorycznych posłań.

Tej nocy ciężkie chmury rozsunęły się, ustępując miejsca wspaniałemu, świecącemu zimnym blaskiem księżycowi w pełni.

Mariatta spała wyczerpana po niespokojnej nocy i wstrząsających wydarzeniach dnia, ale Villemann, leżący na podłodze w wielkiej izbie, nie mógł zasnąć. Patrzył w księżyc i próbował nawiązać z nim kontakt. W jaki sposób i dlaczego, nie wiedział, bo też i któż nawiąże kontakt z niezgłębionym księżycem?

Ogarnął go niezwykły smutek. Miał wrażenie, że pochyla się nad nim wieczność.

Czuł, że jest zaledwie maleńkim ziarnkiem prochu w historii świata. Rodzina czarnoksiężnika otarła się o sprawy, które dla większości ludzi pozostają obce.

Przez to Villemann zyskał wiedzę większą, niż by nawet sam sobie tego życzył.

Melancholia nie dawała mu spokoju. Po cichutku wymknął się do przytulnej kuchni, gdzie na palenisku wciąż jeszcze się żarzyło. Nero podreptał za nim. Ville-

- mann dołożył do ognia, pogłaskał starego przyjaciela, mówiąc: „Tak, tak, to twoje drewno, ty je wносиłeś, to znaczy wynosiłeś, ale w każdym razie towarzyszyłeś Urielowi, kiedy wnosił je po raz drugi”. Podziękował psu za dotrzymanie mu towarzystwa w nocy.

- Potrzeba nam obu trochę ciepła, Nero. Jest pełnia księżycy. Tak, to ta straszna lampa, którą widzisz na niebie. A pełni towarzyszy często chłodna, lecz przejrzysta pogoda. Nawet w środku lata.

Mówił ot, tak sobie. Prawdą jednak było, że wciąż był przemarznięty, atak Mrozu sprawił, że chłód przeniknął wszystkich do szpiku kości.

Co mogę zrobić dla Marii? zastanawiał się, siadając plecami do ognia, żeby trochę ogrzać krzyż. Na pewno zdołalibyśmy zaradzić jej chorobie, wydłużyć życie, ale na jej tęsknotę za dziećmi niewiele mogę poradzić. Oczywiście jesteśmy w stanie w jakiś sposób wymusić odzyskanie przez nią dzieci, ale czy to w porządku wobec malców? Może najlepiej jest im tam, gdzie są? A jeśli cierpią? Nero podniósł łeb, lekko zamerdał ogonem. Mieli towarzystwo.

Dwoje Strażników, kobieta i mężczyzna, bezszelestnie usiadło przy stole.

Villemann powitał ich trochę niepewny, bo dotychczas niewiele z nimi rozmawiał.

Towarzyszili Dolgowi, nie jemu, Dolg znał ich dobrze, bo przecież to on wybawił ich od trwającej tak strasznie długo warty. Ville - mann był z nim tylko na przyczepkę.

Tak przynajmniej się czuł.

W pokoju panował półmrok. Bładoniebieskie światło księżyca szło w zawody z ciepłym blaskiem ognia. Villemann widział Strażników wyraźnie, w niezwykłym oświetleniu ich czarne oczy błyszczały niczym olbrzymie ślepiec owadów. Chłopca ogarnął czarodziejski, nieziemski nastrój.

- O czym myślisz, młody dzielny Villemannie? Nazwali go dzielnym? Jak miło!

Wyznał, że bardzo niepokoi się o Marię, i powiedział, jaka go ogarnęła melancholia. Zrozumieli jego rozterki.

- Dlaczego nie pójdziesz z nami, Villemannie? Jeśli odnajdziemy Wrota...

Chłopak drgnął.

- Iść z wami? Do... innego świata? - Tak.

- Czy to oznacza śmierć?

- Nie, nie, przeciwnie. Tam nie umrzesz, chyba że sam będziesz miał dość życia.

- Ależ ja nie mogę zostawić...

- Dolg pójdzie z nami.

- Co takiego? Nie mogę stracić Dolga. To mój starszy brat. Nic mi go nie zastąpi.

- Zrób więc tak jak on.

Villemann przez chwilę milczał, wstrząśnięty do głębi.

- Nie mogę zostawić Marii, nie teraz.
- Maria nie ma tu żadnej przyszłości. Nawet jeśli ją uzdrowicie, jej życie będzie pasmem tęsknoty. Zabierz ją ze sobą.
- Tam będzie tak samo tęskniła za dziećmi. Może nawet bardziej, bo, jak mówiliście, stamtąd nie ma powrotu.
- Pamiętaj, że Wrota oczyszczają. Wszystko, co w życiu na Ziemi było trudne, błędnie i znika.
- Chcecie powiedzieć, że ona... zapomni o dzieciach?
- Tak będzie najlepiej.

Villemann znów na jakiś czas zapadł w milczenie. Musiał to przetrwać. Trochę było dla niego zbyt wiele jak na jeden raz.

Wysunął kolejny argument:

- Nasi rodzice nie mogą utracić obu synów.
- Wcale się tak nie stanie - łagodnie zaprzeczyła Strażniczka.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Móri zastanawia się, czy nie iść z nami. Jest czarnoksiężnikiem i po śmierci czeka go jedynie ten straszny chór czarnoksiężników w Grocie Oczekiwania. Dlatego woli raczej przejść przez Wrota, a wtedy zabierze ze sobą Tiril.
- Czy ona się zgodzi?
- Nie mieliśmy okazji jej zapytać, lecz jeśli wszystkie dzieci się zdecydują, to...

Po chwili ciszy Villemann spytał zrezygnowanym głosem:

- Powiedzcie mi, jak wielu macie zamiar zabrać ze sobą przez Wrota?
- Wielu. Taran i Uriel są żądni przygód i chcą iść z nami, Cień oczywiście, on wszak jest jednym z nas, Madragowie nie mają co robić wśród ludzi, ich czas upłynął przed milionami lat. No i wszystkie błędne ogniki, które powróciły do swej postaci Lemurów. Elfy...
- Elfy nie mogą chyba opuścić Ziemi?
- Nie chcą już patrzeć, jak ludzie ją niszczą.
- Rzeczywiście, to można zrozumieć.

- I wielu, wielu innych. Duchy przyrody, zmarli ludzie, którzy wciąż cierpią. Duchy Móriego.

- No tak, to oczywiste, ale babcia i dziadek umrą z rozpaczy, jeśli wszyscy znikną. Strażnik popatrzył na księżyc. W srebrnym blasku jego twarz była nadziemsko piękna. W głosie zabrzmiał smutek.

- Twoja babcia, ten wspaniały człowiek, utraci swoje ukochane Theresenhof na rzecz cesarza, który ma za miar skonfiskować wiele tamtejszych dworów. Ani Rafael, ani Danielle nie mają żadnej przyszłości.

- Czy oni także pójdą z wami?

- Nikogo z Austrii jeszcze nie pytaliśmy.

- Ale przecież ich tu nie ma, nie zdążą przyjechać, za nim Wrota się otworzą. Strażnik pochylił się w przód.

- Po pierwsze, nie odnaleźliśmy jeszcze Wrót ani Słońca. Nie zdołaliśmy nawet pokonać przeszkody - przypomniał mu z uśmiechem. Strażniczka także się uśmiechnęła.

- Po drugie, słyszałeś chyba o podróżowaniu na sposób elfów?

- Oczywiście - rozjaśnił się Villemann. - A więc elfy ich tu przywiozą?

- Wszystkich, którzy zechcą, Villemann zastanowił się.

- Dziadka Erlinga także? No tak, to możliwe. Muszą wysłać ciotce Aurorze wiadomość, że nie przyjadą do Norwegii... I co z Heinrichem Reussem von Gera? Na pewno chciałby być przy tym, jak znajdziemy Słońce. Strażnik rzekł dobrodusznie:

- Wygląda na to, że już się zdecydowałeś, Villemannie. Poderwał się.

- Co? Nie, właściwie nie, nie całkiem, jeszcze nie. Co z Nerem?

- Oczywiście, że pójdzie z nami. On i Dolg są nierozłączni. Dopóki żyje Dolg, żyje także Nero, i odwrotnie, pomyślał Villemann. Tak, Nero nie może tu zostać. Odruchowo pogłaskał psa po kosmatym karku. Siedział oszołomiony. Miał wielką ochotę wyruszyć, jeśli tylko będą przy nim

wszyscy pozostali.

Ale gdyby ktoś z nich się nie zdecydował? Wtedy nie potrafiliby już podjąć decyzji. Zrozumiał, jak silne więzy łączą rodzinę i grono przyjaciół i jak mocno on sam jest z nimi związany.

Maria...?

- Jak jest w tamtym świecie? - spytał niepewny. - Czy tam się żyje normalnie?

Normalnie kocha i rodzi dzieci?

- Tak przypuszczamy - odparł Strażnik, - Sami wie my tylko to, co nasi obcy przodkowie opowiedzieli o swej baśniowej krainie naszym ziemskim przodkom, pierwszym Lemurom.

- Zawsze miałem słabość do baśni - szeroko uśmiechnął się Villemann.

- Staraj się, aby tak było nadal, a zachowasz dziecięcą czystość ducha - powiedziała Strażniczka. - Wiemy, że tam jest bardzo pięknie, chociaż w inny sposób niż w naszym świecie. Mieszkańcy żyją spokojnie, a mimo to jest ciekawie, dużo się dzieje, lecz to nie ma złego wpływu na ludzi i zwierzęta.

- Dobrze, ale gdzie leży ten świat? Dokąd prowadzą Wrota?

- Wiemy o tym tyle samo, co ty. I już jest ciekawie, prawda?

- No tak, macie rację. Dobrze, pomyślę. Odpowiem wam szczerze i... chyba mam mało czasu na zastanowienie się, prawda?

- Obawiam się, że tak.

Villemann wiedziony ukłuciem zazdrości nie mógł się powstrzymać przed pytaniem:

- Dlaczego mnie spytano na końcu?

- Tak się złożyło. Tamtej nocy nad brzegiem Wetter zasnąłeś bardzo prędko, a wtedy właśnie Dolg wyznał, że postanowił iść z nami. Potem po kolei wypowiadali się wszyscy, ale dzisiejszej nocy przysłano nas tu do kuchni, by z tobą porozmawiać, bo jesteś bardzo ważny.

Te słowa nieco go pocieszyły.

- Poza tym nie jesteś ostatni. Nie pytano jeszcze Tiril ani twoich dziadków,

Rafaela, Danielle i ich wybranków, ani Marii.

- Muszę z nią porozmawiać - zamyślił się Villemann. - Nie mam ochoty zostawiać jej samej.

Strażnicy wymienili spojrzenia. Wyraźnie było widać, co postanowił Villemann.

Ukryli uśmiech.

- Pomów z nią - życzliwie rzekł Strażnik. - Teraz jednak powinieneś trochę odpocząć. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Walka z Hiisi, który zawładnął moczarami i górą? O tak, Villemann nie wątpił, że będzie to ciężka przeprawa.

Villemann wstał wczesnym rankiem, aby porozmawiać z Marią w cztery oczy. Z jego planów nic jednak nie wyszło, równie dobrze mógł jeszcze trochę pospać.

Wszedł do kuchni zadowolony z własnej przebiegłości i zabrał się do sprzątanego po późnym wieczornym posiłku. Maria jeszcze nie wstała, więc się nie spieszył.

Pierwsi pojawili się Taran i Uriel.

Taran nie wierzyła własnym oczom.

- Villemann? Ty? W kuchni przy zmywaniu?

- Tak. I co z tego? - odparował urażony. - Nie możemy wszystkiego składać na barki Mariatty.

- Właśnie dlatego wstaliśmy i my. Patrzcie, ojciec i Dolg! Okropnie porządni się wszyscy ostatnio zrobili.

Ostatnia przysła Mariatta i zastała kuchnię wyczyszczoną do połysku.

Wyraźnie pobladła, lecz raczej nie z tego powodu.

- Co się stało, Mariatto? - troskliwie spytał Móri - Gorzej się czujesz?

- Nie, nie to. Dużo myślałam.

- No tak, myślenie męczy - zachichotała Taran, ale Dolg ją uciszył.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak mi się odruchowo wyrwało. Powiedz, o czym myślałaś?

- O tym, o co mnie prosiliście. O Hiisi, o tym, jak możemy go zwalczyć.

Bardzo dobrze - ucieszył się Móri. - Do jakich wniosków doszłaś? Co mówią

wasze rany, wasze zaklęcia?

- Staralam się sobie przypomnieć i mam tylko jedno rozwiązanie, innych nie dostrzegam.

- Widzę, że nie jest ono łatwe. - Dolg przypatrywał się jej skupiony. - Mów.

Maria wahała się, oczy zapadły jej się głębiej, teraz widać było jeszcze wyraźniej, że ma poważne kłopoty ze zdrowiem.

- Hiisi jest zły - wydusiła z siebie wreszcie. - Bardzo zły, prawie niepokonany.

Często wspomina się go w na szych runach, ale nigdy nie został opisany ze szczegółami. Nie ma odrębnych run ani zaklęć dotyczących tylko je go, właściwie wiem więc bardzo mało. Mówi się o bandzie Hiisi, o jego duchach Otchłani, lecz nigdy o nim samym, choć przecież to on jest tą złą siłą. Prawdą jest natomiast, że Hiisi nie rezygnuje z niczego dobrowolnie, nie żądając nic w zamian. - Maria westchnęła. - Posłużyłam się dzisiejszej nocy runami, zaklęciami czy galdrami, jak wy je nazywacie. Przemówiłam do dobrych sił z lasu, do Tapio, jego dobrej gospodyni Miellikki, do córki Tapio, Tellervo, i otrzymałam odpowiedź.

- Jak brzmiała? - dopytywał się Móri.

Nigdy jeszcze nie widzieli, by miała tak białe wargi.

- Tylko jedno może nas uratować. Sądzę, że on... Urwała.

Czekali.

Wreszcie się odważyła.

- On żąda ofiary.

- Co takiego? - rozległy się wołania.

- Nic z tego - stwierdził Móri. - Nie układamy się z nikim poprzez ofiary.

Dolg ukląkł i mocno objął ramionami Nera.

- Tu nie chodzi o zwierzę - mówiła Mariatta blada niczym śmierć. - Hiisi żąda ni mniej, ni więcej tylko człowieka. Pamiętajcie, że strzeże niezwykłego skarbu. Ja muszę być tą ofiarą, to jedyne logiczne rozwiązanie.

Właściwie w pewnym sensie to prawda, bo przecież Mariana i tak była skazana na śmierć, nie miała po co żyć. Cała sytuacja wydała im się jednak absurdalna,

czasy składania ofiar z ludzi już dawno minęły. Wywodziły się wszak z pogaństwa. Ale przecież Hiisi także był częścią pogańskich wierzeń.

Maria uciszała gwałtowne protesty.

- Jestem gotowa. Pragnę przedtem tylko jednego: zobaczyć po raz ostatni moje dzieci. Przekonać się, że są szczęśliwe, powiedzieć, że opuściłam je z miłości do nich.

- Zobaczysz swoje dzieci, już ja się o to postaram - obiecała przygnębiona Taran.

- Ale niech mnie diabli porwą, jeśli masz zostać złożona w ofierze.

Tym razem nikt nie zareagował na jej przekleństwa, nawet Uriel.

- Taran ma rację - przyznał Villemann. - Powinnaś zobaczyć dzieci i zobaczysz je. Ale mamy inne plany, jeśli chodzi o ciebie.

Popatrzyli na niego zaskoczeni. I dopiero wtedy Villemann przypomniał sobie, że rozmawiał o całej sprawie tylko ze Strażnikami.

Przełknął ślinę i oznajmił:

- Mam zamiar prosić Marię, by poszła z nami przez Wrota.

- Jakie wrota? - zdziwiła się Maria.

- O tym pomówimy później. Wielu rzeczy jeszcze o nas nie wiesz. Zamierzałem opowiedzieć ci o wszystkim dzisiaj rano, ale przychodziliście do kuchni w złej kolejności.

Móri kiwnął głową, jakby akceptował decyzję Ville - manna.

- Bez względu na to, co się stanie, Mario, nie ma mowy o żadnej ofierze.

Villemann dopiero teraz zauważył, że Cień i czworo Strażników od jakiegoś czasu stoją w kuchni. Zawsze trzymali się z tyłu, kiedy uznali, że ktoś jest ważniejszy niż oni.

- Muszę wam powiedzieć - blado uśmiechnęła się Maria - że mamy błogosławieństwo Tapio na wypędzenie Hiisi, który, pilnując niezwykłego skarbu, tak długo już był cierniem w oku dobrym mocom lasu.

Cień spytał natychmiast:

- Czy łaskawy Tapio zdradził ci, gdzie jest Słońce?

- Nie, nie pomyślałam o tym, to głupie z mojej strony.
 - I tak wiele dla nas zrobiłaś - odparł Cień. Błada twarz na moment rozjaśniła się w uśmiechu.
 - Dobrze wiedzieć, że Tapio jest po naszej stronie, to może się nam przydać - powiedział Móri.
 - Nie tylko on - przypomniał mu Cień. - Sądzę, że nadszedł czas, Móri, byś uruchomił swe specjalne siły: duchy.
 - O tym samym myślałem - przyznał czarnoksiężnik. - Ale wzbraniałem się przed poproszeniem ich o pomoc, zbyt często już wykorzystywaliśmy moich towarzyszy.
 - Jeśli wierzyć ich słowom, nie dość często - zauważył Cień. - Ale mamy jeszcze innych sprzymierzeńców.
 - Wiem - potwierdził Móri. - Ludzie Lodu. Spotkałem kilkoro z nich, są chętni nam pomóc. To dobra wiadomość.
 - Zanim jednak zabierzemy się za problem Hiisi, bardzo wielki zresztą, powinniśmy rozwiązać problemy Marii.
 - Pozwólcie mnie się tym zająć - poprosiła Taran. - Muszę tylko mieć ze sobą jakiegoś czarownika.
 - Wstrzymaj się, moja przedsiębiorcza córko - powie działo Móri. - Nie wątpię, że potrafisz obrzydzić życie temu Nilsowi Bórje i jego nowej żonie, ale najpierw musimy wy badać sprawę. Najważniejsze jest dobro dzieci.
 - Wiem o tym i właśnie dlatego chcę mieć ze sobą kogoś, kto potrafi zajrzeć za fasadę. Ojczy, pójdziesz ze mną?
- Móri zawahał się.
- Zamierzałem zostać w domu i układać plany naszego ataku na Hiisi. Przenosił wzrok z jednej osoby na drugą.
 - Maria, oczywiście, musi iść, to się samo przez się rozumie. I rzeczywiście uważam, że powinnaś jej towarzyszyć, Taran. Umiesz mówić. Villemannowi nie wolno...
 - Dlaczego? - oburzył się głęboko zraniony.

- Ponieważ jesteś wmieszany w tę sprawę uczuciowo i możesz wszystko zepsuć.
Villemann zastanowił się chwilę.

- Tak, pewnie dałbym w gębę temu nadętemu dziedzicowi - przyznał.

Uśmiechnął się do Marii, która odpowiedziała mu ciepłym spojrzeniem.

Móri rozważał wybór między Urielem a Dolgiem.

- Ty pójdziesz z nimi, Urielu.

- Świetnie - ucieszyła się Taran. - Ale nie ma żadne go czarownika!

Móri nabrał powietrza w płuca.

- Będzie i czarownik. I to taki, który naprawdę po trafi przeniknąć wszystko i, jeśli to konieczne, umie dokuczyć komuś, kto ma o sobie zbyt wielkie mniemanie.

- Kto taki?

- Pustka. I sądzę... Tak, poprosimy Ducha Zgasłych Nadziei.

- O Boże! - mruknęła Taran. - Rzeczywiście doskonały wybór. Jeśli oczywiście zechcą...

Móri wezwał duchy i wprowadził je w sprawę. Pustka natychmiast zgodziła się wziąć udział w zabawie, Duch Zgasłych Nadziei, uśmiechając się ponuro, także. A Mariana siedziała w kącie przy kominku, otoczona ramionami Villemanna, i walczyła z omdleniem, wciągającym ją w otchłań. Móri w pośpiechu zapomniał przygotować ją na spotkanie z duchami. Osłabienie wywołane chorobą nie pozwoliło znieść widoku niesamowitych istot.

- Ojczy, pomóż! - zawołał zrozpaczony Villemann. - Musimy coś zrobić dla Marii, ona jest poważnie chora.

Cała uwaga zebranych skupiła się na niej.

Maria na przemian traciła przytomność i ją odzyskiwała. Słyszała ich wzburzone głosy, widziała pochylające się nad nią głowy, ujrzała coś nieprawdopodobnego, jakąś kulę wielkości główki dziecka. Dolg trzymał ją na wysokości jej twarzy, stwierdził jednak: „Nie, nie możemy się nim posłużyć. Jest zbyt matowy”. A potem był przy niej już tylko ojciec Villemanna, w każdym razie znajdował się najbliżej. Zrozumiała, że próbuje jej pomóc, ale całkiem straciła przytomność.

Ocknęła się we własnym łóżku, gdzie najwidoczniej ją przenieśli, bo nie pamiętała, by sama tam doszła. Villemann siedział przy niej na krześle. Wyraz troski na jego twarzy rozbawił ją i wzruszył.

- Nie bój się - uspokoiła go. - Ostatnio często się to zdarza, ale zawsze jakoś dochodzę do siebie.

Kiwnął głową.

- Zapomnieliśmy uprzedzić cię o duchach, przepraszamy.

Maria zadrżała.

- Tak, to był prawdziwy wstrząs, ale wydaje mi się, że zaakceptowałam te istoty.

- Ojciec niewiele mógł dla ciebie zrobić - podjął Villemann. - Gdyby tylko udało nam się oczyścić błękitny szafir, moglibyśmy cię uratować. Staraj się jeszcze wytrzymać.

A więc to szafir? Pamiętała jak przez mgłę, że rzeczywiście był niebieski, ale jakiś ciemny, nieprzejrzysty.

- Czy to obecność Hiisi tak na niego wpływa?

- Tak. Lemurowie nie sądzą, by zmatowiał dlatego, że próbuje zataić miejsce ukrycia Słońca. Ich zdaniem posiadamy odpowiednie kwalifikacje, by się nas nie przestraszył. Raczej powinno być odwrotnie, Słońce po winno blaskiem wskazywać nam drogę. Nie, ściemniał przez moczary i przez to, co w sobie kryją.

- Tak, to Hiisi.

Pozostali usłyszeli głos Marii i weszli do środka.

- Gotowa jesteś do wizyty we dworze? - zapytała Ta ran.

Maria zastanowiła się. Chciała tego i zarazem nie chciała.

- Chyba tak.

- Czy to daleko? - zapytał Uriel.

- Owszem - odparła z wahaniem. - Wyprawa zabierze sporo czasu, nie uda nam się obrócić w jeden dzień.

Cień oświadczył:

- Z początku myślałem, abyśmy zafundowali sobie przejażdżkę na sposób elfów...

O, tak - podjęła z entuzjazmem Taran. - To coś bardzo szczególnego, możesz mi wierzyć, Mario.

- Wierzę - odparła Maria, myśląc o wszystkim, czego już zaznała od tej niezwykle gromadki, lecz jako potomkini dawnych Finów, którzy przywieźli swoją naukę z ojczyzny, zaakceptowała wszystko o wiele łatwiej, niż uczyniliby to inni ludzie. Cień jednak miał inne zamiary.

- Mówiłem, że najpierw planowałem przejażdżkę na sposób elfów, potem jednak zmieniłem zdanie. Jeśli rzeczywiście tam pojedziecie, twój były mąż i jego nowa żona bez trudu zdołają ukryć się za wspinałym parawanem. Uważam, że powinniście odbyć podróż myślą.

- Tak jak zrobiliśmy w Tiersteingram przed wielu la ty? - zapytał Móri.

- Będziemy muchami na ścianie? - chciała wiedzieć Taran.

- Tak. Wasze ciała zostaną tutaj, tak zresztą będzie najlepiej dla Marii, bo ona nie ma za dużo siły, ale wasze dusze ulecą i sprawdzą, co tam się dzieje. W ten sposób oni nie zdołają ukryć prawdy o sposobie, w jaki traktują dzieci.

Maria się wahała. Czy chce tak podglądać ludzi? Nie wątpiła w możliwość przenoszenia się myślą w inne miejsce, bo jej dziadek także kilkakrotnie tego dokonał, ale... Nils Bórje i jego nowa żona...

Co tam! Chciała przecież zobaczyć dzieci!

Wspierając się na ręce Villemanna wstała z łóżka.

- Dobrze - powiedział Cień. - Zabierzecie ze sobą duchy, a i Villemann, jeśli chce, może się wybrać z wami. Pamiętajcie jednak, nie wolno wam ingerować w bieg wydarzeń. Będziecie tam i nikt was nie zobaczy, lecz jeśli spróbujecie włączyć się w ich życie, może się to źle skończyć. Móri coś na ten temat wie.

- To prawda - przyznał Móri z goryczą.

Villemann zachichotał. - Był to jeden z grzechów młodości ojca i Móri do tej pory nie przestał się wstydzić, że postąpił tak niemądrze.

- Villemannie - powiedział krótko Móri. - Opowiedz Marii o Słońcu i Wrotach.

Niepoprawny syn skinał głową.

- Uczynię to z wielką ochotą.

Na dworze Nilsa Bórje był to dzień po hucznej zabawie. Spędził mocno zakrapiany wieczór z wiernymi przyjaciółmi z czasów oficerskich. Nazywali się kawalerami, inni powiedzieliby raczej „bracia od butelki”.

Spali ciężko, głośno chrapiąc, w głowach im dudniło, nie mogli się opędzić od nieprzyjemnych snów. Teraz leniwie zbierali się na obiad, bo czas śniadania dawno już minął. Jeden po drugim ociężale podchodzili do stołu.

Nikt nie był szczególnie głodny. Pojawiły się też jakieś młode damy, niekorzystnie wyglądające w bezlitosnym dziennym świetle.

- Zaciągnijcie zasłony - powiedziała któraś z kwaśną miną.

Nils Bórje przelotnie ucałował jej policzek.

- Dziękuję ci za dzisiejszą noc - szepnął.

Z kąta pokoju niewidzialni obserwowali tę scenę.

„To nie jest jego żona Inez”, przekazała innym zdumiona Maria. „Gdzie ona może być?”

Uriel zauważył cierpko: „Zdaje się, że nie potrzeba tutaj twoich uwodzicielskich sztuczek, Taran. On już się pozbył żony numer dwa i bawi się czymś nowym i świeżym. Ten, kto raz dopuścił się niewierności, chętnie to powtarza”.

Mieli właśnie zamiar przejść się po domu, kiedy usłyszeli odpowiedź Nilsa Bórje na jakieś pytanie:

- Nie, ona była beznadziejna. Tylko się ucieszyłem, kiedy przed paroma dniami zniknęła. Sama tego chciała, to ma.

- Zdaje się, że masz problemy z utrzymaniem przy sobie żon? - żartobliwie zauważył jeden z kolegów.

Twarz Nilsa Bórje pociemniała.

- Zamknij gębę na kłódkę! Pamiętaj, że miałem dość tej pierwszej, świątobliwej Marii, której matka pochodziła z puszczy. Nie pasowała ani trochę do mojego środowiska i nie zapominaj, że uciekła przed odpowiedzialnością za dzieci, a nie

ode mnie. Pewnie już nie żyje.

- Z tego, co pamiętam, twój romans z Inez już trwał.

- Może i tak - zachichotał Nils Bórje. - Ale to było dawno temu, nie mówmy już o nudnych żonach.

Objął w pasie młodą dziewczynę. Zadrżała, zielonkawa na twarzy.

- Nie teraz, Nilsie Bórje! Nie czuję się zbyt dobrze. Pozostali wybuchnęli śmiechem. Widać jednak za

bardzo dokuczył im ból głowy i śmiechy prędko się urwały.

„On nawet nie wspomina o dzieciach”, pomyślała Maria.

„Rzeczywiście”, przyznał Villemann. „Czy dom za twoich czasów był taki zaniedbany?”

„Nie, wszystko popadło w ruinę. Nils Bórje także. Zrobił się taki inny, rysy mu się rozmyły”.

„Typowy wygląd pijaka”, zauważył Uriel.

W tej chwili na schody wyszedł maleńki chłopczyk w nocnym stroju.

„Mój syn, mój Jonas”, jęknęła Maria.

„Wspaniały malec”, stwierdził Villemann.

Chłopczyk spytał nieśmiało:

- Gdzie mama? I Greta?

Nils Bórje wyprostował się i odparł surowym głosem:

- Idź na górę się ubrać. Powiedz pokojówce, żeby ci pomogła. - Zwracając się do swych kompanów, dodał chichocząc: - Guwernantka wymówiła, może trochę za mocno obejmowałem ją w drzwiach dziecinnego pokoju. Ale co tam, wcale mi jej nie szkoda!

Chłopczyk nie ustępował.

- Gdzie Greta?

- One... One wyjechały. Rozmawialiśmy już o tym przedwczoraj. Greta się wyprowadziła, razem z Inez. Wyprowadziła się, rozumiesz? Nie chciała dłużej z tobą mieszkać. Ale ty zostaniesz tutaj, bo jesteś moim synem i dziedzicem.

Niepotrzebne nam głupie baby. A teraz na górę! Prędko, zmykaj!

Chłopcykowi drżały wargi. Kiedy nie usłuchał nakazu, ojciec udał, że rzuca się na niego, i malec przerażony uciekł na górę. Nils Bórje roześmiał się pogardliwie.

„Och, nie”, poskarżyła się Maria. „Nie wolno mu tego robić, nie może rozdzielać rodzeństwa, to moje dzieci i nie jest im tu dobrze”.

„Rzeczywiście, tak być nie może”, stwierdził Uriel. „Musimy wracać. Pustko! Duchu Zgasłych Nadziei! Zróbcie, co możecie, z tym łajdakiem, wrócimy tak szybko, jak tylko się da”.

W krótkim czasie, jakiego potrzebuje na to myśl, znaleźli się z powrotem w leśnej zagrodzie. Opowiedzieli o wszystkim, co usłyszeli. Maria nie kryła smutku.

- Jestem teraz przekonana, że dzieciom będzie lepiej u mnie - oświadczyła zdecydowanie. - Mam ten dom i trochę pieniędzy, które odziedziczyłam po matce, na pewno damy sobie radę.

Villemann długo na nią patrzył, pozostali także milczeli. Maria zrozumiała, o czym myślą. O Wrotach, o owych tajemniczych wrotach do innego świata.

- Zobaczymy - odrzekła po długim zastanowieniu. - Najpierw muszę zabrać dzieci ze dworu.

Cień oświadczył:

- A jednak trzeba się będzie odwołać do pomocy elfów, bo tu należy działać szybko. Mario, masz jakiś pomysł na to, gdzie ta Inez mogła pójść z twoją córką?

- Wiem, skąd ona pochodzi - wolno odpowiedziała Maria. - Wiem, gdzie mieszkają jej rodzice.

- Doskonale! W jaki sposób to zrobimy? Maria mu si być w obu miejscach...

- Niekoniecznie - oświadczyła Maria. - Mój ojciec miał przyjaciół, sędziego i lekarza, być może mogłabym porozmawiać z nimi.

Zastanawiali się nad tym.

Podjęli wreszcie decyzję i rozpoczęła się jazda na sposób elfów. Najpierw wszyscy pojechali konno do miasta, by zabrać osoby, które mogłyby pomóc. Do domów jednak mieli wejść tylko Maria, Villemann i Uriel. Taran, Móri i niewidzialny

Cień czekali przy bramach miasta.

W leśnej zagrodzie zostali tylko Dolg, czworo Strażników i Nero. Dolg wśród mieszkańców miasta mógł wzbudzić zbyt wielkie poruszenie.

Postanowili przeznaczyć cały ten dzień na rozwiązanie problemów Marii.

Nils Bórje miał się dowiedzieć, ile jest wart. Tak też się stało. Jeszcze zanim pojawił się ktokolwiek widzialny, rozpoczęło się piekło.

Nie dość, że cierpiał na najstraszniejszego w życiu kaca, to jeszcze ogarnęła go niesłychana melancholia, najgorsza, jakiej kiedykolwiek doświadczył. Również przyjaciele źle się poczuli w jego domu i chcieli wracać dzień wcześniej, niż planowali, lecz Nils Bórje rozpaczliwie ich zatrzymywał.

Za nic w świecie nie chciał być sam. Muszą zostać, muszą, coś w tym domu przytłaczało go do ziemi, a jednocześnie otaczała go głucha pustka.

Kompani skarżyli się na podobne odczucia, lecz nie tak dojmujące jak jego.

Nils Bórje śmiertelnie się bał. Błagał, by go nie opuszczali.

Z największą niechęcią więc zostali.

Mieli tego pożałować.

Gdy tylko dotarli do miasta, Maria na powrót przywdziała pancierz niedostępności i chłodu.

Rzeczywiście przypomina teraz lodową dziewicę, Córkę Mrozu, myślał Villemann, idąc obok niej ulicą. Konie zostawili pod miastem.

- Mario - rzekł błagalnie. - Jesteś wśród przyjaciół. Maria rozluźniła się.

- Oczywiście, przepraszam, dawne przyzwyczajenie.

- Pancierz ochronny - uśmiechnął się pod nosem. - Zwierzęta mają coś podobnego.

- Villemannie, taka jestem wdzięczna za waszą po moc, za wszystko, co dla mnie robicie.

- To jedna z najwspanialszych rzeczy, jaka mi się w życiu przytrafiła - odpowiedział.

Uriel stanął jak wryty przed wystawą z karmelkami i pięknie przyozdobionymi

ciasteczkami. Czekając, aż się napatrzy do syta, dalej rozmawiali po cichu.

- Mariatto, czy wolno mi powiedzieć, że doskonale się czuję w twoim towarzystwie?

Zarumieniła się i tylko kiwnęła głową. Chciała powiedzieć, że i ona doskonale się przy nim czuje, ale nie zdołała znaleźć odpowiednich słów.

- Dolg mówił... - urwała.

- Tak? Co powiedział Dolg?

- O, nic takiego.

- Nie, powiedz. Westchnęła.

- Mówił, że jesteś bardzo samotny. Nie mogę w to uwierzyć.

- Starsi bracia powinni trzymać język za zębami. Ale w pewnym sensie on ma rację. Nie jestem tak samotny jak ty, fizycznie. Mam mnóstwo przyjaciół, rodzinę, ale i przy tym samotność potrafi dokuczyć. Dlatego, że czegoś brakuje...

- Wiem. Kogoś, komu można dawać.

- Właśnie.

Nie chciała wspominać tego, co jeszcze powiedział jej Dolg. O tym, że ma delikatnie traktować Villemanna, nie zranić go. Sama już zdążyła zrozumieć, jak bardzo jest wrażliwy pomimo pozornej wesołości.

- Mariatto, chciałem ci tylko powiedzieć w tym dniu, który musi być dla ciebie taki trudny, że ja...

Czekała. Czekała z nadzieją, że Uriel jeszcze przez jakiś czas nie zdoła się oderwać od słodczy na wystawie.

Villemann podniósł głowę, popatrzył jej w twarz.

On ma takie piękne, wyraziste oczy, pomyślała.

- Za wcześnie mówić o miłości, Mariatto. Chciałem ci tylko powiedzieć, że podobasz mi się. Ja... ja cię lubię. Mam nadzieję, że nie przyjmiesz tego źle.

Maria próbowała ukryć radość, ale nie całkiem jej się to udało.

- Wcale tego źle nie przyjmuję, przeciwnie. Ja także cię lubię.

Zrobił gest wskazujący na zniecierpliwienie.

- Mamy tak mało czasu. Bardzo chciałbym cię lepiej poznać, ale, ojej, Uriel idzie. Widać oparł się pokusie.

Odnalezienie małej Grety nie sprawiło kłopotu. Mariatta zaprowadziła Uriela i Villemanna do ciasnego mieszkania rodziców Inez. Zastali ją samą z gorzko płaczącą dziewczynką.

Kobieta widząc Marię w drzwiach gwałtownie się poderwała.

Uriel, najbardziej dostojny z nich wszystkich, oznajmił:

- Przyszliśmy po córkę Marii.

Inez miała dość rozumu, by od razu zorientować się w sytuacji. Po chwili niepewności - bo co na to powie Nils Bórje - doszła do wniosku, że nic mu nie jest winna.

Kiwnęła głową, twarz jej się napięła.

- Próbowałam robić dla twoich dzieci, co tylko mogłam, Mario.

- Wiem, że tak było - odpowiedziała Maria. - To nie twoja wina.

- Teraz dzieciak tylko woła brata, nie mam siły jej już dłużej słuchać. Ale uwierz mi, to ja nalegałam, żeby za brać Gretę z tego domu. Nils Bórje nigdy się o nią nie troszczył, dla niego istnieje tylko chłopiec.

- Wierzymy pani - zapewnił Villemann.

- Zaczekajcie, zaraz pozbieram jej ubrania. - Zatrzymała się w pół ruchu. - Chyba będzie jej dobrze?

- Jak najlepiej - obiecał Villemann. - Ja się o to zatroszczę.

Inez przeniosła spojrzenie z chłopaka na Marię i z powrotem. Czytali w jej myślach. „Czyżby oni byli parą? W takim razie Maria ma dużo szczęścia”. Nic jednak nie powiedziała.

Po chwili wróciła do przedpokoju, prowadząc za rękę dziewczynkę.

- Widzisz, Greto, to jest twoja prawdziwa mama, ja ją tylko zastępowałam. Teraz pojedziecie po Jonasa i już zawsze będziecie razem. Będziecie mieszkać u mamy w.” No właśnie, gdzie?

- W domu pod lasem - odparła Maria, ze wzruszeniem patrząc na córeczkę. - Tam

jest mnóstwo zwierząt, pod schodami mieszka jeź...

Głos jej się załamał, nie zdołała dodać nic więcej.

Greta patrzyła na nią zdziwiona, onieśmiałe dziecko zapomniało nawet o płaczu. Maria nie żałowała czasu, by się z nią przywitać. Przedstawiła też obu mężczyznom, obiecała małej również, że pojedą do dworu po jej młodszego brata, a później na wspaniałych koniach wrócą do domu, do leśnej zagrody.

- Tatuś mnie nie lubi - pisnęła dziewczynka i znów wybuchnęła płaczem.

Villemann zrobił to, co w tej chwili wydawało się jedynym słusznym rozwiązaniem.

Pochwycił małą w mocne męskie ramiona.

- Czy mogę zostać twoim przyjacielem? - spytał łagodnie. - Jestem przyjacielem twojej mamy Marii i bardzo chciałbym zaprzyjaźnić się również z tobą.

Greta z bliska wpatrywała się w niego mokrymi od łez oczami i wreszcie uznała, że jest o wiele bardziej sympatyczny niż Nils Bórje.

- Chcę moje łóżeczko dla lalek.

- Nie zabrałam go ze sobą - wyjaśniła Inez. - Nils Bór - je uznał, że to część jego majątku i musi zostać we dworze.

- Dostaniesz swoje łóżko dla lalek - obiecał Uriel. Je go życzliwa, otwarta twarz bardzo spodobała się dziewczynce.

- Dasz mi lalkę? - zwróciła się do Inez.

Lalka zaraz się zjawiała i mogli opuścić ten dom.

Gorzej poszło z lekarzem: oświadczył, że nie ma czasu. Natomiast sędzia zgodził się iść z nimi. „Z dawnej przyjaźni dla twojego ojca, Mario”, jak powiedział, i spora grupa mogła wreszcie wyruszyć w stronę dworu. Teraz jednak, mając w swoim gronie sędziego, nie śmieli jechać na sposób elfów. Villemann dyskretnie tylko poprosił duchy, by zatroszczyły się o to, aby konie jechały z nieco większą prędkością niż zwykle.

- Wspaniałe wierzchowce - stwierdził sędzia z uznaniem. - Sam chętnie bym miał kilka takich.

- Nic trudnego - mruknął Villemann pod nosem, tak by nikt go nie usłyszał. Akurat

kwestia koni wydawała im się dość kłopotliwa, nie wiedzieli, czy zwierzęta ma ją przejść przez Wrota, czy też nie.

Nie zdawali sobie sprawy, że już niedługo problem koni stanie się jeszcze większy.

Sędzia nie widział Cienia, dostrzegał tylko grupę sympatycznych ludzi, którzy najwidoczniej chcieli dobra Marii. Jadąc wypytywał ją o to, co właściwie działo się z nią przez te lata, dlaczego powszechnie nazywano ją Córką Mrozu i jak mogła zostawić dom i dzieci. Rzucane jej złośliwe spojrzenia mieszkańców miasta przeraziły go nie na żarty.

Kiedy usłyszał prawdę, spoważniał.

- Twój ojciec wyrządził ci wielką niesprawiedliwość, Mario. Musimy naprawić tę krzywdę.

Wiedział jednak, że młoda kobieta skazana jest na rychłą śmierć i wciąż miał wątpliwości, czy należy powierzyć jej dzieci.

Ale ten problem rozwiązał Móri, ów niezwykły mężczyzna o niesamowitych oczach.

- Jestem lekarzem - oświadczył, na poły tylko mijając się z prawdą. - A mój syn jeszcze lepszym, mam na myśli mego drugiego syna. On potrafi uleczyć chorobę Marii, trochę to tylko potrwa.

- Rozumiem, wobec tego Maria jest w dobrych rękach i spokojnie mogę zostawić z nią dzieci, prawda?

- Oczywiście - odpowiedział Móri. - Maria dość już wycierpiała, a dzieciom w obecnej sytuacji źle się wie dzie. Maria może im zapewnić o wiele lepsze życie.

- Ale ona nie ma męża.

- Jeszcze nie - natychmiast odparł Villemann. - Ale może mieć.

Móri uśmiechnął się ukradkiem. Cieszył się w imieniu syna. Być może nie tak dobrze wyczuwał Villemanna jak Dolg, lecz od dawna już podejrzewał, że młodszy syn jest bardzo samotny. Maria to dobra dziewczyna, a Gretę wioził na koniu właśnie Villemann. Po śmiechu dziewczynki Móri poznał, że syn zdobył zaufanie

małej.

W rekordowym czasie dotarli do dworu.

- Naprawdę fantastyczne konie - mruknął sędzia.

Nastrój we dworze był, łagodnie mówiąc, kiepski. Skacowani goście i gospodarz porozkładali się na krzesłach i na sofach. Pokojówka usiłowała sprzątać, lecz Nils Bórje wyrzucił ją z krzykiem. Niech sobie będzie w salonie jak jest.

Humor miał paskudny, nie mógł zrozumieć, skąd się bierze ta nieprawdopodobna depresja. Jego życie... czym było? Pasmem klęsk. Pustka, pustka, oto co mu pozostało.

Dwór przestał go obchodzić, tyle z nim kłopotu, służba może sobie iść do wszystkich diabłów, nigdy z niczego nie są zadowoleni. Nie dostrzegał, że to on nigdy nie jest zadowolony ze służby.

Inez... Do diabła z nią, taka była żywa i zabawna, a stała się taka nudna, ciągle tylko zajmowała się dziećmi, kto by przypuszczał...

Maria...

Dlaczego myślał o niej akurat dzisiaj? Nie chciała opuścić jego myśli, a wcale tego sobie nie życzył. Przecież ona umarła, zniknęła.

Boże, to straszne poczucie beznadziejności. Sprawiało mu ból, chciał krzyczeć, wyć, ale co powiedzą przyjaciele?

Jego ostatnia zdobycz zasnęła na sofie i wyglądała wprost okropnie. Ślina ciekła jej z ust, suknia się zadarła, ale ten widok w nikim chyba nie mógłby wzbudzić podniecenia.

Co robią wszyscy ci ludzie w jego domu? Przyjaciele? Żaden człowiek na świecie nie był jego przyjacielem. Przyjaźń nie istnieje. Oni wszyscy są fałszywi, pociąga ich jego bogactwo, dwór...

Zdawał sobie sprawę, że nie jest to prawda, nie miał już żadnych bogactw, ledwie ten dwór, a i tak wierzyciele stawali się coraz bardziej natrętni.

Typowe dla Nilsa Bórje, że nawet przez moment nie pomyślał o dzieciach. One się nie liczyły.

Boże, zabierz ode mnie ten ból głowy, nie zasłużyłem na to. Cierpię, do diabła!

Pokojówka obwieściła przybycie gości.

Któż to, na miłość boską, mógł być? Sędzia? I... Maria? Co ona, do stu piorunów, tutaj robi?

Wielkie nieba! Jak tu wygląda! Czy ci piekielni służący nie potrafią sprzątać po sobie... to znaczy po nim i po jego gościach? Weźcie się w garść, ludzie, wstawajcie, mam gości, muszę ich przyjąć w... Do diabła, już są.

Nils Bórje niewiele miał do powiedzenia. Nie pomagało zrzucanie winy na leniwych służących, widok, jaki zastali przybysze, mówił sam za siebie.

W obecności swoich tak zwanych przyjaciół musiał wysłuchać surowych słów sędziego, a kiedy mały Jonas pokazał się wciąż w nocnym stroju, pomimo iż było popołudnie, nie mógł liczyć na wyrozumiałość.

Odebrano mu chłopca. Nils Bórje nie miał nic na swoją obronę, złamany atakiem Pustki i Ducha Zgasłych Nadziei zgadzał się na wszystko. Myślał jedynie, że cudownie będzie odpocząć.

Jonas przeraził się tym, co się działo, lecz najważniejsze dla niego było, że jest przy nim Greta, ukochana starsza siostra, która w wielu ciężkich chwilach przynosiła mu pociechę.

Na dziedzińcu, kiedy ładowali na konie rzeczy chłopca i oczywiście lalczyne łóżko Greta, Villemann podsłuchiwał rozmowę rodzeństwa.

- Gdzie mama? - skarżył się Jonas. - Jedziemy do ma my?

- Nie, Jonasie, to jest nasza prawdziwa mama - wyjaśniła Greta, wskazując na stojącą tyłem Marię. - Widzisz, ja ją pamiętani, mieszkała z nami wcześniej, ale potem tatuś już jej nie pozwolił. Mówił, że dostaniemy nową miłą mamę, mamę Inez. A nasza prawdziwa mama odwiedziła nas jesienią, pamiętasz? Ale nie wolno było nam z nią rozmawiać, bo tatuś powiedział, że jest bardzo chora. To nieprawda, tak mi mówił ten pan, z którym jechałam. On jest bardzo miły.

- Tatuś nie będzie się na nas gniewał?

- Nie wrócimy już do tatusia. Jonas zaczął pociągać nosem.

- Nie zobaczę zwierząt w oborze?
- Mama Maria mówiła, że ma inne zwierzęta. Jeża... Słyszając to, chłopiec troszkę się uspokoił. Villemann zrelacjonował tę rozmowę Marii. Westchnęła z ulgą.
- Dzięki Bogu, że nie jestem dla nich kompletnie obca. Tak, w zeszłym roku uznałam, że przynajmniej Greta powinna mnie poznać. Ach, ten Nils Bórje!
- Wydaje się, że nie bardzo tęsknią za Inez.
- Chyba nie, chociaż sądzę, że starała się, by mieli znośne życie. Tak jak umiała.
- Na pewno, ale podejrzewam, że Nils Bórje ograniczał jej wymysły, jak sam to określił.

Zostawili sędziego u bram miasta i dopiero teraz naprawdę popędzili konie. Dzieci pomimo strachu radowały się szybką jazdą, a kiedy zsiadli z wierzchowców przy leśnej zagrodzie, buzia małego Jonasa jaśniała szczęściem.

- Jechałem naprawdę szybko - szepnął podniecony. I taka była prawda.
- Villemannie - szepnęła Maria. - Wiem teraz jedno, chcę żyć. Ach, mój Boże, naprawdę mam po co.
- Rzeczywiście - przyznał z uśmiechem.
- Sądzisz, że... twój brat... Dolg... może coś dla mnie zrobić?
- Oczywiście, byle tylko udało nam się oczyścić niebieski kamień.

Ale jak tego dokonać?

Przybycie dzieci skomplikowało, rzecz jasna, zadanie, przed jakim stała grupa: znalezienie Słońca.

Nikt się nie spodziewał, że dzieci trafią do leśnej zagrody. Maria miała się wszak tylko upewnić, czy jest im dobrze.

Okazało się jednak, że jest inaczej, i przez to wszystkie plany stanęły na głowie. Nie posiadała się ze szczęścia, że ma dzieci przy sobie, lecz co z nimi poczną w tej skomplikowanej sytuacji, skoro wszyscy potrzebni są przy moczarach, Maria także?

Ten kłopot rozwiązała pani wody.

- Właściwie nie mam tam nic do roboty - stwierdziła pięknym głosem, brzmiącym

niczym śmiech drobnych fal goniących się po brzegu. - Mogę uśpić malców i czuwać nad nimi razem z tym wspaniałym psem, który nie powinien iść na bagna. Zgodziła się z nią jej siostra, pani powietrza.

- To prawda, mamy tu raczej do czynienia z torfowiskiem niż z bagnem. Sądzę więc, że twoja obecność tam nie jest konieczna.

Maria przystała na takie rozwiązanie.

Pustka i Duch Zgasłych Nadziei opuściły dwór Nilsa Bórje, a wtedy on od razu wyrwał się z melancholii. Goście zniknęli już wcześniej, ucieszeni, że mogą uciec z tego straszego domu. Nils Bórje został sam ze swymi zmartwieniami.

Cóż, zmartwienia to niewłaściwe słowo. Nils Bórje rozczulał się nad sobą, a jednocześnie pałał żądzą zemsty.

- Pożałujecie tego, łajdacy, którzy zabraliście mi syna! Skradliście mi go w chwili słabości. Ten przeklęty sędzia nie chciał uwierzyć, że zwykle wszystko wygląda porządnie, tylko akurat dzisiaj trochę tu bałagan. Mówił o niewypłacalności, co on o tym wie? O znęcaniu się nad dziećmi? Bzdury! Zawsze rozpieszczęłem syna, przecież on zajmie kiedyś moje miejsce.

Maria pożałuje, tak obrzydzę jej życie, że natychmiast odda mi Jonasa.

Córeczce nie poświęcił ani jednej myśli.

- Jonas jest moim synem, ona nie ma prawa mi go odbierać. Wiem, gdzie mieszkali jej dziadkowie. Myślisz, że nie odnajdę swego syna, ty czarci pomocię? To ja zrobiłem z ciebie dziedziczkę, zapomniałaś?

Inez chwilowo także poszła w zapomnienie.

- Sądysz, że nie znajdę nowej kobiety, Mario? Tłoczą się wokół mnie, mogę wybierać i przebierać, ale nie obchodzą mnie kobiety. Chcę odzyskać syna, nauczę go jeździć konno i walczyć. Zostanie oficerem...

Nils Bórje z trudem podszedł do lustra, żeby móc napawać się widokiem własnej przystojnej osoby. Spojrzał w zwierciadło i odwrócił głowę z obrzydzeniem. Ale jutro rano odzyska formę i wtedy podejmie pościg za synem.

Mieli za sobą długi męczący dzień, kiedy wreszcie dotarli do brzegów mokradła,

nie chcieli jednak czekać do jutra, woleli zbadać tajemniczy obszar jeszcze dzisiaj. Wyruszyli dużą grupą; Móri, Dolg, Uriel, Taran, Villemann z Marią, Cień i czworo Strażników. Przyłączyły się też do nich duchy, wszystkie, oprócz pani wody, która została z dziećmi i dumnym Nerem. Tak, udało im się sprawić, by pies poczuł się dumny. Najpierw patrzył na nich z urazą, że znów go zostawiają, wszyscy podkreślili jednak powagę zadania, jakie mu zlecają: pilnowanie malców. Uspokoił się wtedy. Dzieci zasnęły, a Nero ułożył się przy ich łóżku. W pokoju znajdowała się także pani wody, lecz o tym wiedział tylko Nero. Doskonale porozumiewali się ze sobą. Maria spokojnie mogła opuścić dom. Gdy tylko stanęli nad brzegiem moczarów, mieli wrażenie, że wstępują w inny świat.

Wieczorna mgła otuliła korzenie sosen, spowiła krze - winki moroszek' i prześwity w bagnie. Gdzieś dalej w lesie trwała walka kruków z wronami, poza tym panowała cisza, jak zwykle na tym pustkowiu. Słońce zaszło, lecz wciąż jeszcze było jasno. Niebo na horyzoncie przybrało złocistą barwę, która z wolna przechodziła w delikatną zieleń, potem w blady błękit, aż wreszcie w niebieskość na sklepieniu. Skończył się piękny słoneczny dzień. Nadchodziła noc.

Gdyby tylko wiedzieli, co robić!

- Mariatto! - rzekł Dolg cicho z uwagi na przerażającą tajemnicę miejsca. - Masz jakąś propozycję?

Pokręciła głową.

- Nie znam żadnych zaklęć przeciwko Hiisi. Wątpię, by jakieś istniały, on jest zbyt potężny.

- To prawda - rzekł stojący przy nich Móri. - Tu nie pomogą zaklęcia, nawet gdybyśmy zjednoczyli się w nich my czarnoksiężnicy, ty, Mariatto, i wszyscy, którzy potrafią albo chcą nam pomóc. Hiisi reprezentuje wszystko co złe, on jest uosobieniem Zła.

- To prawda - mruknęła Maria.

- Czy Słońce nie powinno zwalczyć Hiisi? - zastana wiał się Villemann.

- Owszem - odparł Cień. W poświęceniu słońca, które zniknęło już za horyzontem, na jego przastarej twarzy igrały niesamowite cienie. - Owszem, gdybyśmy je mieli, ale Święte Słońce ukryte jest pod ziemią albo w skale. Stamtąd nie ma żadnego wpływu na podstępного Hiisi, który z pewnością pilnuje się, aby się zanadto nie zbliżyć.

- A gdybyśmy tak weszli na szczyt góry? - podsunęła Taran.

- Rzeczywiście wtedy sytuacja byłaby inna - przyznał Móri. - Ale spróbuj, jeśli chcesz.

Taran zerknęła na moczary, na górę, przypomniała sobie, co wydarzyło się w lesie, i mocniej ścisnęła Uriela za rękę.

- Nie, dziękuję - powiedziała cierpko.

- Może z drugiej strony? - zaproponował Villemann.

- Raczej nie - odparł Móri.

- Nie, tak się nie da - potwierdziła Maria. - Moi są siedzi twierdzą, że tam jest tak samo źle. Las głębszy, jeszcze bardziej dziki.

W milczeniu przyglądali się moczarom w blednym świetle dnia.

- Farangilem też nie możemy się posłużyć, zniszczyła go bliskość Hiisi.

Villemann westchnął zniecierpliwiony.

- Nie spodziewałem się, że odnalezienie Słońca będzie łatwe, ale że taki jakiś potwór stanie nam na drodze... to trochę za dużo tego dobrego, a raczej złego.

- Masło maślane - powiedziała Taran.

- Macie rację - przyznał Móri.

Nawet Cień się zatroskał.

- Dolgu, to twoje zadanie, a my nie mamy nic, czym moglibyśmy cię wesprzeć.

Duchy, czy wy możecie po moc?

- Niestety - odparł Nauczyciel. - Pustka, która po trafi wszędzie wsunąć macki swojej śmiercionośnej melancholii, wstąpiła w duszę Hiisi i starała się z nim układać. Jediną odpowiedzią było: Ofiara.

- Nigdy się na to nie zgodzimy!

- Hiisi dał nam do zrozumienia jedno: droga przez moczary jest otwarta, można nią swobodnie przejść.

- Przez moczary! - prychnął Cień. - Nietrudno w to uwierzyć. Wśród tych wszystkich czarnych jam, gotowych do pochłonięcia ofiary z ludzi. O, nie! Dolg milczał złowróźnie.

- Czy Pustka dowiedziała się czegoś więcej na temat Hiisi? - spytał Móri Nauczyciela.

- Hiisi potrafi się przekształcać, tak jak mu się spodoba. Rzeczywiście bywa strzygą lub boginką leśną, a czasami kusicielem dzieci, a teraz jest Ziemią. Ziemią wokół góry. A ponieważ jest złą siłą lasu, jest też samym Lasem. Piachem, po którym stąpamy.

- Musimy wezwać Tapio - mruknął Cień. - Mariatto, sądzisz, że ci się to uda?

- Nie wiem, spróbuję.

- Świetnie! Dolgu, co się z tobą dzieje? Twój wyraz twarzy nie wróży nic dobrego.

- Ja także to zauważyłem - przyznał Móri. - Co się stało, synu?

Dolg rozejrzał się dokoła niespokojnym wzrokiem.

- Niestety się zbliża.

- Wyobraź sobie, że to wiemy - stwierdziła Taran. - Chodzi ci o coś szczególnego?

- Tak. Żal. Tęsknota. Strach...

- Czasami naprawdę potrafisz nam dodać otuchy. Czego się mamy wystrzegać?

- Nie, nie wy - odrzekł Dolg jak w transie. - Nie po trafię tego wyjaśnić. Może w ogóle powinniśmy zrezygnować?

Wiedział jednak, że nikt go nie posłucha. W dodatku to on miał wykonać zadanie i nie chciał się teraz wycofywać.

- Mariatto - powiedział. - Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie. Słyszałaś o moim śnie przy Fagertarn, praw da? I o tym, że naprawdę widziałem tę, która mi się przyśniła. Kim była?

Maria zastanowiła się.

- Mam tylko jedną odpowiedź.

- To wystarczy.

- To nie mogła być Córka Pohjola, gdyż ona podobnie jak Louhi jest przywiązana do miejsca w krainie na dalekiej północy. Nie, to był ktoś z domostwa Tapio. On ma wokół siebie wiele duchów, musiał ją przysłać.

- Ale Tapio jest przecież dobry.

- Owszem, i gdyby się odwróciła, spostrzegłbyś, że nie jest tak straszna jak w twoim śnie. W jaki zresztą sposób można ostrzec człowieka i zbudzić go, jeśli nie przez koszmar?

- Masz rację - przyznał Dolg. - Tak właśnie musiało być. Leśna panna przysłana przez „Władcę Lasu. Wobec tego nie była to Córka Mrozu.

Villemann nie odezwał się ani słowem, ale wiedział swoje. Jemu naprawdę śniła się Córka Mrozu, przypominająca Marię, którą spotkał później. Z dumą myślał o tym, że przynajmniej raz w życiu przyśnił mu się proroczy sen.

- Cieniu - powiedział Móri. - Czegoś tu nie rozumiem. Zawsze powtarzacie, że trzy kamienie należą do siebie, że one właśnie prowadzą do otwarcia Wrót, ale przecież wtedy, kiedy twój lud przekroczył granicę, szafiru i farangila tutaj nie było.

- Tak, pamiętam, że podczas naszej podróży często o tym dyskutowaliśmy. Nie wierzyliśmy, że uda nam się otworzyć Wrota, ponieważ zmuszeni byliśmy zostawić po drodze dwa kamienie. Jak pamiętacie, byłem niemal nieprzytomny, kiedy przybiliśmy tutaj do brzegu, zorientowałem się jednak, że inni mają kłopoty. Wielkie kłopoty...

Zajrzał w miniony czas. I nagle jak gdyby wszystko zaczęło mu się układać w spójną całość.

- Tak, tak było - szepnął rozjaśniony.

- Mów - poprosił Móri, kiedy cisza panowała już dość długo.

- Nigdy nie zdołaliby tego zrobić samym tylko Słońcem, gdyby nie otrzymali pomocy. Pamiętacie, wspominałem, że wydawało mi się, iż widzę wysoką postać na brzegu. Kogoś, kogo nie poznałem.

Kiwnęli głowami.

- To właśnie była ta pomoc. Musiał to być jeden z naszych przodków, obcych!

Villemann zaprotestował.

- Mówiłeś przecież, że nie ma powrotnej drogi do naszego świata. Jakże więc...?

Cień popatrzył na niego.

- Obcy nie przeszedł przez Wrota, bo jeszcze nie zostały otwarte.

Taran wyraźnie pobladła.

- Pamiętam, co mówiłeś, Cieniu: Być może obcy wciąż są wśród nas.

Zapadła cisza.

- Ściemnia się - mruknął Uriel.

Rzeczywiście nad moczarami zrobiło się jakoś straszniej. Mieli wrażenie, że każdym nerwem wyczuwają złą moc bijącą od ziemi. Stali w milczeniu, drżąc ze strachu.

Ciszę przerwał Dolg.

- To do niczego nie doprowadzi - oświadczył. - To moje zadanie. Muszę przynajmniej spróbować.

Ruszył na bagna. Nic go nie powstrzymywało. Tak jak Pustka dowiedziała się od Hiisi: Ta droga była otwarta.

- Dolgu, nie! Zatrzymaj się! - zawołał ojciec.

- Ktoś musi przełamać ten mur - odparł Dolg i szedł dalej.

Z ohydny bulgotem bagno otworzyło się pod jego stopami. Dłońmi zdołał się uchwycić brzegu wokół wodnistej jamy. Villemann i Uriel rzucili mu się na ratunek, lecz ledwie zdążyli złapać go za ręce, gdy połyskujące czarne błoto rozlało się, by pochłonąć także ich.

Pomóc tu mogła tylko pani powietrza. Złapała obu śmiałków za kołnierze, o mało ich przy tym nie dusząc, ale na szczęście nie puścili Dolga. Pociągnęła wszystkich trzech do góry, a wypełniony bagienną wodą otwór zamknął się z równie ohydny dźwiękiem jak przed chwilą.

Stanęli na piaszczystym gruncie.

- Dziękujemy - szepnęli wstrząśnięci.

- Masz za swoje - rzekł Móri z ponurą miną. - Mam nadzieję, że to koniec śmiałych samobójczych prób, Dolgu.

- Koniec - przyznał drżąco.

Usiedli kawałek dalej nad brzegiem moczarów, nie będąc w stanie wymyślić żadnego nowego planu. Ogarnęło ich zniechęcenie. Przez długi czas milczeli, wstrząśnięci, rozczarowani. Cień i Strażnicy chyba najdotkliwiej przyjęli klęskę.

Duchy były teraz niewidzialne, lecz tkwiły przy nich. Myśleli o nich z wdzięcznością, bez ich pomocy w grupie nie byłoby już Dolga, a prawdopodobnie również Villemanna i Uriela. Straszne!

Villemann widział, jak okropnie zmęczona jest Maria. Miała za sobą ciężki dzień, tyle przecież się wydarzyło. Zapewne najbardziej by chciała być teraz przy dzieciach.

- Wracamy do domu - postanowił. Wszyscy pozostali z ulgą przyjęli jego decyzję. Podnieśli się, by zawrócić.

I stanęli jak wryci.

Widok, jaki roztoczył się przed oczami, trudny był do zniesienia.

Na skraju lasu na tle rzadkich sosen stał szereg ciężko uzbrojonych jeźdźców.

Mogło ich być około trzydziestu. Ciemnych, ponurych i groźnych.

- Tego jeszcze brakowało - mruknęła Taran.

- Kolejne duchy? - szeptem spytała Villemanna Mariatta.

- Nie, oni są prawdziwi. To chciwi rycerze Zakonu Świętego Słońca i ich lokaje.

Mariatta miała silne serce, ale ciało słabe. Tego dnia wydarzyło się już zbyt wiele.

Nie wydając z siebie żadnego dźwięku osunęła się na ziemię. Villemann padł przy niej na kolana, zrozpaczony, że niebieski szafir tak zmętniał, przerażony, że niedługo już będzie za późno na jakąkolwiek pomoc.

Ze złowieszczym spokojem rycerze zsiadli z koni. Dolg rozpoznał brata Lorenzo z posiwiąłą już teraz głową i brodą. Dostrzegł też dwóch przystojnych czarnych rycerzy po bokach wielkiego mistrza.

Gromada braci zakonnych podchodziła wolno, pewna zwycięstwa. Grupa

czarnoksiężnika znalazła się w pułapce między rycerzami a śmiertelnie niebezpiecznym bagnem.

W tej samej chwili nad mokradłami Hiisi zgasły ostatnie resztki dziennego światła.

ŹRÓDŁA:

KALEVALA, fragment runa trzydziestego (przekład poetycki Józef Ozga Michalski; Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1974).

Gustaf Fróding: „Nad bagniskiem”, z tomu „Stamningar och bilder”.